

# LUKIAN Z SAMOSTATY



## DIALOGI SATYRYCZNE

EDYCJA KOMPUTEROWA:  
[WWW.ZRODLA.HISTORYCZNE.PR.V.PL](http://WWW.ZRODLA.HISTORYCZNE.PR.V.PL)

MAIL: [HISTORIAN@Z.PL](mailto:HISTORIAN@Z.PL)



MMIII®

# I. ZGROMADZENIE BOGÓW

DZEUS: Już nie pomrukujcie, bogowie, i po kątach się nie zbierajcie, i niech jeden drugiemu do ucha nie szepce wyrazów oburzenia o to, że wielu niegodnych z nami zasiada do stołu. Skoro się w tych sprawach zwołało zgromadzenie, to niech każdy mówi otwarcie, co- myśli i niech wygłasza oskarżenie. Ty bądź heroldem, Hermesie — obwieszczenie według prawa!

HERMES: Słuchajcie, cicho tam! Kto chce przemawiać spośród bogów rzeczywistych, którym przemawiać wolno? Sprawa dotyczy przesiedleńców i obcokrajowców.

MOMOS: Ja, Momos, jeżelibyś mi, Dzeusie, głosu udzielił.

DZEUS: Już samo ogłoszenie pozwala mówić; mnie do tego wcale nie będzie potrzeba.

MOMOS: Mówię tedy, że niektórzy z nas robią źle i to jest niebezpieczne, bo nie dość im, że sami stali się bogami z ludzi, ale jeszcze, jeśli który swoich towarzyszków i służących nie każe otaczać czcią równą naszej, to zdaje mu się, że niczego wielkiego nie dokazał i nie dowiódł, że jest młody. Uważam, Dzeusie, że powinienes mi pozwolić mówić otwarcie. Ja bym nawet nie potrafił inaczej — wszyscy wiedzą, że mam język nieskrępowany i nie potrafiłbym niczego zamilczeć, jeżeli się dzieje coś, co nie jest w porządku.

Ja wyśledzam wszystko i wypowiadam swoje zdanie publicznie; ani się nie boję kogokolwiek, ani ze wstydu nie ukrywam swego zdania. Toteż nieznośny się wydaję niejednemu i niby wyglądam na donosiciela z urodzenia — oni mnie nazywają jakby oskarżycielem publicznym. Zresztą, skoro wolno jest i to jest ogłoszone, i ty, Dzeusie, pozwalasz mówić swobodnie, to będę mówił śmiało, nie tając niczego.

Więc powiadam, że wielu jest takich, którym nie dość tego, że sami biorą udział w naszych zebraniach i bankietach na równi z nami, chociaż są w połowie śmiertelni, to jeszcze swoich służących i uczestników proqesyj wprowadzili do nieba i wpisali do ksiąg, i oni teraz na równi z nami uczestniczą w podziałach i w ofiarach, a nawet nam nie zapłacili taksy za pobyt.

DZEUS: Żadnych zagadek, Momosie, tylko jasno i wyraźnie mów i podawaj nazwiska; teraz twoja mowa pada na środek zgromadzenia.

madzenia i niejeden zacznie się domyślać tego lub owego i przystosowywać sobie to, co się mówi; jeden tak, drugi inaczej. Ktoś taki otwarty jak ty nie powinien się wahać mówić niczego.

MOMOS: To doskonale, Dzeusie, że jeszcze mnie pobudzasz do otwartości. To jest z twojej strony krok naprawdę królewski i wspaniałomyślny. Zatem będę wymieniał i nazwiska. Więc taki oto najwyżej urodzony Dionysos — to jest półczłowiek i nawet nie Hellen po kądzieli, tylko Syrofenicjanin, syn córki jakiegoś kupca, Kadmosa.

Skoro mu przyznano nieśmiertelność — jaki on tam jest, już nie mówię, ani o tej jego mitrze, ani o pijaństwie, ani o tym, jak chodzi — myślę, że wszyscy widzicie, jaki jest zniewieściały i kobiecy z natury, półoblakany i od rana pachnie mocnym winem. Otóż on tutaj całe bractwo wprowadził do nas i jest tu razem z całą procesją, którą za sobą wodzi i bogiem ogłosił Pana i Seilena i Satyrów, jakichś dzikusów i kozopasów bez liku, jakichś skoczków o niesamowitych kształtach — jeden ma rogi na głowie i od połowy w dół do kozy podobny, a brodę długą zapuścił, tak że mało się różni do capa; drugi znowu łysy staruszek, z perkatym nosem, przeważnie na ośle jeździ: to Lidyjczyk—a Satyrowie mają uszy końcyste i też łyse głowy a rogate. Takie im rożki rosną jak nowonarodzonym kozłętom. To są jacyś tam Frygijczycy. A ogony mają wszyscy też. Widzicie, jakich nam bogów robi ten panicz?

Potem my się dziwimy, jeżeli nami ludzie gardzą, kiedy patrzą na takich śmiesznych bogów i cudacznych. Ja już nie mówię, że i dwie kobiety tutaj na górę sprowadził: Jedna była jego kochanką — Ariadna — i jej wianek też włączył do chóru gwiazd, a druga to córka chłopca, Ikariosa. A co ze wszystkiego najśmieszniejsze — bogowie — to to, że on i psa Erigony, i jego też tu na górę sprowadził, aby się kobietka nie nudziła, jeżeli nie będzie miała w niebie swojego pieska, do którego się przyzwyczaiła i bardzo go lubi. Czy wam się to nie wydaje krokiem śmiałym a trochę po pijanemu i na śmiech? A słyszeliście o innych też.

DZEUS: Nic, Momosie, nie mów ani o Asklepiosie, ani o Heraklesie. Bo ja widzę, do czego ty zmierzasz. A oni przecież — jeden kuruje i chorych stawia na nogi, i jest „wart tyle, co moc ludzi innych, a Herakles to mój syn i niemalymi trudami kupił sobie nieśmiertelność. Więc nie skarż na nich!

MOMOS: Ja zamilczę, Dzeusie, chociaż w związku z tobą dużo mogę powiedzieć. Już, jeśli nie co innego, to znaki od ognia

oni jeszcze mają. A gdyby wolno było mówić otwarcie o tobie samym, to dużo miałbym do powiedzenia.

DZEUS: O, tak! O mnie samym można śmiało. Chyba ty — mnie też — nie skarżysz o obce pochodzenie?

MOMOS: To, to można tylko na Krecie usłyszeć — tam i co innego o tobie mówią, i grób twój pokazują. Ja im nie wierzę; ani tym, którzy mówią, że jesteś podrzutkiem — mówią o mieście Ajgion i o Achai.

Ale to, co by moim zdaniem najbardziej należało zbadać i zganić, to powiem. Bo początek przekroczeniom tego rodzaju i przyczynę tego, że się nasze zgromadzenie zaroilo od nieuprawnionych, dałeś ty, Dzeusie, obcując z kobietami śmiertelnymi i schodząc do nich raz w tej, raz w innej postaci. Tak że my się boimy, żeby cię kto nie zabił na ofiarę, jak cię złapie, kiedy będziesz bykiem, albo cię opracować gotów jaki złotnik, kiedy złotem będziesz, i zamiast Dzeusa zrobi się nam naszyjnik albo naramiennik, albo kolczyk. I zapełniłeś niebo tymi półbogami. Już nie mogę inaczej powiedzieć. To bardzo zabawna rzecz, kiedy ktoś nagle usłyszy, że Herakles został między bogów przyjęty, a Eurysteus, który mu rozkazy dawał, umarł i blisko świątyni Heraklesa, który był sługą, leży grób Eurysteusa, jego pana. Albo znowu w Tebach Dionysos jest bogiem, a jego kuzyni, Pentheus i Aktaion, i Learchos, to najwięksi biedacy spośród wszystkich ludzi.

Odkąd ty, Dzeusie, otworzyłeś drzwi dla takich typów i zaczęłeś się interesować kobietami śmiertelnymi, wszyscy cię naśladują i to nie tylko mężczyźni, ale, co największy wstyd, boginie również. Któż bo nie wie o Anchizesie i o Titonosie, i o Endymionie, i o Jasijonie, i innych? Tak że to już wolę pominąć. Bo długo by trzeba mówić, żeby to przebadać całkowicie.

DZEUS: Tylko nic nie mów o Ganymedesie — Mój Momosie — bo będę się gniewał, jeżeli obrazisz chłopaka, kiedy mu wyjedziesz na rodzinę.

MOMOS: Nieprawdaż — w takim razie o orle też nie mam mówić, że ten również jest w niebie, na berle królewskim siada i omal że ci gniazda na głowie nie zrobi, bo uchodzi za boga? Czy i temu mamy dać pokój ze względu na Ganymedesa? A taki Attis, Dzeusie, i Korybas, i Sabadzios — skąd ci weszli w nasze koło — i ten Mitras, Med, w kaftanie z długimi rękawami i z tiarą na głowie? Nawet mówić po grecku nie umie. Tak że kiedy ktoś pije w jego ręce on nic nie rozumie. Toteż Skytowie i Getowie

widząc, że oni tacy, przestali się w ogóle na nas oglądać i sami obdarzają nieśmiertelnością i wybierają na bogów, kogo chcą. W ten sam sposób, jak to Zamolksis, choć był niewolnikiem, został w poczet bogów wpisany — sam nie wiem, jak to się mogło stać tak po cichu.

Chociaż, moi bogowie, to jeszcze wszystko pół biedy, ale ty z psią twarzą, ty prześcierałami poobwijany Egipcjaninie, ty kto jesteś, dobra duszo, i jak ty śmiesz podawać się za boga — szczekając? A czego chce ten łaciaty byk z Memfis, przed którym biją pokłony i on udziela wyroczni, i ma swoich proroków? Już mi wstyd wymieniać ibisy i małpy, i capy, i inne stwory, jeszcze bardziej zabawne — ja nie wiem, jak się to z Egiptu napchało do nieba i jak wy, bogowie, możecie na to patrzeć, kiedy się im ludzie po równi z wami a nawet bardziej niż wam kłaniają? Albo ty, Dzeusie, jak ty to znosisz, kiedy ci baranie rogi rosną?

DZEUS: To jest rzeczywiście wstyd — to, z tym Egiptem. Ale wiesz, Momosie, tam u nich jest wiele rzeczy zagadkowych i nie bardzo trzeba to wyśmiewać, kiedy się nie jest wtajemniczonym.

MOMOS: Bardzo nam tajemnic potrzeba, żeby wiedzieć, że bogowie to bogowie, a pawiany to pawiany!

DZEUS: Daj pokój, mówię, zostaw sprawy egipskie. Innym razem to rozpatrzemy, przy wolnym czasie. A ty wymieniaj innych.

MOMOS: Wymieniam, Dzeusie, Trofoniosa, a co mnie najwięcej gnębi, to: Amfiloch. Przecież to syn człowieka obłożonego klątwą, człowiek, który matkę rodzoną zabił, a udał się i wróżb udziela w Kilikii, kłamie często i szarlatanerią się bawi dla tych dwóch obolów. Dlatego ty, Apollonie, już nie masz dawnej sławy, bo dzisiaj każdy kamień i każdy ołtarz udziela wyroczni, jeżeli go tylko oblać oliwą i powiesić na nim wianek, a znajdzie się do niego jakiś szarlatan, których jest wielu. Już i posąg Polydamasa, atlety, leczy gorączki w Olympii, a Teagenesa — w Thasos i Hektorowi składają ofiary w Ilionie, a Prote-silaosowi naprzeciw, na Chersonezie. Odkądśmy się tacy zrobili, przybyło wiele krzywoprzysięstwa i świętokradztwa na świecie i w ogóle gardzą nami ludzie i dobrze robią.

Tyle o tych nieprawego pochodzenia i później wpisanych. Ale ja, oprócz tego, słyszę już wiele obcych nazw, chociaż ani u nas nie ma nikogo takiego, ani w ogóle ktoś taki w ciele i kościach istnieć nie może i bardzo się, Dzeusie, tym również bawię.

Bo, doprawdy, gdzież jest ta Dzielność, o której się tyle mówi, i Przyroda, i Dola, i Przeznaczenie? To są nazwy, pod które żaden konkretny przedmiot nie podpada, nazwy puste, bez desygnatów, powymyślane przez głupich ludzi, przez filozofów. I chociaż to są postacie zaimprovizowane, to jednak taki mają wpływ na ludzi bezmyślnych, że wam już nikt nawet ofiar składać nie chce, bo wie, że choćby wam i tysiące hekatomb przyprowadził, to jednak Los zrobiłby to, co przeznaczone i co dla każdego od początku zostało wyprzedzone. Rad bym ciebie, Dzeusie, zapytał, czyś już gdzieś widział albo Dzielność, albo Przyrodę, albo Przeznaczenie? Bo że o nich wciąż słyszysz w dyskusjach filozofów, to wiem — przecieżeś nie głuchy, żeby nie słyszeć, kiedy oni tak o tym krzyczą.

Miałbym jeszcze wiele do powiedzenia, ale dam pokój. Ja widzę, że wielu się na mnie gniewa za to, co mówię, i sykają — ci najwięcej, których dotknęła otwartość moich słów.

Poza tym, jeżeli pozwolisz, Dzeusie, to odczytam uchwałę w tej sprawie — mam ją już napisaną.

DZEUS: Przeczytaj. Nie wszystkie punkty twojego oskarżenia były głupie. Trzeba niejednemu koniec położyć, żeby się tak więcej dzać nie mogło.

### UCHWAŁA

W imię boże! Na zgromadzeniu legalnym, odbytym siódmego tego miesiąca pod przewodnictwem Dzeusa, gdy na pierwszym miejscu siedział Posejdon, nadzór pełnił Apollon, a sekretarzem był Momos, syn Nocy, Sen podał wniosek następujący: Ponieważ wielu obcokrajowców, nie tylko Hellenów, ale i barbarzyńców, którzy żadną miarą nie zasługują na to, żeby uczestniczyli w naszym ustroju, wpisani do gminy później — nie wiadomo jakim sposobem — i uchodzący za bogów, napełnili niebo tak, że przy stole roi się tłum hałaśliwy, różnojęzyczna jakaś zbieranina i zabrakło ambrozji i nektaru, tak że kwaterek już kosztuje minę - takie mnóstwo teraz pije — a ci, o sobie tylko myśląc, odpychają na bok bogów dawnych i prawdziwych, i rozsiadają się na pierwszych miejscach wbrew wszystkim tradycjom ojczystym, i chcą odbierać największą cześć na ziemi — postanowiła Rada i Lud zwołać zgromadzenie na Olimpie czasu przesilenia zimowego i wybrać na sędziów najwyższego trybunału siedmiu bogów bez zarzutu — trzech z dawnej Rady z czasów Kronosa, a czterech spośród dwunastki — pomiędzy nimi i Dzeusa. Ci sędziowie będą

zasiadali sami, złożąwszy prawem przepisaną przysięgę na Styks, Hermes będzie zebranie ogłaszał i sprowadzał wszystkich, którzy się uważają za upoważnionych do zasiadania w zgromadzeniu, i ci przyjdą, prowadząc z sobą zaprzysiężonych świadków i dowody osobiste dotyczące pochodzenia. Dlatego powinni się zgłaszać po jednym, a sędziowie rozpatrzą sprawę każdego i bądź to ogłoszą kogoś bogiem, bądź też odeślą go do jego mogiły i do grobowców rodzinnych. A gdyby ktoś z nieukwalifikowanych, kogo trybunał raz z listy bogów wykreślił, został schwytany na tym, że idzie na górę do nieba, takiego wrzucić do Tartaru.

I każdy powinien się zająć swoją robotą, a więc ani Atena nie powinna leczyć, ani Asklepios udzielać wyroczni, ani Apollon robić tylu rzeczy na raz, tylko sobie jakąś jedną rzecz wybrać i być albo wieszczkiem, albo kitarzystą, albo lekarzem.

A filozofom zapowiedzieć, żeby nie wymyślali nazw pustych i nie pletli o tym, na czym się nie znają.

A którym już przyznano świątynie albo ofiary, tych posągi usunąć, a powstawić posągi Dzeusa albo Hery, albo Apollona, albo kogoś innego, a tamtym niech państwo każdemu usypie mogiłę i postawi na niej słup, zamiast ołtarza. A gdyby ktoś puścił to ogłoszenie mimo uszu i nie zechciał się stawić przed trybunałem, na takiego wyda się wyrok zaocznie. Taki jest nasz wniosek.

DZEUS: Bardzo sprawiedliwy, Momosie. Kto jest za tym, niech podniesie rękę. Albo, lepiej, niech tak będzie — bo ja wiem, że wielu jest tutaj takich, którzy nie podniosą rąk. Więc teraz idźcie sobie wszyscy, a dopiero, jak Hermes ogłosi, przyjdzie każdy i przyniesie z sobą wyraźne dokumenty i jasne dowody osobiste: imię ojca i matki, i skąd który pochodzi, i jak został bogiem, i plemię, i ród. Jeżeli ktoś takich dokumentów nie dostarczy, trybunał nie będzie się oglądał na to, czy ktoś ma wielką świątynię na ziemi i czy go ludzie uważają za boga, czy nie.

## II. DZEUS MA TRUDNOŚCI W DYSKUSJI

PIESEK: A ja, Dzeusie, nie będę ci się naprzykrzał modlitwami o takie rzeczy, jak bogactwo albo złoto, albo władza królewska; o to się ludzie najwięcej modlą, a tobie nie bardzo łatwo dawać te rzeczy. Bo widzę, że często puszczasz te modlitwy mimo uszu. Ja bym pragnął od ciebie tylko jednej rzeczy i to bardzo łatwej.

DZEUS: Cóż to takiego, Piesku? Nie zawiedziesz się. Szczególniej, jeżeli prosisz o coś, jak mówisz, łatwego.

PIESEK: Odpowiedz mi na jedno nietrudne pytanie.

DZEUS: To rzeczywiście mała prośba i to nic trudnego; więc pytaj, o co chcesz.

PIESEK: Widzisz, to jest taka rzecz. Czytałeś z pewnością i ty poematy Homera i Hesioda. Więc powiedz mi, czy to jest prawda, co oni piszą o Przeznaczeniu i o Mojrach, że nie można umknąć tego, co one każdemu wyprzeda przy urodzeniu?

DZEUS: To jest wielka prawda. Nie ma nic, czego by Mojry nie zrzędziły. Wszystko, cokolwiek się dzieje, kręci się za ich wrzecionem i już od samego początku wszystko ma wynik z góry wyprzedzony i nic nie ma prawa działać inaczej.

PIESEK: Nieprawdaż zatem, gdy ten sam Homer w innej części poematu mówi:

Prędzej Hadesa zobaczysz, nim ci to Mojra wyprzędła...

to, oczywiście, powiemy wtedy, że on w takich miejscach od rzeczy?

DZEUS: I bardzo od rzeczy. Bo w ten sposób nic się działać nie może: poza prawem Mojr, poza ich nicią. To, co poeci śpiewają z natchnienia Muz, to jest prawda, ale kiedy ich te boginie opuszczają i oni piszą sami od siebie, wtedy błędzą i opowiadają czasem rzeczy sprzeczne z tym, co przedtem. Trudno, to są ludzie, więc nie znają prawdy, kiedy ich odejdzie to, co dotąd z nimi było i śpiewało przez nich.

PIESEK: Więc to tak powiemy. A jeszcze i na to mi odpowiesz: czy nie trzy są Mojry: Kloto i Lachesis, mam wrażenie, i Atropos?

DZEUS: Tak jest.

PIESEK: A Dola przeznaczona i Fortuna — o nich się też tyle



mówi — co one są za jedne i co może każda z nich? Czy to samo, co Mojry, czy i troszkę więcej ponadto? Bo słyszę, jak wszyscy mówią, że nie ma potęgi większej niż Fortuna i Dola.

DZEUS: Nie możesz wszystkiego wiedzieć, Piesku; nie godzi się. Ale dlaczego ty się pytasz o te Mojry?

PIESEK: Jeżeli mi tylko, Dzeusie, naprzód i to powiesz, czy i nad wami one panują i czy wy jesteście koniecznie zawiśli od ich nici?

DZEUS: Z konieczności, Piesku. Ale czemu się uśmiechasz?

PIESEK: Przypomniałem sobie te wiersze Homera, w których on mówi o tobie, o twojej przemowie na zgromadzeniu bogów. Kiedyś ty im groził, że na jakiejś złotej linie powiesz wszystko. Mówiłeś, że sam taką linę spuścisz z nieba, a bogowie wszyscy, jeżeli chcą, niech się na niej uwieszą i niech ciągną w przeciwną stronę, a nie dadzą ci rady — przeciągniesz wszystkich z łatwością, jeżeli zechcesz — razem z ziemią i z morzem.

Wtedyś mi się wydał podziwu godny. Bo co za siła! Dreszcz mnie przechodził przy słuchaniu tych słów. A teraz widzę, że ty sam, razem z tą liną i z groźbami, wisisz, jak sam przyznajesz, na cienkiej nitce Mojr. Więc mam wrażenie, że słuszniej mogłaby się Kloto pysznić, że i ciebie samego na swojej nitce nosi jak rybak rybkę na wędce.

DZEUS: Ja nie wiem, do czego zmierzają te twoje pytania.

PIESEK: Do tego, Dzeusie. Ale błagam cię na Mojry i na Dole, nie drażnij się i nie gniewaj, kiedy ja będę prawdę mówił otwarcie. Bo jeżeli to tak jest i nad wszystkim Mojry panują, i nikt już nie potpafi niczego zmienić w tym, co one raz postanowią, to po co my, ludzie, wam składamy ofiary i przyprowadzamy hekatombę, modląc się o różne dobra od was? Ja nie widzę, na co by się nam mogły przydać te zabiegi, jeżeli z pomocą modlitw nie możemy uzyskać od was ani odwrócenia tego, co złe, ani też dostąpić z ręki bogów jakiegoś dobra.

DZEUS: Ja wiem, skąd idą te twoje figlarne pytania; to od tych przeklętych sofistów, krętaczy, którzy twierdzą, że my się nawet nie troszczymy o ludzi. Oni takie pytania zadają przez bezbożność i odciągają innych od ofiar i modłów, bo to niby rzecz daremna. Że my ani się nie troszczymy o to, co się u was dzieje, ani w ogóle żadnego wpływu nie mamy na sprawy ziemskie. Ale niewesoło będzie tym, którzy takie rzeczy opowiadają.

PIESEK: Ależ, Dzeusie, na wrzeciono, które trzyma Kloto,

zapewniam cię, że to nie pod ich wpływem zadawałem ci te pytania tylko rozmowa — ja sam nie wiem, jak — jakoś nam na to zeszła, że ofiary są zbędne. Więc jeżeliś łaskaw, to jeszcze ci jedno krótkie pytanie zadam, a ty nie wahaj się dać mi odpowiedzi, tylko, żeby odpowiedź była mniej podniecona.

DZEUS: Pytaj, jeżeli masz czas na takie brednie.

PIESEK: Ty mówisz, że wszystko, co się dzieje, to pochodzi od Mojr?

DZEUS: Mówię przecież.

PIESEK: A my, czy możemy zmieniać to i odplatać nici?

DZEUS: W żaden sposób; nigdy.

PIESEK: Jeżeli pozwolisz, to wysnuję wniosek; czy też on jest oczywisty, chociażbym go i nie wypowiedział?

DZEUS: Oczywisty. Ale ci, którzy ofiary składają, nie składają ich dla interesu, nie uprawiają handlu zamiennego, jakby sobie u nas kupowali łaski, tylko po prostu cześć oddają temu, co lepsze.

PIESEK: Wystarczy i to, jeżeli i ty przyznajesz, że z ofiar nie ma żadnego pożytku i to są tylko objawy szlachetnego sposobu myślenia ludzi oddających cześć temu, co lepsze. Jednakże, gdyby tu był ktoś z tych sofistów, krętaczy, to może by cię zapytał, pod jakim względem nazywasz bogów lepszymi, skoro oni przecież na równi z ludźmi są w niewoli i podlegają tym samym paniom: Mojrrom. Nie wystarczy to, że są nieśmiertelni, żeby się przez to samo wydawali lepsi. To przecież znacznie gorzej; ludziom przynajmniej śmierć przynosi wolność, a u was ta sprawa nigdy nie ma kresu; wasza niewola jest wieczna, kręci się na nitce bardzo długiej.

DZEUS: Ależ, Piesku; ta wieczność i bezkres to jest nasze szczęście; wszelakie dobra wypełniają nasze życie.

PIESEK: Nie wszystkim wam, Dzeusie, jest tak dobrze. Różnie tam i u was bywa; wy też nieraz nie macie spokoju. Ty jesteś szczęśliwy, bo jesteś król i potrafisz pociągnąć ziemię i morze, kiedy spuścisz tutaj linę jak do studni. Ale Hefajstos jest kulawy i robotnicar jakiś, i z ogniem wciąż ma do czynienia w swoim rzemiośle. Prometeusa nawet kiedyś do skały przybito. Po cóż bym miał przypominać twego ojca, który jeszcze w kajdanach siedzi, w Tartarze?

Mówią też o was, że i miłość was nawiedza, i rany odnosicie, a niekiedy idziecie na służbę do ludzi, jak to twój brat służył

u Laomedonta, a u Admeta Apollon. To mi się nie wydaje wielkim szczęściem. Mam wrażenie, że jedni z was mają szczęście, wypadł im dobry los, a drudzy wprost przeciwnie. Ja już nie mówię o tym, że porywają was bandyci — tak samo jak i nas — że obrabowują was świętokradcy i z największych bogaczy stajecie się nagle największymi biedakami. A niejednego nawet już i przetopiono; dlatego, że był złoty albo srebrny. Taki mu już los był pisany.

DZEUS: Widzisz, Piesku — to są bluźnierstwa, to, co mówisz. Gotówes tego kiedyś żałować.

PIESEK: Oszczędź sobie gróźb, Dzeusiej ty wiesz, że nie spotka mnie nic, czego by Mojra przed tobą nie postanowiła. Ja nawet nie widzę, żeby i samych świętokradców kara spotykała. Oni po większej części unikają waszych rąk. Nie było im pisane, tak mi się wydaje, żeby mieli być schwytani.

DZEUS: Czy nie mówiłem, że ty należysz do tych, którzy myślą i słowem wniwecz obracają Opatrzność?

PIESEK: Bardzo ich się boisz, Dzeusie, ale nie wiem, dlaczego. Cokolwiek powiem, ty wszędzie podejrzewasz ich wpływy. A ja od kogóż innego mógłbym się prawdy dowiedzieć, jeżeli nie od ciebie? Ja bym się z przyjemnością ciebie jeszcze i o to zapytał, co to jest ta wasza Opatrzność. Czy to jest któraś z Mojr, czy też bogini jeszcze wyższa od nich, która i nad nimi panuje?

DZEUS: Ja ci już i przedtem mówiłem, że nie masz prawa wiedzieć wszystkiego. To się nie godzi. A tyś z początku powiedział, że mi zadasz jakieś jedno pytanie, a tymczasem mnie tu bez końca zasypujesz kwestyjkami. Ja widzę, jaki jest główny cel twoich słów: wykazać, że my się wcale nie troszczymy o sprawy ludzkie.

PIESEK: To nie jest moja myśl, tylko ty przed chwilą powiedziałeś, że Mojry wszystkiego dokonują. Chyba, że ci żal tych słów i odwołujesz to, coś powiedział; może być, że reklamujecie dla siebie Opatrzność, a odrzucacie Przeznaczenie.

DZEUS: Wcale nie; tylko Mojra przez nas dokonywa wszystkiego.

PIESEK: Rozumiem; podajecie się za służących, za jakichś funkcjonariusze w Mojr. Tylko że i w takim razie one by stanowiły Opatrzność, a wy jesteście jakby jakimiś narzędziami w ich raku, instrumentami.

DZEUS: Jak to rozumiesz?

PIESEK: Tak samo, mam wrażenie, jak siekierka w ręku

cieśli albo świder. To jakoś współdziała w rzemiośle, ale nikt nie może powiedzieć, że te rzeczy to majster; okręt nie jest dziełem siekierki i świdra, tylko cieśli okrętowego. Tak samo więc w każdej sprawie okręty buduje Przeznaczenie, a wy jesteście, jeśli czym, to świdrami albo siekierkami w rękach Mojra. Zdaje się, że ludzie powinni Przeznaczeniu składać ofiary i Przeznaczenie prosić o łaski, a tymczasem oni do was idą i wam cześć oddają hymnami i ofiarami. Albo nawet i Przeznaczeniu gdyby oddawali cześć, nie postępowaliby słusznie. Bo myślę, że nawet i same Mojry nie mogą nic zmienić ani odwrócić z tego, co na początku postanowiły o każdym człowieku. Przecież Atropos nie zniosłaby, żeby ktoś w przeciwną stronę kręcił wrzeciono i psuł robotę Kloto.

DZEUS: Ty już, Piesku, uważasz, że nawet Mojrom ludzie nie powinni czci oddawać? Ty, zdaje się, masz dążności wyrotowe. A my, jeżeli już nie z innego powodu, to zasługujemy chyba na cześć dlatego, że udzielamy wyroczni i przepowiadamy wszystko, co Mojra zrządzi.

PIESEK: Dzeusie, w ogóle na nic się nie przyda wiedzieć z góry to, co ma przyjść, jeżeli nie ma żadnego sposobu, żeby się tego ustrzec. Chyba że ty powiesz tak: człowiek, który się z góry dowiedział, że umrze od grotu z żelaza, mógłby uniknąć śmierci zamknąwszy się w mieszkaniu. Ale to się nie uda. Wyprowadzi go kiedyś Mojra na polowanie i nastawi go na grot z żelaza. I Adrastos ciśnie włócznię w dzika, chybi go, a zabije syna Krezusa, jakby włócznię w chłopaka rzuciło silne ramię Mojry.

A z Laijosem jak było? To już nawet i zabawne:

Na przekór bogom ty się nie waży syna mieć. Bo jeśli spłodzisz go, zabije cię twój syn.

Mam wrażenie, że to była zbyteczna rada, skoro miało się tak stać w każdym razie. Więc też po wyroczni on i spłodził syna, i syn go zabił rzeczywiście. Otóż ja nie widzę, na jakiej podstawie domagacie się wdzięczności za wyrocznie.

Ja już nie mówię o tym, że zwykle dajecie wyrocznie mętne i wieloznaczne, i nie mówicie jasno, czy ten, który przejdzie rzekę Halys, zburzy własne państwo, czy państwo Kyrosa. Wyrocznia dopuszcza i jedno rozumienie, i drugie,

DZEUS: Wiesz, Piesku, Apollon miał pewien powód, żeby się gniewać na Kroisosa, bo Kroisos go doświadczał gotując w jednym garnku baraninę i zółwia.

PIESEK: Wypadało nie gniewać się w ogóle, będąc bogiem.

Tylko, mam wrażenie, że już i to było Lidyjczykowi przeznaczone, to, że go wyrocznia w błąd wprowadzi; już mu to Przeznaczenie wyprzedło, że nie usłyszy jasno tego, co ma przyjść. Więc i wasze wyrocznie są udziałem Przeznaczenia.

DZEUS: Zatem ty nam nie zostawiasz nic; jesteśmy bogami na próżno; nawet Opatrzności jakiejś nie wnosimy do spraw ziemskich ani ofiar godni nie jesteśmy — zupełnie jak świdry albo siekierki? Ja mam wrażenie, że twoje lekceważenie dla mnie jest naturalne, skoro, jak widzisz, trzymam piorun w ręku, a znoszę, żebyś tyle na nas wygadywał.

PIESEK: Ciśnij go, Dzeusie; jeżeli mi jest przeznaczone paść od pioruna, nie będę ciebie o to uderzenie obwiniał, tylko Mojrę, Kloto, która mnie przez ciebie trafi. Przecież nie mógłbym mojej rany przypisywać piorunowi samemu, A tylko o. to jeszcze zapytam i ciebie, i Przeznaczenie. A ty mi w jego imieniu odpowiedz. Bo przypomniała mi to twoja groźba. Dlaczego to zostawiacie w spokoju świętokradców i bandytów, i takich wielkich zbrodniarzy, i gwałcicieli, i krzywoprzysięzców, a trafiacie piorunami nie raz w jakieś drzewo albo w kamień, albo w maszt okrętu, który nic złego nie zrobił, a czasem w jakiegoś przyzwoitego i pobożnego wędrowca? Dlaczego milczysz, Dzeusie? Czy nawet i tego nie mam prawa wiedzieć?

DZEUS: Nie, Piesku. W ogóle głowę zawracasz i nie wiadomo, skąd mi to wszystko znosisz.

PIESEK: Więc już o to was nie będę pytał, ciebie i Przeznaczenia, czemu to Fokion, taki porządny człowiek, umarł w takim ubóstwie i w nędzy, i Aristeides przed nim, a Kallias i Alkibiades, chłopaki rozpustne, mieli pieniędzy więcej niż potrzeba, i Mejdias, zbrodniarz, i Charops z Ajginy, obrzydliwiec ostatni, który matkę głodem zamorzyli. I na odwrót: Sokratesa oddano Jedenastce, a Meletosa nie; i Sardanapal był królem, choć był zniewieściał, a Goches, człowiek dzielny, został przez niego wbity na pal, bo mu się stosunki nie podobały. Ja już nie chcę mówić szczegółowo o tym, co się dzisiaj dzieje: zbrodniarze opływają we wszystko i chciwcy, a ludzie porządni muszą chodzić i biegać, znosić ubóstwo i choroby, i tysiączne inne dolegliwości, które ich gniotą.

DZEUS: A ty nie wiesz, Piesku, jakie kary zbrodniarze po śmierci znoszą i jakim szczęściem cieszą się tam ludzie porządni?

PIESEK: Ty mi mówisz o Hadesie, o Tityosach i Tantalach, a ja, jeżeli nawet istnieje coś takiego, będę to jasno wiedział, do-

piero jak umrę. A tak, na razie, to wolałbym tę odrobinę życia tutaj przeżyć w szczęściu, a po śmierci niech mi i jedenaście sepów wątrobę szarpie, a nie: tutaj cierpieć pragnienie, jak Tantal, a dopiero potem na Wyspach Szczęśliwych pić z bohaterami, leżąc na łąkach elizejskich.

DZEUS: Co mówisz? Ty nie wierzysz, że istnieją jakieś kary i nagrody, i sąd, na którym się bada życie każdego człowieka?

PIESEK: Ja słyszę, że tam jakiś Minos, Kreteńczyk, sądy odbywa pod ziemią w takich sprawach. A o nim powiedz mi też. Mówią przecież, że to twój syn.

DZEUS: A o cóż ty się jeszcze w związku z nim pytasz, Piesku?

PIESEK: Kogo on przede wszystkim karze?

DZEUS: Jasna rzecz, że zbrodniarzy, na przykład morderców i świętokradców.

PIESEK: A kogo odsyła do bohaterów?

DZEUS: Dobrych i pobożnych, i tych, którzy dzielni byli za życia.

PIESEK: A dlaczego, Dzeusie?

DZEUS: Dlatego, że jedni zasługują na karę, a drudzy na nagrodę.

PIESEK: A jeżeliby ktoś nie z własnej inicjatywy coś strasznego zrobił, czy i takiego Minos zasądzi na karę?

DZEUS: Nic podobnego.

PIESEK: Ani też, gdyby ktoś nie sam z siebie coś dobrego zrobił, to i temu zapewne Minos nie przyzna nagrody?

DZEUS: No nie.

PIESEK: W takim razie, Dzeusie, on nie powinien nikogo ani nagradzać, ani karać.

DZEUS: Jak to nikogo?

PIESEK: Bo my, ludzie, niczego nie robimy sami z siebie, tylko słuchamy jakiejś nieuniknionej konieczności, jeżeli prawdą jest tamto, na cośmy się przedtem zgodzili, że Mojra jest winna wszystkiemu. I gdyby zabił ktoś, to ona popelnia zabójstwo, i gdyby świątynię zrabował, robi to tylko, co mu jest nakazr że jeżeliby Minos chciał sądzić sprawiedliwie, to Mojre powinien karać zamiast Sizyfa i Mojre — zamiast Tantalą. Bo co oni złego zrobili? Przecież tylko słuchali rozkazów.

DZEUS: Nie, niewart jesteś nawet, żeby ci odpowiadać na takie pytania. Zuchwały jesteś i krętacz. Już sobie idę precz, a ciebie zostawiam.

PIESEK: Ja się chciałem jeszcze i o to zapytać, gdzie właściwie Mojry mieszkają albo, jak one dają rady temu, żeby wejść w najdrobniejsze szczegóły tylu spraw. Przecież ich jest tylko trzy. Mam wrażenie, że pędzą życie pełne ciężkiego trudu i marny ich los: tyle spraw mieć na głowie.

Zdaje się, że i one też nie urodziły się pod szczęśliwą gwiazdą. Ja przynajmniej, gdyby mi był dany wybór, nie zamieniłbym się z nimi za moje życie. Wolałbym raczej być do samej śmierci jeszcze biedniejszy niż jestem, niż siedzieć i prząść wrzeczono pełne tylu spraw, i pilnować każdego szczegółu. Jeżeli ci, Dzeusie, nie łatwo odpowiadać na te pytania, to zadowolimy się i tymi odpowiedziami, któreś dał. One wystarczają, żeby oświetlić pojęcie Przeznaczenia i Opatrzności. A usłyszeć coś więcej — zapewne nie było mi przeznaczone.

### III. O OFIARACH

Czego to głupi ludzie nie robią — przy sposobności ofiar i świąt, i procesyj — w stosunku do bogów, o co się nie modlą i czego nie ślubują, i co przy tym o bogach myślą. Ja nie wiem, czy jest człowiek taki ponury i smutny, który by się nie roześmiał spojrzawszy na naiwność tego, co ci ludzie wyrabiają.

A myślę, że jeszcze, zanim się roześmieje, zastanowi się i rozważy u siebie, czy wypada tych ludzi nazywać pobożnymi, czy też wprost przeciwnie; czy to nie są nieprzyjaciele bogów i opętani złym duchem; ci, którzy bóstwo uważają za coś tak biednego i nędznego, żeby potrzebowało ludzi i cieszyło się, gdy mu schlebiają, a gniewało się, gdy je zaniedbują.

Przecież to wszystko, co się stało w Etolii, i nieszczęścia Kalydończyków, i te morderstwa, i zmarnowanie się Meleagra — to wszystko, mówię, miała być robota Artemidy, obrażonej o to, że jej Ojneus nie zaprosił na ofiarę. Tak jej do żywego dogryzła różnica w bydle ofiarnym. Mam wrażenie, że ją widzę wtedy w niebie, jak siedzi sama, bo inni bogowie poszli do Ojneusa, jak ona się tam awanturuje i piekli, że jej nie wzięto na taką uroczystość.

Ajtiopów zaś mógłby ktoś szczęśliwymi nazwać — po trzykroć, jeżeli im Dzeus pamięta tę przysługę, którą mu wyświadczyli podejmując go ofiarami przez dwanaście dni z rzędu, a on z sobą przyprowadził innych bogów też.

I tak, zdaje się, że bogowie nic za darmo nie robią, tylko sprzedają ludziom łaski i można sobie u nich kupić zdrowie, jak się uda, to za cielę; bogactwo — za cztery woły, a koronę królewską za sto wołów. To, żeby cało wrócić spod Ilionu do Pylos, kosztuje wołów dziewięć, a żeby z Aulidy przepłynąć do Ilionu, to kosztuje królową. To żeby miasto nie zostało wtedy zdobyte, kupiła sobie Hekuba u Ateny za dwanaście wołów i płaszcz. Trzeba wnosić, że dużo można sobie u nich kupić nawet za koguta, za wianek albo za kadzidło.

Mam wrażenie, że wiedział o tym i Chryzes — to przecież był kapłan i stary człowiek, i znał się na rzeczach boskich, kiedy z próżnymi rękami odszedł od Agamemnona — on jakby sobie był z góry złożył u Apollona łaskę i teraz się o nią prawuje, i żąda



wzajemności, i tylko co nie beszta, kiedy mówi: „Apollonie najlepszy, przedtem wieńców na twojej świątyni nie było. Dopiero ja ci ją często ozdabiałem wieńcami i tyle ci zadów wołowych i kozich popaliłem na ołtarzach, a ty nie dbasz o mnie, kiedy mnie takie nieszczęście spotyka, i za nic sobie masz dobroczyńcę”. To też tak tymi słowami zmiękczył serce Apollona, że ten porwał łuk, usiadł sobie na wybrzeżu koło okrętów i zarazą raził z łuku Acha-jów razem z mułami i z psami.

A kiedym już wspomniał o Apollonie, to powiem i to, co o nim ludzie mądrzy opowiadają — nie to, że nie miał szczęścia w miłości, ani o zabójstwie Hyakinthosa, ani że Dafne na niego patrzeć nie chciała, ale jak to, skazany za pomordowanie Kyklopów i wygnany za to z nieba, został wysłany na ziemię, aby tu zaznać losu ludzkiego. Więc kiedy nawet na służbie był w Tessalii u Admeta i we Frygii u Laomedonta — u tego nawet nie sam jeden, ale razem z Posejdonem — wtedy obaj kładli cegły z biedy i budowali mur. I nawet całej zapłaty nie dostali od Frygijczyka — mówią, że został im winien więcej niż trzydzieści drachm trojańskich.

Doprawdy, czyż nie to opowiadają z uroczystą miną poeci o bogach i o wiele świętsze od tej historii o Hefajstosie i o Prometeuszu, o Kronosie i Rei, i prawie o całym domu Dzeusa? I to jeszcze pomocy Muz wzywają na początku eposu, aby z nimi śpiewały. A jak w nich boginie wstąpią, naturalna rzecz, wtedy śpiewają, że Kronos, jak tylko wykastrował ojca, Uranosa, wstąpił na tron na jego miejsce i zaczął swoje dzieci zjadać, jak to później robił Thyestes z Argos. Dzeusa Rea wykraǳła, podrzuciła kamień, a Dzeusa, wyrzuconego na Krecie, wychowała koza, jak Telefosa łania, a Persa, Kyrosa Starszego, psica. Dzeus potem napęǳił ojca i do więzienia go wtrącił, a sarn objął rządy. Żon miał wiele różnych, a na ostatku rodzoną siostrę — według praw perskich i assyryjskich. Kochliwy i przepadający za życiem płciowym, łatwo swoimi dziećmi niebo napełnił; jedne miał z równych sobie, a niektóre nieprawego pochodzenia, z kobiet śmiertelnych mieszkających na ziemi. Udał się chłopiec — raz się w złoto zamieniał, to znowu w byka, to w łabędzia, to w orła — w ogóle: więcej przybierał różnych postaci, niż sam Proteus. Jedną tylko Atenę urodził z własnej głowy — po prostu mózg sobie wybrał. Bo Dionysosa, mówią, że jeszcze nie sformowanego do końca z matki, kiedy się jeszcze paliła, wygrał, we własnym udzie go przechował,

a potem wyciął, jak się bóle zaczęły.

Podobne do tego rzeczy śpiewają i o Herze, jak to: nie obcu-  
jąc z mężem, z wiatru urodziła syna, Hefajstosa. Ten był nie  
bardzo szczęśliwy; rzemieślnik, kował, wciąż koło ognia, w dymie  
siedzi wciąż, iskry go obsypują — jak to koło komina — i nawet  
nóg nie ma równych. Kuleje od tego upadku, kiedy go Dzeus  
zrzucił z nieba. Gdyby go Lemnijczycy nie byli jeszcze w powietrzu  
złapali — a zrobili to bardzo dobrze — i nie przyjęli do siebie,  
byłby nam Hefajstos zginął. Tak jak Astyanaks, kiedy spadł  
z wieży.

Chociaż to z Hefajstem to jeszcze pół biedy. A z Prometeusem  
któż nie wie, co się stało za to, że nad miarę kochał ludzi? Tego  
też Dzeus kazał do kraju Skytów zaprowadzić i rozkrzyżować  
go na Kaukazie. Orła przy nim postawił, aby mu dzień w dzień  
szarpał wątrobę.

Więc ten odprawia swoją pokutę według wyroku. Ale taka  
Rea — bo trzeba może i to powiedzieć — czy ta się nie kompro-  
mituje i nie prowadzi strasznie, kiedy dziś, będąc już staruszką —  
wdzięki dawno opadły — i matką tylu bogów, jeszcze się kocha  
w chłopcu i wozi z sobą Attisa na wozie w lwy zaprzężonym —  
tym bardziej, że on się jej nigdy na nic przydać nie może? Wobec  
tego, jak można jeszcze mieć pretensję do Afrodyty, że rogi mężo-  
wi przyprawia, albo do Seleny, która do Endymiona schodzi nieraz  
z połowy drogi?

Ale dajmy już pokój tym obmowom, a pójdźmy do samego  
nieba. Polecimy tam na skrzydłach poezji tą samą drogą, co  
Homer i Hezjod, i zobaczymy, jak tam jest na górze. Że niebo  
z wierzchu jest z brązu, to już przed nami Homer powiedział; sły-  
szeliśmy. A jak wyjść wyżej i wynurzyć się trochę na górę, i znaleźć  
się po prostu na szczycie sklepienia niebieskiego, zjawia się  
światło jaśniejsze i słońce czystsze, i gwiazdy świetniejsze,  
i w ogóle powszedy jest dzień i ziemia pod nogami złota. U wej-  
ścia zaraz mieszkają Godziny. Pilnują bramy. A potem Jutrzenka  
i Hermes, bo to służący i posłańcy Dzeusa. Z kolei kuźnia Hefaj-  
sta, pełna wszelkiego rodzaju dzieł sztuki, a potem domy bogów  
i pałac królewski Dzeusa. To wszystko bardzo piękne, bo to ro-  
bota Hefajstosa. „Bogowie zaś siedzą wokoło przy Dzeusie” —  
skoro już jesteśmy na górze, to wypada, sędzę, mówić wyższym  
stylem — spoglądając z góry na ziemię, nachylając się, czy tam  
gdzieś nie widać ognia, może go ktoś rozpala, a może się tam

skądś zapach ofiar podnosi „i kłęby dymu obwija”. I jeżeli ktoś składa ofiarę, cieszą się wszyscy, nachylają się z otwartymi ustami nad dymem i spijają krew, która się po ołtarzach leje — zupełnie jak muchy. A jeżeli są na wikcie w domu, to nektar i ambrozja na obiad. Dawniej ludzie też jadali i pili razem z nimi — taki Iksion i Tantalos. Ale że byli zuchwali i plotkarze, więc jeszcze i teraz ponoszą za to karę; nie ma wstępu do nieba dla istot śmiertelnych i nie wolno im o nim mówić.

Takie jest życie bogów. Toteż i ludzie odpowiednie do tego i na tych założeniach oparte praktyki przedsięwzięją w służbie bożej. Więc naprzód poodgradzali im łąsy i oddawali im góry w opiekę, i poświęcali im ptaki i rośliny — każdemu bogu jakieś. A potem sobie narody bogów porozbierały i każdy jakiegoś czci i robi go swoim obywatelem. Delfijczyk Apollona, tak samo lud wyspy Delos, Ateńczyk Atenę — podobieństwem imienia dowodzi pokrewieństwa, obywatel Argos Hereę, Mygdończyk Reę, a mieszkawiec wyspy Pafos Afrodytę. Kreteńczycy znowu mówią nie tylko to, że Dzeus się u nich urodził i wychował; ale nawet pokazują jego grób. Więc myśmy się tak długi czas łudzili myśląc, że Dzeus grzmoty i deszcze zsyła i wszystkim innym rządzi, a nie wiedzieliśmy, że on dawno umarł i jest pochowany na Krecie.

Potem świątynie pobudowali, aby u nich bogowie nie byli bez dachu nad głową i bez ognisk domowych, i robią ich podobizny w posagach, odwoławszy się do usług Praksytelesa albo Polykleita, albo Fejdiasa. A ci — nie wiem, gdzie bogów widzieli — ale robią Dzeusa z brodą, Apollona jako młodego chłopca raz na zawsze, Hermesa z długą brodą, Posejdona z włosami w kolorze morskim, a Atenie dają oczy niebieskie. Wszystko jedno — ci, co wchodzą do świątyni, myślą, że już nie widzą ani kości słoniowej z Indii, ani złota wykopanego w górach trackich, tylko samego syna Kronosa i Rei, którego Fejdias na ziemię sprowadził i kazał mu z góry patrzeć na pusty kraj Pizyjczyków, aby był zadowolony, jeżeli mu ktoś raz na całych pięć lat złoży ofiarę przy okazji igrzysk olimpijskich.

Pozakładali ołtarze i przepowiednie, i skraplanie święconą wodą, i przyprowadzają ofiary. Chłop wołu od pług, pasterz owcę, pastuch kozę, a ktoś tam inny kadzidło albo bułkę święconą; ubogi człowiek wyprasza sobie łaskę boga, całując tylko siebie samego w prawą rękę. A ci, co ofiary składają — bo do nich nawracam — wieńcem przystrajają zwierzę, a przede wszystkim

przyjrzeni się dokładnie, czy ono jest bez zarzutu, aby przypadkiem nie zarznąć jakiegoś nieużytką, przyprowadzają je do ołtarza i zarzynają przed oczyma boga. Ono ryczy żałośnie — zapewne tak błogosławi boga i już półgłosem zastępuje flet przy ofierze. Któż by mógł przypuszczać, że bogów nie cieszy taki widok?

Rytułał mówi, że poza obręb święconej wody nie wolno wchodzić nikomu, kto nie ma czystych rąk, ale kapłan sam stoi tam okrwawiony, zupełnie jak ten Cyklop, rozcina i wybiera wnętrzności, i wydziera serce, i krwią polewa ołtarz, i czego on tam nie robi z pobożności! Na końcu rozpala ogień i kładzie tam kozę; niesie ją za skórę i owcę razem z wełną; cudowna woń spalenizny, tak odpowiednia do świętego obrzędu, wznosi się w górę i rozplywa się po całym niebie.

Skyta zarzucił wszelkie ofiary, uważając, że są zbyt ubogie, samych ludzi składa Artemidzie w ofierze i tak czyniąc podoba się bogini.

To może jest w porządku. I to, co Assyryjczycy robią i Frygowie, i Lydyjczycy. A jak do Egiptu przyjdiesz, dopiero wtedy zobaczysz wiele rzeczy poważnych i naprawdę godnych nieba: Dzeusa z głową barana, poczciwego Hermesa z pyskiem psa, Pana jako całego kozła, a jako ibisa jakiegoś tam innego i jako krokodyla, i małpę.

„A jeśli zechcesz to także zrozumieć, abyś to wiedział”, to usłyszysz z ust wielu uczonych w piśmie i proroków z golonymi głowami — oni ci powiedzą, ale naprzód, jak to się mówi, „zamknij drzwi, kto nie wtajemniczony” — że to z powodu wojny i powstania Gigantów bogowie wystraszeni przybyli do Egiptu, aby się tam ukryć przed nieprzyjaciółmi. I tam jeden z nich przybrał postać kozła, drugi barana — ze strachu — inny jakiegoś zwierzątka albo ptaszka. Dlatego jeszcze i dziś zachowują tam postacie bóstw z owych czasów. To, naturalnie, wszystko jest zapisane w świątyniach, a te napisy pochodzą sprzed tysięcy lat.

Ofiary i u nich te same. Tyle tylko, że odprawiają żale nad zwierzęciem ofiarnym i biją się w piersi stojąc naokoło już zabitego. A niektórzy je zakopują zaraz po zabiciu.

Największym bogiem jest u nich Apis. Ten jeżeli zginie, to gdzież jest ktoś, kto swoje włosy ceni tak wysoko, żeby sobie głowy nie kazał ogolić i łysiną nie okazywał żałoby, choćby miał włosy purpurowe jak Nisos? Apis to bóg wybrany z trzody po

zejściu poprzedniego, jako o wiele piękniejszy i bardziej poważny od pospolitych wołów.

Tak się to dzieje i taka jest wiara szerokich kół. Mam wrażenie, że tu nie ma co się gniewać i ganić — tu trzeba jakiegoś Heraklita albo Demokryta — jeden, żeby się śmiał z ich ciemnoty, a drugi, żeby ich głupotę opłakiwał.

#### IV. O ŻAŁOBIE

Warto się przyjrzeć temu, co ludzie w razie żałoby robią i mówią, i temu też, co mówią znowu ci, którzy chcą ich niby to pocieszać; jak to ludzie uważają, że nie do zniesienia jest taki cios dla nich samych i dla tych, przed którymi się skarżą. A przecież — na Plutona i Persefonę — nie wiedzą zgoła jasno, czy śmierć jest czymś przykrym i warto się nią gryźć, czy też na odwrót: czymś przyjemnym i lepszym dla tych, którzy pomarli, a tylko prawo i zwyczaj nakazują w takich razach smutek. Więc kiedy ktoś umrze, ludzie tak robią — ale wolę naprzód powiedzieć, jakie mniemania żywią o samej śmierci. W ten sposób będzie rzecz jasną, z jakiego powodu podejmują te zbyteczne zabiegi.

Otóż wielki tłum tych, których ludzie mądrzy nazywają idiotami, ci ulegają na tym punkcie Homerowi, Hezjodowi i innym bajkopisarzom, traktują ich poezje jak rodzaj prawa i przyjmują, że istnieje głęboko pod ziemią jakieś miejsce, Hades, wielkie, rozległe, ciemne i bez słońca — nawet nie wiem, jak sobie tam wyobrażają oświetlenie, aby można było dojrzeć to, co tam jest wszystko. A króluje nad tą przepaścią brat Dzeusa, który się nazywa Pluton. Ktoś, kto się na tych rzeczach zna, powiedział mi, że ta nazwa stąd, że jego bogactwo stanowią umarli (plutos znaczy po grecku: bogactwo). Więc ten Pluton ustanowił u siebie taki ustrój i taki bieg życia pod ziemią. Przypadło mu w udziale panowanie nad zmarłymi. Więc on ich przyjmuje, a wzięwszy za trzymuje ich więzami, z których nie ma ujścia. Nikomu w ogóle wyjść na górę nie pozwala — z bardzo małymi wyjątkami — w ciągu całej wieczności — z przyczyn bardzo ważnych.

Opływają jego kraj rzeki wielkie i straszne — już z samego imienia: Rzeki Płaczu i Lamentów, i Rzeki Płomieni itd. Tak się nazywają. Największa woda to jezioro Acheruzja. Na nią naprzód natrafiają ci, którzy tam przychodzą. Nie ma sposobu, żeby je przepłynąć albo przejść bez przewoźnika. Za głębokie na to, żeby je przebrnąć nogami i zbyt rozległe, żeby je przepłynąć. W ogóle: nawet umarłe ptaki przelecieć go nie potrafią.

U samego zejścia i u bramy, która jest ze stali, stoi bratanek króla, Aijakos. Ma sobie zleconą straż. Obok niego pies trójgłowy o bardzo ostrych zębach; na wchodzących patrzy jakoś przy-

jaźnie i spokojnie, a na tych, którzy próbują uciekać, szczeka i straszy ich paszczą.

Tych, którzy przepłyną jezioro do wnętrza tego kraju, przyjmuje łąka duża, porośła asfodelem i źródło, które zabija pamięć. Dlatego nazywa się Źródłem Niepamięci (Lethe). Takie rzeczy faktycznie opowiedzieli dawnym ludziom ci, którzy stamtąd przyszli: Alkestis i Protesileos, i homerycki Odysseus, świadkowie bardzo poważni i wiarogodni — mam wrażenie, że nie pili z tego źródła. Bo nie byliby pamiętali o tych rzeczach.

Zatem Pluton, jak oni mówili, i Persefona mają tam władzę i wszystkim rządzą absolutnie, a w służbie u nich zostaje i uczeństniczy w rządach wielki tłum: Erynie i Kery, i Strachy, i Hermes — ten jednak stale tam nie przebywa.

Namiestników zaś i satrapów, i sędziów siedzi tam dwóch: Minos i Radamantys, Kreteńczycy, synowie Dzeusa. Ci dobrych ludzi i sprawiedliwych, i tych, co się dzielnością odznaczali za życia, kiedy ich się dużo zbierze, odsyłają na dolinę Elysion, jakby na osiedlenie — oni tam razem pędzą życie bardzo dobre.

A jak dostaną kogoś spośród złych, oddają go Eryniom i odsyłają do szeregu bezbożników, aby ponosił karę według swej niesprawiedliwości. Jakich oni tam mąk nie znoszą — tam ich torturują i palą, i sępy ich zjadają, i na kole ich kręcą, i oni kamienie pod górę toczą! Tantalos nad samym jeziorem stoi i usycha — gotów, nieborak, umrzeć z pragnienia.

A ci, którzy mieli życie przeciętne, a tych jest dużo, błakają się po łące i nie mają ciał. Porobiły się z nich cienie; kiedy je chwycić ręką, znikają tak jak dym. Żywią się libacjami od nas i tym, co my im tu spalamy na grobach. Tak że jeśli tu ktoś na ziemi nie zostawił przyjaciela albo krewnego, taki nieboszczyk głoduje tam pomiędzy nimi.

Te mniemania są tak głęboko zakorzenione w szerokich kołach, że kiedy umrze ktoś w domu, to przede wszystkim biorą obola i kładą go umarłemu do ust. To ma być opłata dla przewoźnika za przewóz. Nie dochodzą naprzód, jaka waluta ma kurs tam pod ziemią i czy tam uznają obole attyckie, macedońskie, czy egineckie — i że lepiej by było o wiele nie mieć przy sobie opłaty za przewóz. Bo gdyby ich przewoźnik nie przyjął, można by ich może wydostać znowu do życia.

Potem ich kąpią — jakby im nie dość było tej kąpieli w jeziorze podziemnym — i najlepszymi balsamami namaszczają

ciało, które już musi zacząć wydzielać woń przykrą. Ubierają ich w wieńce z uroczych kwiatów i wystawiają ubranych w świetne stroje, aby, rzecz oczywista, nie marzli po drodze i żeby ich Kerberos nagimi nie widział.

Wtedy zaczynają się głośnie lamentsy i płacz kobiet, i u wszystkich łzy i bicie się w piersi, i szarpanie włosów, i zaczerwienione policzki. Czasem ktoś i ubranie drze na sobie, i popiołem sobie głowę posypuje, i żywi stają się biedniejsi od nieboszczyka. Bo ci się po ziemi wiją, nieraz i głowami biją o podłogę, a ten wygląda przyzwoicie, ładny i z przesadą wieńcem ozdobiony, wysoko sobie leży między niebem a ziemią — wystrojony jak na procesję.

Potem matka albo, na Dzeusa, ojciec też, z koła rodziny występuje naprzód i rzuca się na niego — powiedzmy, niech na katafalku leży ktoś młody i ładny, aby jaskrawiej wyszedł ten dramat, który się nad nim odprawia — więc ojciec wydaje dźwięki niesamowite i bez sensu, na które nieboszczyk sam może by i odpowiedział, gdyby mógł z siebie głos wydobyć. Ojciec będzie mówił jęklwym głosem, przeciągając z naciskiem każdy wyraz: „Dziecko najmilsze, odchodzisz ode mnie i jużś umarł, przed czasem cię ode mnie oderwano, mnie samego w nieszczęściu zostawiasz — nie ożeniłeś się i dzieci nie miałeś, nie chodziłeś na wojnę i gruntuś nie uprawiał, i nie doczekałeś starości; już nie będziesz więcej późno do domu wracał ani się kochać nie będziesz, dziecko moje, ani z kolegami pić nie będziesz przy okazjach”.

Te i tym podobne rzeczy będzie mówił, przekonany, że syn jeszcze potrzebuje takich rzeczy i pragnie ich jeszcze i po śmierci, a tylko udziału w nich brać nie może. Ale czemu ja tylko o tym mówię? Iluż to i konie, i dziewczęta, i podczaszych na pogrzebie pozabijało i suknie, i biżuterie popalili razem z ciałem albo zakopali, jak gdyby zmarli mieli się tym posługiwać albo mieć coś z tego — tam, pod ziemią?

Więc ten stary człowiek, który obchodzi żałobę w ten sposób, mówi, jak powiedziałem i jeszcze więcej ponadto, a całą tę tragedię robi, zdaje się, nie ze względu na chłopca, bo wie, że ten go nie usłyszy, choćby krzyczał głośniejsz niż sam Stentor. Ani też ze względu na siebie samego. Bo zrozumieć to i wiedzieć można i bez krzyku. Przecież nikt nie musi krzyzczeć sam do siebie. Więc zostaje tylko to, że on to wszystko plecie ze względu na obecnych, a nie wie ani tego, co się z jego chłopcem dzieje, ani gdzie on się podział — i w ogóle nie zastanawia się nad życiem, jakie ono jest;



inaczej nie irytowałby się tak na wyjście z życia, jakby to była rzecz straszna.

Chłopak mógłby mu powiedzieć — przeprosiwszy Aijakosa i Hadesa, żeby mu pozwolili wychylić na moment głowę z podziemia i uspokoić ojca — aby tych nedorzecznosci nie plótł, więc mógłby się do niego odezwać tak: Pan Bóg z tobą, człowiecze — czemu ty krzyczysz? Czemu mi głowę zawracasz? Przestań sobie włosy wyskubywać i policzków sobie nie rozdrapuj. Czemu mnie poniewierasz i nazywasz mnie nieszczęsnym i nędznym, kiedy ja się zrobiłem lepszy i szczęśliwszy od ciebie? Czy ty myślisz, że mi się dzieje coś strasznego? Czy to dlatego, że się nie zestarzałem jak ty: z łysą głową i z pomarszczoną twarzą, zgarbiony i z podgiętymi kolanami i w ogóle zębem czasu nadgryziony i zmurszały — tyle miesięcy i tyle olimpiad za tobą — i w końcu te nedorzecznosci pleciesz wobec tylu świadków. Niemądry człowieku, cóż ci się tak cenne wydaje w życiu, w czym już nigdy udziału nie wezmę? Ty pewnie powiesz, że napoje — rzecz naturalna — i przyjęcia z kocalcją, i suknie, i kobiety, i boisz się, żebym nie zginął z braku tego wszystkiego, a nie wiesz, że nie mieć pragnienia jest o wiele lepiej niż pić — i nie być głodnym lepiej niż jeść — i nie marznąć lepiej niż mieć wiele ubrań?

Więc proszę cię, skoro widocznie nie umiesz, to ja cię nauczę lamentować, mniej mijając się z prawdą. Zaczynajże na nowo i krzycz tak: „Dziecko nieszczęśliwe, już nigdy nie będziesz cierpiał pragnienia ani głodu, ani mrozu. Odchodzisz ode mnie, nieszczęsny, i uciekasz od chorób i już się nie będziesz bał gorączki ani wroga, ani dyktatora. Ani miłość nie będzie cię dręczyła, ani obcowanie szarpało tu i tam, i nie będziesz się tym po dwa i po trzy razy dziennie rujnował! O, co za nieszczęście! I nie będą tobą pomiatali, jak się postarzejesz, i nie będziesz swoim widokiem robił wstrętu młodemu”.

Gdybyś to mówił, ojczy, czy nie myślisz, że powiedziałbyś coś bliższego prawdy i zabawniejszego niż tamto? Ale zobacz, czy nie to ciebie trapi: ty myślisz o tej ciemności u nas i o grubym mroku. A potem się boisz, żebym ci się nie udusił — zamknięty w grobowcu? Trzeba wobec tego porachować sobie to, że jak oczy zgniją albo, na Dzeusa, spalą się za chwilę, jeżeliście mnie postanowili spalić, wtedy ani ciemności, ani światła widzieć mi nie będzie trzeba. I to może prosta rzecz.

A na co mi się przyda wasz płacz i to bicie się w piersi przy

dźwięku fletu, i te przesadne lamenty kobiet? Na co mi ten kamień na grobie z przewieszonym wieńcem? I po co wy to mocne wino na grób wylewacie? Czy wy myślicie, że ono ścieknie aż tutaj do nas i dojdzie aż do Hadesu?

A z tych ofiar spalonych na grobach — myślę, że to widzicie przecież i sami, że to, co z nich wraca najlepiej, to dym z sobą zabiera i to idzie do nieba, a nam tutaj na dole nic z tego; zostaje tylko popiół, nieużyteczny zgoła — chyba że wy wierzycie, iż my się żywimy popiołem.

Państwo Plutona nie cierpi na taki brak nasion i plonów — nam tu nie brak asfodeiów, żebyśmy aż do was mieli po jedzenie posyłać. Tak że — na Tisifonę — mnie się już dawno bardzo chciało śmiać z tego, coście robili i mówili, a tylko mi przeszkadzało płótno i wełniane taśmy, którymiście mi szczęki zawiązali.

Rzekł i teraz dopiero śmierć go nareszcie spowiła.

Na Dzeusa, gdyby to powiedział nieboszczyk, obróciwszy się i podparłszy się na łokciu, czy nie uważamy, że mówiłby bardzo słusznie? A jednak ci głupi ludzie krzyczą i posyłają po jakiegoś specjalistę od żałobnych śpiewów — ten ma zebranych dużo dawnych nieszczęść i on idzie z nimi w zawody i prowadzi ten chór bezmyślny. On zaczyna pieśni, a oni mu wtórują.

Aż do śpiewów żałobnych u wszystkich panuje jedno i to samo prawo naiwności. Od tego momentu różne narody rozmaicie urządzą pogrzeby. Grek zmarłych pali, Pers grzebie, Hindus ich smaruje żywicą, Skyta zjada, a Egipcjanin balsamuje. Ten wysusza nieboszczyka — mówię, bom to widział — i dzieli się z nim jadłem i napojem. A nieraz, jak Egipcjanin nie ma pieniędzy, to wybawia go z kłopotu brat albo ojciec, jako zastaw dobry w danej chwili.

A te mogiły i piramidy, i słupy nagrobne, i napisy, które na krótki czas wystarczają, czy to nie zbyteczne i nie podobne do zabawek?

A przecież i zawody sportowe niektórzy urządzą, i mowy pogrzebowe wygłaszają nad grobami, jakby stawali w roli obrońców albo świadków razem ze zmarłym wobec sędziów pod ziemią.

Po tym wszystkim stypa. Więc przychodzą krewni i pocieszają rodziców zmarłego i namawiają, żeby czegoś skosztowali. Nie bez przyjemności, na Dzeusa, choćby ich nawet i nie zmuszano — oni się przecież już pozpsychali z głodu od trzech dni. „No, po-  
kądże będziemy płakali, mój ty? Pozwólże, niech się uspokoją cienie świętej pamięci, zmarłego. A jeżeliś się uwziął płakać wciąż,

to już i z tego samego powodu nie można się zarzekać jedzenia, aby ci sił starczyło, bo żałoba jest długa".

W takiej chwili, w takiej właśnie, wszyscy śpiewają te dwa wiersze z Homera:

Przecież i Niobe wspomniała, że czasem zjeść coś potrzeba,  
I ten:

Żołądkiem przecież nie mogą obchodzić żałoby Achaje.

I ci dotykają jada niby to, ale się wstydzą zrazu i boją się, żeby nie było widać, że oni i po śmierci istot najdroższych jednak ulegają dalej potrzebom ludzkim.

Takie rzeczy i jeszcze bardziej zabawne od tych można spotkać podczas żałoby dlatego, że szerokie koła uważają śmierć za największe nieszczęście.

## V. CYNIK

LYKINOS: Czemu ty właściwie taki jesteś: brodę masz i włosy długie, a koszuli nie masz na sobie, gołym ciałem świecisz, bez butów chodzisz, życie obrałeś sobie włóczęgowskie — żyjesz nie jak człowiek, ale jak zwierzę — wciąż swoje własne ciało poniewierasz przeciwnościami — nie tak jak ludzie robią; włóczysz się gdzieś i śpisz raz tu, raz tam — na gołej ziemi — do znudzenia wciąż tę jedną pelerynkę nosisz — ona też nie jest cienka ani miękka, ani w kwiatki.

KYNIKOS: Bo mi i nie potrzeba. Taką mam, jaką można najłatwiej dostać, a jak ją człowiek dostanie, to najmniej ma z nią kłopotu. Taka mi wystarcza.

A ty sam, na bogów, powiedz mi, czy nie uważasz, że ze zbytkiem idzie w parze zły charakter?

LYKINOS: Owszem, tak.

KYNIKOS: A z prostotą dzielność?

LYKINOS: Owszem, tak.

KYNIKOS: Więc czemu ty, widząc, że ja pędzę życie prostsze niż ci, których jest wielu, a oni wiedzą życie bardziej zbytkowne, robisz wyrzuty mnie a nie im?

LYKINOS: Bo mnie się wydaje, na Dzeusa, że ty nie żyjesz w większej prostocie, tylko w większej biedzie, a raczej to jest skończona bieda z nędzą. Ty się przecież niczym nie różnisz od żebraków, którzy sobie wypraszają chleb codzienny.

KYNIKOS: Jeżeli chcesz, to zobaczymy, skoro już rozmowa na to zesła, co to jest bieda i co to jest dostatek.

LYKINOS: Jeżeli chcesz.

KYNIKOS: Więc czy dostatek dla każdego to nie jest to, co może wystarczyć na czyjeś potrzeby? Czy też coś innego masz na myśli?

LYKINOS: Niech będzie to.

KYNIKOS: A bieda to coś mniej, niż sięgają czyjeś potrzeby i to nie wystarcza do zaspokojenia braków?

LYKINOS: Tak.

KYNIKOS: Więc u mnie wcale nie ma biedy. Bo nie mam nic, co by nie zaspokajało jakiejś mojej potrzeby.

LYKINOS: Jak to rozumiesz?

KYNIKOS: Może się zastanowisz, do czego jest każda z tych rzeczy, których potrzebujemy; na przykład dom, czy nie dla pokrycia?

LYKINOS: Tak.

KYNIKOS: A ubranie do czego? Czy i ono nie dla okrycia?

LYKINOS: tak.

KYNIKOS: A okrycia samego, na bogów, po co potrzebujemy? Czy nie na to, żeby się lepiej miał człowiek okryty?

LYKINOS: Zdaje mi się.

KYNIKOS: Więc, jeżeli chodzi o nogi, to czy myślisz, że ja się mam gorzej niż inni?

LYKINOS: Ja nie wiem.

KYNIKOS: A może się dowiesz tym sposobem: nogi jaką mają robotę?

LYKINOS: Chodzenie.

KYNIKOS: Więc czy myślisz, że moje nogi chodzą gorzej niż nogi tych, których jest wielu?

LYKINOS: To może nie.

KYNIKOS: Więc one się i nie mają gorzej, jeżeli nie gorzej spełniają swoją robotę.

LYKINOS: Może być.

KYNIKOS: Więc, jeżeli chodzi o nogi, to pokazuje się, że ze mną wcale nie jest gorzej; mam się pod tym względem równie dobrze jak ci, których jest wielu.

LYKINOS: Zdaje się, że nie gorzej.

KYNIKOS: No cóż? A moje ciało poza tym czy jest gorsze? Jeżeli gorsze, to i słabsze. Bo dzielność ciała to siła. Więc czy moje jest słabsze?

LYKINOS: Nie wydaje się.

KYNIKOS: Więc widać, że ani moje nogi, ani reszta ciała — nie potrzebują okrycia. Bo gdyby potrzebowały, miałyby się źle. Potrzeba to zawsze pewne zło i zawsze robi gorszym to, na czym się pojawi. Widać, że moje ciało nie jest też gorzej odżywione dlatego, że się żywię byle czym,

LYKINOS: To widać.

KYNIKOS: I zdrowe by nie było, gdyby się odżywiało źle; złe odżywianie wyniszcza ciało.

LYKINOS: Jest tak.

KYNIKOS: Więc dlaczego, skoro to się tak ma, ty mi robisz wyrzuty i wyrażasz się pogardliwie o moim życiu i mówisz, że

jest nędzne?

LYKINOS: Dlatego, na Dzeusa, że Przyroda, którą ty czcisz, i bogowie też położyli ziemię pośrodku i wydali z niej wiele dobrych rzeczy; tak że mamy wszystkiego pod dostatkiem — nie tylko dla użytku, ale i dla przyjemności, a dla ciebie to wszystko albo największa część tych rzeczy jest niedostępna; nie masz w nich udziału — nie więcej niż zwierzęta. Pijesz wodę jak zwierzęta; jesz, co znajdziesz — jak psy i legowisko masz nielepsze niż pies — siano ci wystarcza, tak samo jak im. Oprócz tego i płaszczyk nosisz wcale nie przyzwoitszy, niż biedacy noszą. Jeżeli więc ty masz mieć rację, kiedy się tym zadowalasz, to bóg nie miał racji, kiedy owce stworzył z miękką wełną, grona, które dają dobre wino, i wszelkie inne urządzenia przedziwnie różnorodne — i oliwę, i miód, i inne rzeczy, abyśmy mieli napój miły i żebyśmy mieli pieniądze, i mieli pościel miękką, i mieli domy piękne, i wszelkie inne urządzenia przedziwne. Przecież dzieła sztuki i rzemiosł to też dary boże. A żyć, będąc pozbawionym tego wszystkiego, to jest nędza, nawet gdyby ktoś inny człowieka tych rzeczy pozbawił — jak np. żyją ludzie w więzieniach. A o wiele większa nędza, jeżeliby ktoś sam siebie pozbawiał wszystkiego, co piękne — to już jest obłąkanie — rzecz jasna.

KYNIKOS: Może być, że słusznie mówisz. Ale to mi powiedz. Gdyby tak jakiś człowiek bogaty, filantrop, z życzliwości dla ludzi w najlepszej myśli urządził przyjęcie i podejmowałby równocześnie wielu różnych ludzi: i chorych, i zdrowych, i kazałby podać wiele różnych potraw, a ktoś by wszystko porywał dla siebie i zjadał — nie tylko to, co przed nim, ale i to, co daleko, i co dla chorych przygotowane, a on by sam był zdrow i miałby tylko jeden żołądek, i potrzebowałby mało, żeby się pożywić, a tych wiele potraw mogłoby mu tylko zaszkodzić — to jak ci się taki człowiek przedstawia? Czy to ktoś rozsądny?

LYKINOS: No, nie.

KYNIKOS: A cóż? Rozważny?

LYKINOS: Ani to.

KYNIKOS: No cóż? A gdyby ktoś przy tym samym stole nie dbał o tych wiele potraw różnorodnych, a wybrałby sobie jedną spośród tych, co najbliżej i miałby tego dość na swej użytek, zjadałby to przyzwoicie i tej jednej by używał a nawet nie patrzył na inne, czy nie myślisz, że to byłby człowiek bardziej rozważny i lepszy niż tamten?

LYKINOS: Ja myślę.

KYNIKOS: Więc czy rozumiesz, czy też ja mam to powiedzieć?

LYKINOS: Co takiego?

KYNIKOS: Że bóg, podobnie jak tamten miły gospodarz, położył przed ludźmi wiele najrozmaitszych rzeczy, aby wszyscy mieli to, co każdemu odpowiada: jedne rzeczy dla zdrowych, inne dla chorych, jedne dla mocnych, drugie dla słabych — nie na to, żebyśmy wszyscy używali wszystkich, ale żeby każdy miał to, co dla niego, i z tych rzeczy, które są dla niego, żeby brał to, czego mu najwięcej potrzeba.

A wy jesteście najbardziej podobni do tego, który, nigdy nie syty i niewstrzymały, porywa wszystko, co może; uważacie, że nie wystarczy wam ani ziemia własna, ani morze; z krańców świata sprowadzacie rzeczy przyjemne i zawsze cenicie wyżej zagraniczne niż własne, i rzeczy drogie więcej niż tanie, i trudne do zdobycia bardziej niż łatwe — wogóle: wolicie raczej mieć kłopoty i narażać się na nieszczęścia, niż żyć bez kłopotów. Przecież te rzeczy drogie i te urządzenia niby to do szczęścia potrzebne, którymi się popisujecie — one do was przychodzą za cenę wielu nieszczęść i niedoli ludzkiej. Zobacz, jeśliś łaskaw, to upragnione złoto, zobacz srebro, zobacz mieszkania bogate, zobacz suknie, o które tak bardzo chodzi i zastanów się, co za tym idzie, ile to wszystko kosztuje zachodów, ile trudów i cierpień, ile niebezpieczeństw — nawet krwi i śmierci, ilu ludzi przez to się marnuje — nie tylko dlatego, że płynąc giną po drodze, nieraz i przy wydobyciu, i przy obróbce straszne rzeczy cierpią — ale i dlatego, że o to się ludzie biją i nastajecie przez to jedni na drugich: przyjaciele na przyjaciół, dzieci na rodziców, żony na mężów. (Tak i Erifyle wydała męża za złoto).

I to wszystko się dzieje, chociaż różnobarwne suknie wcale nie potrafią jakoś lepiej ogrzać człowieka ani mieszkania kapiące od złota jakoś lepiej go nie osłaniają i srebrne kubki ani złote nie poprawiają napoju, i kością słoniową obijane łóżka nie sprowadzają przyjemniejszych snów — nieraz zobaczysz, jak na łóżku z kości słoniowej i na drogocennej pościeli szczęśliwi ludzie snu się doczekać nie mogą. A że te rozmaite zachody około potraw nie przyczyniają się wcale do lepszego odżywienia, tylko podkopują zdrowie i sprowadzają choroby — po co jeszcze i o tym mówić?

A co mówić o tym, jakie przez życie płciowe ludzie mają kłopoty i cierpienia? A przecież łatwiej zaspokajać tę żądzę, jeżeli ktoś nie zechce być wybrednym. Jednakże ludzie są tak obłąkani i zepsuci, że i tym się nie zadowolają — stawiają na głowie używanie każdej rzeczy, ze wszystkiego robią jakiś użytek przeciwny naturze. Tak jakby ktoś zamiast wozu chciał się łóżkiem posługiwać tak jak wozem.

LYKINOS: A to kto taki?

KYNIKOS: Wy, którzy się ludźmi posługujecie jak bydłem pociagowym. Każecie im kanapy na karkach nosić, jakby to były wozy, a sami na wierzchu leżycie rozwaleni niedbale i stamtąd powozicie ludźmi jak osłami; każecie iść w tę stronę, a nie w tamtą. I którzy to najwięcej robicie, uchodzicie za najszcześniejszych.

A ci, którzy ciał zwierzęcych używają nie tylko za pożywienie, ale i farby z nich powymyślali — jak ci, co purpurę robią, czy ci też nie przeciwko naturze posługują się tym, co bóg dał?

LYKINOS: Na Dzeusa! Przecież z małża purpurowego można robić farbę — nie tylko go zjadać.

KYNIKOS: Ale on nie jest na to stworzony. Przecież i wazy, gdyby ktoś gwałtem chciał, mógłby używać jako garnka, ale ona nie na to jest.

Kto by to potrafił przejść całe opętanie tych ludzi — ono jest takie wielkie! A ty mnie zarzucasz, że nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Ja żyję tak jak tamten człowiek przyzwoity; ja się cieszę tym, co jest dla mnie i używam tego, co najtańsze, a nie gonię za różnorodnością uciech.

A potem, jeżeli ci się wydaje, że ja żyję jak zwierzę, dlatego że mało mi potrzeba i niewiele rzeczy używam, to bogowie gotowi, według ciebie, być jeszcze gorsi od zwierząt, bo oni niczego nie potrzebują. Ażebyś jaśniej zrozumiał, co to jest „potrzebować mało” i co znaczy „potrzebować wiele”, to pomyśl, że więcej potrzebują dzieci niż ludzie dorośli, kobiety więcej niż mężczyźni, chorzy więcej niż zdrowi — w ogóle: wszędzie to co gorsze ma potrzeby większe niż to co lepsze. Dlatego bogowie nie potrzebują niczego, a ci którzy są bogom najbliżsi, potrzeb mają najmniej.

Czy ty myślisz, że Herakles, najlepszy ze wszystkich ludzi, człowiek boski i słusznie za boga uważany, skutkiem jakiegoś opętania chodził goły, miał tylko skórę na sobie i nie potrzebował nic z tego, co wy? On nie był opętany, on od drugich nieszczęście odwracał — i nie był ubogi też — panował nad ziemią i morzem.



Do czegokolwiek się zabrał, wszędzie zwyciężał wszystko i pośród współczesnych nie spotkał nikogo podobnego do siebie ani lepszego, aż odszedł spośród ludzi. Czy ty myślisz, że on nie miał pościeli i butów, i dlatego tak chodził? Tak nie można powiedzieć. Tylko był wstrzemięźliwy i mocny, i panować chciał, a dąć się i wylegiwać w zbytkach nie chciał. A Theseus, jego uczeń, czy nie był królem całej Attyki a synem Posejdona, jak mówią, najlepszym z ludzi swego czasu?

A jednak i on chciał chodzić bez obuwia i nago, i podobało mu się brodę mieć i włosy długie. Podobało się nie tylko jemu samemu, ale i wszystkim starożytnym. Bo byli lepsi od was i nie byłby żaden zniósł, żeby go strzyc — zupełnie tak, jakby kto lwa strzygł. Uważali, że delikatna i gładka cera przystoi kobietom. A sami, jak byli naprawdę, tak i chcieli wyglądać na mężczyzn — zarost uważali za ozdobę mężczyzny, jak u koni grzywę albo u lwów, którym bóg dał zarost dla wspaniałego wyglądu i dla ozdoby. Tak samo i mężczyznom bóg dał brodę.

Więc ja za nimi idę z podziwem — za starożytnymi — i tych chcę naśladować z całym zapalem, a nie idę za dzisiejszymi i nie zazdroszczę im tego ich podziwu godnego szczęścia, którym się cieszą przy stołach i znajdują je w sukniach i w goleniu każdej części ciała — nawet części niewymownych nie pozwalają mieć takimi, jak urosły.

A ja bym chciał, żeby się moje stopy niczym nie różniły od kopyt końskich, jak były — mówią — stopy Chejrona, i sam, że bym nie potrzebował pościeli — jak lwy — i jadła że bym nie potrzebował droższego niż psy.

Abym na całej ziemi wszędzie znalazł legowisko, które mi wystarczy; za dom że bym uważał świat, a jedzenie lubił takie, które znaleźć najłatwiej. A złota i srebra że bym nie potrzebował ani ja sam, ani nikt z moich przyjaciół. Wszystkie nieszczęścia ludzkie rosną z żądzы złota i srebra: i rozterki, i wojny, i zasadzki, i mordy. To wszystko ma swoje źródło w tej żądzy, żeby posiadać więcej. Ode mnie niech się ta żądza trzyma z daleka; obym nigdy nie zapragnął mieć więcej niż ktoś drugi, a posiadając mniej, że bym wytrzymać potrafił.

Taka jest moja postawa wewnętrzna — bardzo przecież odmienna od stanowiska tych, których jest wielu. Więc nic dziwnego, że wyglądem różnię się od nich, skoro moja postawa życiowa jest tak bardzo odmienna. A tobie dziwię się bardzo, jak też

to jest, że ty uznajesz jakiś strój odpowiedni dla kitarzysty i wygląd — i dla flecisty, na Dzeusa, wygląd pewien, i suknię dla aktora tragicznego też, a w żaden sposób nie uznajesz wyglądu i ubrania człowieka dzielnego — wiedząc o tym, że ci, których jest wielu, nic nie są warci. Jeżeli potrzeba jednego swoistego wyglądu dla ludzi dzielnych, to któryż mógłby być bardziej odpowiedni niż ten, który się dla rozpustników wydaje najbardziej bezwstydnym i którego by sobie najmniej życzyli dla siebie?

Więc proszę, mój wygląd jest taki właśnie: szorstki, włochaty, peleryna na grzbiecie, długie włosy i butów nie mam na nogach. A wasz wygląd podobny jest do pederastów — niesposób was od nich odróżnić — ani po kolorze ubrań, ani po ich miękkości, ani po ilości koszulek, ani po zarzutkach, ni po trzewikach, ni po fryzurze, ni po zapachu. Pachnicie zupełnie tak jak oni — ci najszcześliwsi z was najwięcej. Co wart taki mężczyzna, który pachnie tak samo jak pederasta? Wy też i trudów nie znosicie lepiej niż oni, a przyjemności nie gorzej od nich. I jadacie to samo, i sypiacie podobnie, i chodzicie, a raczej chodzić nie chcecie, tylko każecie się nosić jak pakunki — jednych ludzie muszą dźwigać, a drugich zwierzęta. A mnie moje nogi noszą, dokąd bądź mi trzeba. T ja potrafię i mróz wytrzymać, i upał, i nie gniewam się na to, co bogowie robią—to dlatego, że jestem typ nędzny — a wy jesteście tacy szczęśliwi, że nie podoba się wam nic z tego, co się dzieje i narzekacie na wszystko — nie chcecie znosić tego, co jest, a gonicie za tym, czego nie ma — w zimie pragniecie wiosny, a na wiosnę mrozu, w upał chłodu wam potrzeba, a w chłodny czas upału — zupełnie jak ludzie chorzy, którym się nic nie podoba i narzekają na wszystko. U tamtych przyczyną choroby, a u was charakter.

I potem uważacie, że to my stawiać chcemy wasz świat na głowie i poprawiać go, a sami zajmujemy nieraz fałszywe stanowisko w swoim postępowaniu, a przecież to wy nie zastanawiacie się wcale nad własnym życiem i postępowaniem, i nie robicie nic według własnego sądu i rozumowania, tylko się kierujecie zwyczajem i zachciankami. Więc nie różnicie się niczym od tych, których wezbrany potok górski niesie. Tamci płyną tam, gdzie ich woda ponosi, a wy tam, dokąd was pożądaniami skierują. Z wami się dzieje podobnie, jak to mówią, że musiałoby się dziać z kimś, kto by na konia wsiadł szalonego. Koń porwałby go i ponosił. A ten by już nie mógł zsiąść z konia w biegu. Ktoś spotkawszy go, zapy-

tałby, dokąd jedzie. A ten by odpowiedział: „Dokąd się jemu zechce” — i pokazałby konia. I was też, jeżeli ktoś zapyta, dokąd gonicie, to chcąc prawdę powiedzieć, powiecie po prostu: tam, dokąd się żądom podoba, a szczegółowo: dokąd przyjemność pociągnie, a czasem opinia, a czasem chciwość. Czasem serce, a czasem strach, a czasem inna taka rzecz potrafi was ruszyć i ponieść. Bo wy nie na jednym koniu siedzicie, ale na wielu — każdy w inną stronę was niesie, a wszystkie szalone. Toteż was ponoszą i na przepaście, i na urwiska. A zanim który nie wpadnie, żaden nie wie, że upadek blisko.

A ta moja peleryna, z której się śmiejecie, i te włosy, i wygląd mój taką posiadają moc, że pozwalają mi żyć w spokoju i obcować, z kim zechcę. Bo z ludzi głupich i niekulturalnych nikt się do mnie zbliżyć nie spróbuje ze względu na mój wygląd; typy miękkie i rozwiązłe odwracają się ode mnie już z daleka. A podchodzą ludzie co najciekawszy i najprzyzwoitsi, i ci, co pożądamy dzielności. Ci najwięcej do mnie przychodzą. I ja z takimi lubię obcować. A drzwi ludzi, których nazywają szczęśliwymi, omijam, złote wieńce i purpurę uważam za oznaki zarozumiałości i śmieję się z tych typów.

A co do mego wyglądu, to, żebyś zrozumiał, że on przystoi nie tylko ludziom dzielnym, ale bogom również, chociaż ty się śmiejesz z niego, to przypatrz się posągom bogów, czy ci się wydają podobne z wyglądu do was, czy do mnie?

Nie tylko posągom helleńskim, ale przejdź się po obcych krajach i rozejrzyj się po świątyniach, czy tam bogowie mają długie włosy i brody, tak jak ja, czy też bogów się rzeźbi i maluje ogólnych — tak jak wy. Naturalnie, że i bez koszuli zobaczysz wielu — tak jak mnie. Więc jakżebyś jeszcze śmiał mówić o tym wyglądzie, że jest podławy, skoro w nim i bogom do twarzy?

VI.  
MIŁOŚNIK NIEPRAWDY  
albo  
NIEDOWIAREK

TYCHIADES: Czy mógłbyś mi, Filoklesie, powiedzieć, co też to jest takiego, co tak ludzi pociąga do nieprawdy — że i sami z przyjemnością mówią byle co, i z największą uwagą słuchają, kiedy ktoś inny takie rzeczy opowiada?

FILOKLES: Wiele jest czynników, Tychiadesie, które ludzi niektórych zmuszają do mówienia nieprawdy, np. wzgląd na pożytek z kłamstwa.

TYCHIADES: Nie w tym rzecz, jak to mówią. Ja nie o tych pytałem, którzy kłamią dla pożytku. Tym można przebaczyć — niejedno nawet raczej wypada pochwalić — jeżeli ktoś np. nieprzyjaciół wywodzi w pole albo się takim lekarstwem ratuje w niebezpieczeństwie. Tak nieraz i Odysseus robił, kiedy własne życie ratował i dbał o powrót przyjaciół. Ja, mój drogi, mówią o tych, którzy, bez względu na pożytek, cenią fałsz więcej niż prawdę, cieszą się nim i zabawiają się tym bez żadnego pozoru jakiejś konieczności. Ja bym o tych rad wiedział, dla jakiego dobra to robią.

FILOKLES: A czyś ty już gdzieś spotkał takich ludzi, którzy mają wrodzone to zamiłowanie do fałszu?

TYCHIADES: Takich jest bardzo wielu.

FILOKLES: Cóż innego powiedzieć, jak nie to, że bezmyślność będzie u nich przyczyną tego, że nie mówią prawdy? Wolą to, co najgorsze, zamiast tego, co najlepsze.

TYCHIADES: Nie, Filoklesie, to też nie. Bo ja bym ci mógł pokazać wielu ludzi, poza tym inteligentnych i bardzo do rzeczy, a jednak jakoś nawiedzonych tą chorobą: lubują się w nieprawdach. Bardzo mi to przykre, że tacy ludzie, w ogóle pierwszej klasy, a jednak lubią okłamywać i siebie samych, i tych, którzy się z nimi stykają. Tych dawnych musisz znać i beze mnie, takiego Herodota albo Ktesiasa z Knidos i przed nimi poetów, i samego Homera — sławnych mężów — którzy mieli zwyczaj spisywać swoje kłamstwa, aby w pole wywodzić nie tylko tych, którzy ich słuchali, ale żeby to kłamstwo, przechowane w bardzo pięknych słowach i rytmach, przeszło z pokolenia na pokolenie aż do na-

szych czasów.

Mnie nieraz przychodzi wstydzić się za nich, kiedy opowiadają o wykastrowaniu Uranosa, o kajdanach Prometeusza, o powstaniu Gigantów i o tym całym teatrze w Hadesie, i jak to z miłości Dzeus stawał się bykiem albo łabędziem, i jak się z jednej kobiety zrobił ptak, a z drugiej niedźwiedzica, a oprócz tego o Pegazach i Chimajrach, i Gorgonach, i Kyklopach, i tym podobne niesamowite i cudowne bajeczki plotą, które mogą mieć czar i urok dla dusz małych dzieci; one się jeszcze boją Pani Mormo i Lamii.

Chociaż, jeżeli chodzi o poetów, to może jeszcze pół biedy, ale kiedy państwa i narody całe publicznie i urzędowo kłamią — to jakże się z tego nie śmiać? Jeżeli Kreta nie wstydzi się pokazywać grobu Dzeusa, Ateny twierdzą, że Erichtoniosa wydała ziemia i że pierwsi ludzie wyrosli z ziemi attyckiej jak jarzyny. Już o wiele poważniej wygląda opowiadanie tebańskie, że z zębów węża wyrosli jacyś tam ludzie dawni. A niechże ktoś teraz tych śmiesznych rzeczy nie uważa za prawdę, ale biorąc je na rozum, dojdzie do przekonania, że tylko jakiś Korojbos albo Margites mógłby uwierzyć, że Triptolemos pędził przez powietrze na skrzydlatych smokach, albo że Pan przybył z Arkadii, aby pomagać w bitwie pod Maratonem, albo że Boreasz porwał Oreithyię — taki zaraz im wygląda na bezbożnika, na obranego z rozumu, skoro nie wierzy w zdarzenia takie oczywiste i prawdziwe. Do tego stopnia dochodzi przewaga fałszu.

FILOKLES: Widzisz, Tychiadesie, może być, że poetom i państwom można by to słusznie wybaczyć. Poeci przyprawiają swoje pisma urokiem mitu, bo tego potrzebują najwięcej ze względu na swoich słuchaczy; to pociąga i bawi. Ateńczycy znowu i Tebańczycy, i może jacyś tam inni pomnażają tymi sposobami powagę swoich dziejów. Gdyby ktoś zabrał Helladzie te pierwiastki mityczne, to przewodnicy, którzy je opowiadają, gotowi by z głodu poginać, bo przyjezdni prawdy nie zechcą słuchać nawet za darmo. Ale ci, którzy bez żadnej tego rodzaju przyczyny, jednak znajdują upodobanie w fałszach — ci mogą się słusznie wydawać bardzo śmieszni.

TYCHIADES: Dobrze mówisz. Ja na przykład przychodzę do ciebie od takiego Eukratesa — to przecież nie byle kto — a nasłuchałem się tam mnóstwa rzeczy niewiarogodnych i wierutnych bajek. Właściwie w połowie rozmowy zabrałem się i poszedłem, bo już mi było tego za dużo, już nie mogłem wytrzymać. Wypę-

dzili mnie jak Erynie; takie cudeńka i niesamowitości opowiadali.

FILOKLES: No, wiesz, Tychiadesie — przecież Eukrates to człowiek wiarogodny; nikt by nie uwierzył, że on z tą długą brodą i po sześćdziesiątce, i przy tym często niedaleki od filozofii, mógłby znieść, gdyby nawet ktoś inny przy nim fałsz opowiadał, a cóż dopiero, żeby się sam na coś podobnego ważył.

TYCHIADES: Ty wiesz, przyjacielu, jakie on rzeczy mówił i jak za to ręczył, jak przeważnie na to przysięgał i dzieci podawał na świadków. Kiedym na niego patrzył, to już mi na myśl przychodziło i to, i owo: raz, że zwariował i cierpi na zaburzenie swojej zwykłej równowagi umysłowej, to znowu, że to jest blagier i szarlatan, i ja przez tak długi czas nie zauważyłem, że on pod skórą lwa ukrywa taką śmieszna małpę. Takie to było ni w pięć ni w dziewięć, to co opowiadał.

FILOKLES: Ale co takiego, Tychiadesie, na Hestię! Ja chcę wiedzieć, jaką on blagę krył pod taką długą brodą:

TYCHIADES: Ja już i dawniej, Filoklesie, bywałem u niego,, kiedym miał dużo wolnego czasu. A dziś chciałem się zobaczyć z Leontichosem — to mój znajomy — wiesz, bo mi jego służący powiedział, że wyszedł rano do Eukratesa odwiedzić go, bo ten jest chory. Więc z obu powodów: i żeby się spotkać z Leontichosem, i żeby tamtemu złożyć wizytę, bo nie wiedziałem, że on jest chory — więc przychodzę do niego.

I nie zastaję Leontichosa; powiedzieli mi, że właśnie przed chwilą już wyszedł, ale za to zastałem wielu innych. Między nimi był Kleodemos, ten od Krużganka, i stoik Deinomachos, i Ijon — ty go znasz — on się tak chlubi znajomością Platona, że niby to on jeden tylko dobrze rozumie myśl tego człowieka i potrafi ją innym wyjaśnić. Widzisz, jakie figury ci wymieniam: ludzi arcymądrych i arcydzielnych, samych pierwszorzędnymi przedstawicieli każdej szkoły, same czcigodne postacie — nie tylko straszne z wyglądu. A był jeszcze i lekarz, Antigonos, zaproszony, przypuszczam, w związku z chorobą. Eukratesowi było już, widocznie, lepiej — choroba była chroniczna. Reumatyzm poszedł mu znowu w nogi.

Więc Eukrates kazał mi usiąść koło siebie przy łóżku i kiedy mnie zobaczył, zaczął mówić z cicha, modulując głos tak, jak mówi człowiek chory. Chociaż, kiedym wchodził, słyszałem, jak krzyczał i mówił coś z gwałtownym naciskiem. Ja wystrzegałem się bardzo, żeby przypadkiem nie dotknąć jego nóg i usprawiedliwiałem się, jak to zwykle, że nic nie wiedziałem o jego chorobie, ale

kiedym się tylko dowiedział, to przybiegłem w tej chwili i tak siedziałem blisko niego.

A oni, mam wrażenie, już i przed moim wejściem dużo mówili o jego chorobie, i ta rozmowa ciągnęła się teraz dalej. Do tego każdy proponował jeszcze jakąś metodę leczenia. Więc Kleodemos powiada: „Jeżeliby więc ktoś lewą ręką podjął z ziemi ząb szczura zabitego w ten sposób, jak to mówiłem przed chwilą, i związał go w skórę lwa świeżo ściągniętą i potem by nią nogi obwinał, wtedy cierpienie ustaje natychmiast”.

„Lwa nie, powiada Deinómachos. Ja słyszałem, że to musi być skóra łani, jeszcze jałówki. W ten sposób to jest bardziej przekonujące, bo łania biega szybko i największą siłę ma w nogach. Lew jest mocny, to prawda, i jego sadło, i jego prawa łapa przednia, i włosy z brody, te proste, mają wielką moc, jeżeli tylko ktoś umie się nimi posługiwać i dodaje właściwe zaklęcie do każdej z tych części. Ale do leczenia nóg to się najmniej nadaje”.

„Ja i sam, powiedział Kleodemos, tak dawniej myślałem, że to powinna być skóra łani, bo łania ma nogi szybkie, ale niedawno pewien Libijczyk, który się doskonale na tych rzeczach znał, nauczył mnie lepiej. Powiedział, że lwy są bardziej szybkie w biegu niż łanie. Przecież, powiada, lew dogoni łanię, kiedy ją ściga.”

Obecni zaczęli chwalić Libijczyka, że dobrze powiedział. A ja mówię: to wam się zdaje, że takie rzeczy ustają pod wpływem jakichś zaklęć albo jak się coś tam z boku przywiesi na zewnątrz, mimo że choroba siedzi w środku?

Roześmiali się na te słowa i widać było, że mają mnie za wielkiego ignoranta, skoro nie znałem rzeczy tak prostych i jasnych, którym żaden rozsądny człowiek nie potrafi zaprzeczyć. Zdawało mi się, że tylko lekarz, Antigonos, był zadowolony z mojego pytania, bo mam wrażenie, że od dawna nikt nie dbał o jego rady; on chciał Eukratesowi pomóc według wymagań sztuki: radził powstrzymać się od wina i jadać jarzyny, i w ogóle obniżyć napięcie.

Otóż Kleodemos, uśmiechając się, powiada: Cóż ty mówisz, Tychiadesie? Tobie się to wydaje niewiarygodne, żeby takie rzeczy miały pomagać w chorobach?

— Mnie się tak wydaje, powiedziałem. Musiałbym przecież mieć nos całkiem zatkany, żeby uwierzyć, iż takie rzeczy zewnętrzne i nie mające nic wspólnego z tym, co w środku chorobę

wywołuje, miały działać przy pomocy słówek, jak mówicie, i jakichś czarów, i przynosiły uleczenie, jeżeli się je gdzieś tam przyczepi. Przecież to niemożliwe, choćby ktoś nawet w skórę lwa ne-mejskiego zawinął i szesnaście całych szczurów. Ja nieraz przecież widziałem, jak i sam lew kulał z bóleści, a miał na sobie całą swoją skórę.

— Bo ty jesteś wielki ignorant — powiedział Deinomachos — i nie zależało ci na tym, żeby się nauczyć tych rzeczy i dowiedzieć się, w jaki sposób działają na schorzenia te przedmioty, które się przykłada. Ja mam wrażenie, że ty byś nie uwierzył nawet w te najbardziej oczywiste zabiegi, jak odwracanie gorączek powrotnych, spędzanie robaków czarami, leczenie puchlin i inne rzeczy, które już i stare babki praktykują. Więc, jeżeli dzieje się tamto wszystko, to dlaczego nie myślisz, że i to się dzieje — pod wpływem czynników podobnych?

— Ty nalewasz z próżnego, powiedziałem, Deinomachu, i gwoździ, jak to mówią, gwoździem wybijasz. Bo nawet w tych wypadkach, o których mówisz, nie wiadomo, czy taka siła działa. Chyba że mnie przedtem przekonasz i powiesz mi na rozum, że to są zjawiska naturalne, że gorączka i puchlina boją się albo imienia świętego, albo cudzoziemskich zwrotów i dlatego uciekają z nabrzmienia — inaczej: to co mówisz, zostaje bajeczką starych babek.

— Ja mam wrażenie, odparł Deinomachos, że skoro tak mówisz, to nawet w bogów nie wierzysz, jeśli uważasz, że takie uleczenia nie są możliwe i nie mogą występować pod wpływem imion świętych.

— Tego, odpowiedziałem, nie mów, mój drogi. Bo, choćby bogowie istnieli, nic nie przeszkadza, żeby to jednak były rzeczy nieprawdziwe. Ja i bogów czczę, i uzdrowienia ich widzę, i widzę ich łaskę, kiedy chorych na nogi stawiają przy pomocy sztuki lekarskiej. Ale Asklepios sam i jego synowie leczą chorych przez przykładanie kojących lekarstw, a nie przez obwijanie skórą lwów i szczurami.

— Zostaw go, powiedział Ijon. Ja wam opowiem jedną dziwną rzecz. Ja byłem wtedy jeszcze małym chłopcem, miałem z jakich czternaście lat — jakoś tak. Otóż przybiegł ktoś do mojego ojca z wiadomością, że Midasa, robotnika z winnicy, a to był nasz człowiek, poza tym zdrowy, silny i pracowity, więc, że go żmija ukąsiła, około południa; on teraz leży i już mu noga gnije. Bo on



podwiązywał gałązki winorośli i oplatał je o tyki — wtedy przyczołgało się do niego to zwierzątko i ukąsiło go w wielki palec. Ono się zaraz schowało znowu do swojej nory, a on zaczął jęczeć i ginać z bóleści.

Więc przyszła ta wiadomość i zobaczyliśmy samego Midasa; przynieśli go inni służący na stołku. Cały był spuchnięty, siny, zlany potem i już mało co tchu w nim było. Ojciec się zgryzł, ale jeden ze znajomych był przy tym i powiada: „Nie martw się, ja ci tu sprowadzę jednego takiego z Babilonu — takiego Chaldejczyka, jak to mówią, zaraz idę, on uleczy tego człowieka”. Więc — nie chcę być rozwlekłym — przyszedł ten Babilończyk i postawił Midasa na nogi — jakimś zaklęciem wypędził jad z ciała i jeszcze mu do nogi przywiązał kamień, który wydrapał z nagrobka jednej dziewczyny.

Więc to może jest rzecz zwyczajna; chociaż Midas wziął ten stołek, na którym go przyniesiono i poszedł w pole do roboty. Taka była moc tego zaklęcia i tego kamienia z nagrobka.

Ten człowiek robił i inne rzeczy też — to były cuda, doprawdy. Przyszedł rano na pole, odczytał ze starej księgi jakichś siedem imion świętych, siarką i łuczywem oczyścił to miejsce, obszedł je trzy razy naokoło i wywołał stamtąd wszystkie gady i płazy, jakie były w obrębie granic. Więc wyszły, jakby je coś ciągnęło, na to zaklęcie liczne węże i żmije, i żmiiska, i takie z rogami, i takie jak włócznie, i żaby, i ropuchy. Został tylko jeden stary wąż. Ten, przypuszczam, ze starości nie mógł już wyleżeć albo nie dosłyszał rozkazu. Więc mag powiada, że nie ma jeszcze wszystkich. Zatem wybrał jednego z najmłodszych i posłał go do tego węża z poleceniem. Po chwili wylazł i ten. Kiedy się wszystkie zebrały, Babilończyk tchnął na nie i one się zaraz spaliły wszystkie od tego tchnienia. Myśmy się tylko dziwili.

— Proszę cię, Ijonie, powiedziałem, ten wąż posłaniec, ten młody, podał chyba ramię wężowi już podstarzałem, jak mówisz, czy też tamten się na lasce podpierał?

— Ty sobie drwisz, odezwał się Kleodemos. Ja sam też kiedyś jeszcze mniej niż ty byłem skłonny wierzyć w takie rzeczy, zdawało mi się, że żadną miarą coś takiego dziać się nie może. A jednak, kiedym pierwszy raz zobaczył latającego człowieka z obcych stron, nie z Grecji — on mówił, że pochodził z Północy — wtedy uwierzyłem i dałem za wygraną, choć opierałem się długi czas. Bo cóż było robić, kiedym widział, jak ten się w powie-

trzu unosi w biały dzień i po wodzie chodzi, i przechodzi przez ogień powoli i na własnych nogach?

— Tyś to widział? — mówię. — Człowieka z Północy latającego albo chodzącego po wodzie?

— Tak jest — powiada. — Miał na nogach chłopskie buty z grubej skóry, jakie oni przeważnie noszą. Cóż tam mówić o drobiazgach, jakich on dokazywał. I żądze miłosne zsyłał, i duchy sprowadzał, i nieboszczyków odstałych wywoływał, i samą Hekate wyraźnie stawiał koło siebie, i księżyc z nieba ściągał. Ja wam opowiem to, com widział, to się przez niego stało w domu Glaukiasa, syna Aleksiklesa.

Glaukias zaraz po śmierci ojca, jak tylko odziedziczył majątek, zakochał się w Chrysydzie, żonie Demeasa. Ja go uczyłem filozofii i gdyby mu ta miłość nie była zaprzątnęła głowy, byłby już skończył kurs perypatetyki. Miał już osiemnaście lat, skończył już analitykę i przeszedł do końca pisma przyrodnicze Aristotelesa. Ale sobie rady nie mógł dać przez tę miłość. Wyznaje mi on to wszystko, a ja, jak wypadało — byłem przecież jego nauczycielem — sprowadzam tego maga z Północy. Cztery miny dałem mu za to z góry, bo trzeba było coś od razu wydać na ofiary — a szesnaście miał dostać, jeżeli sprowadzi Chrysydę. Ten odczekał, aż nastąpiła pierwsza kwadra — bo wtedy przeważnie najlepiej się udają takie rzeczy — wykopał rów na którymś podwórku w domu i o północy wywołał nam naprzód Aleksiklesa, ojca Glaukiasa; on był umarł siedem miesięcy temu.

Oburzał się staruszek na tę miłość i gniewał się, ale w końcu jednak pozwolił mu się kochać. Potem Hekate sprowadził — ta miała Kerberosa z sobą — i księżyc ściągnął z nieba. To było bardzo urozmaicone widowisko, raz to wyglądało tak, raz inaczej. Zrazu to miało postać kobiety, potem się z tego zrobił wół bardzo piękny, a potem się pokazał szczeniak. W końcu ten człowiek z Północy Amorka jakiegoś wymodelował z gliny i powiada: Idź, przyprowadź Chrysydę. I ta glina wyleciała, a po chwili stanęła tamta pod drzwiami, zapukała, weszła i rzuciła się Glaukiasowi na szyję, jakby szalenie w nim zakochana i była z nim, pokądeśmy nie usłyszeli, że koguty pieją. Wtedy księżyc odleciał na niebo, Hekate zapadła się pod ziemię, poznikały inne widma, a Chrysydę wyprawiliśmy do domu prawie że o samym świecie. Gdybyś to był widział, Tychiadesie, byłbyś uwierzył, że w zaklęciach jest coś, co się nieraz może przydać.

— Masz słusność, powiedziałem. Byłbym zapewne uwierzył, gdybym to sam był widział. Na razie, wybaczcie mi, przypuszczam, że nie potrafię patrzeć tak bystro i dojrzeć czegoś takiego, jak wy. A tylko — ja przecież znam tę Chrysydę, o której mówisz — to bardzo kochliwa osoba i przystępna. Jeżeli o nią szło, to nie wiem, dlaczegoście potrzebowali posłańca z gliny i maga z Północy, i samego księżyca, kiedy za dwadzieścia drachm! — można ją było sprowadzić, choćby na daleką Północ. Ta osoba bardzo łatwo ulega tego rodzaju zaklęciom; wprost przeciwnie niż widma. One znikają, jak tylko posłyszają dźwięk brązu albo żelaza — wy i to mówicie — a ona, jak tylko gdzieś zadzwoni srebro, przychodzi zaraz jak do dzwonka. Poza tym dziwię się temu magowi też — on mógł być kochankiem najbogatszych kobiet i dostawać od nich całe talenty, a on za cztery miny — takie skromne wymagania! — pomnaża uroki Glaukiasa.

— Ty sobie żarty stroisz, powiada Ijon, i w nic nie wierzysz. A ja bym się ciebie chętnie zapytał, co powiesz o tych, którzy opętanych od straszydeł uwalniają — oni przecież wyraźnie wyklinają duchy. Cóż ja mam o tym mówić — wszyscy wiedzą o tym Syryjczyku z Palestyny, który się na tych rzeczach zna, ilu on bierze takich, co to padają na ziemię przy księżycu, przewracają białkami, toczą pianę z ust, a on ich na nogi stawia i odsyła zdrowych na umyśle — duże honoraria bierze za oddalanie tych strasznych nieszczęść. On, jak stanie nad takim leżącym na ziemi i zapyta, skąd one weszły w to ciało, wtedy chory sam milczy, a duch odpowiada — po grecku albo obcym językiem, skąd jest sam i jakim sposobem, i skąd wszedł w człowieka. Wtedy ten zaczyna zaklęcia, a jeśli nie ma posłuchu, to i grozi, i wypędza ducha. Ja sam widziałem, jak wychodził taki czarny i taką miał cerę jakby dym.

— To niewielka sztuka, powiedziałem, żeś ty, Ijonie, takie rzeczy widział — ty nawet same idee widzisz, które wasz ojciec, Platon, pokazuje — ale to jest bardzo niewyraźny widok dla nas, którzy mamy słaby wzrok.

— A czyż to tylko jeden Ijon, wtrącił Eukrates, widział takie rzeczy? Czyż i wielu innych ludzi nie spotykało duchów? Jedni w nocy, drudzy w dzień. Ja to nie jeden raz tylko, ale już z tysiąc razy takie rzeczy oglądałem. Zrazu mnie to denerwowało, a terazem się przyzwyczaił i mam wrażenie, że nie widzę w tym niczego opaczego. Przede wszystkim, odkąd mi jeden Arab dał pier-

ścionek żelazny zrobiony z krzyżów i nauczył mnie zaklęcia, w którym jest wiele imion. Chyba że i mnie nie będziesz wierzył, Tychiadesie.

— Jakżebym mógł nie wierzyć — odpowiedziałem — Eukratesowi, synowi Dejnona, człowiekowi mądrymu i przede wszystkim niezależnemu, kiedy mówi to, co myśli, u siebie w domu i ma zupełną swobodę.

— To o tym posągu — powiedział Eukrates — on się wszystkim w domu co nocy zjawia — i dzieciom, i młodym ludziom, i starym; o tym możesz usłyszeć nie tylko ode mnie, ale od nas wszystkich w domu.

— O jakim posągu? — zapytałem.

— Nie widziałeś — powiada — w holu, kiedyś wchodził, tam stoi bardzo piękny posąg roboty Demetriosa, tego rzeźbiarza portrecisty.

— Ty chyba nie mówisz o tym z dyskiem — odpowiedziałem. — Nie ten, nachylony, w pozycji takiej, jakby rzucał, odwrócony do ręki trzymającej dysk, druga noga lekko pochylona, jakby się miał zaraz wyprostować, jak tylko rzuci?

— Nie o tym — powiada — to jest też jedno z dzieł Myrona, ten Dyskobol, o którym mówisz. I nie mówię o tym obok, który sobie głowę przewiązuje wstążką, o tym ładnym. To jest praca Polikleita. Te posągi po prawej ręce od wejścia zostaw, tam stoją też zabójcy tyranów, roboty Kritiasa i Nesiotesa. Ale możesz tam koło fontanny widzieć takiego z brzuchem naprzód, łysego, taki na pół rozebrany, wiatr mu niektóre włosy w brodzie rozwiewa, żyły występują wyraźnie, zupełnie jak żywy człowiek. Ja o tym mówię. To, zdaje się, będzie Pelichos, wódz koryncki.

— Na Dzeusa — powiadam — ja tam widziałem jakiegoś na prawo od studzienki, miał wstążki i zeschnięte wieńce, a na piersiach połączane listki.

— To ja — mówi Eukrates — kazałem je położyć, kiedy mnie wyleczył z gorączki, która co trzy dni wracała i jużem ginął od niej.

— A to i lekarzem był również — powiedziałem — ten znakomity Pelichos?

— Jest i nie żartuj sobie — mówi Eukrates — jeszcze się i do ciebie gotów niezadługo zabrać ten człowiek. Ja wiem, ile może ten posąg, z którego ty się śmiejesz. Czy nie zważasz, że potrafi także zsyłać gorączki, na kogo zechce, ktoś, kto może je zabierać?

— Niechże będzie dla mnie łaskawy i łagodny ten posąg, skoro jest taki potężny.

A co też innego on jeszcze robi i wy wszyscy w domu widzicie?

— Jak tylko — powiada — noc zapadnie, on schodzi z postumentu, na którym stoi, chodzi po domu naokoło i wszyscy go spotykamy. On nieraz i śpiewa, ale nikomu nigdy nic złego nie zrobił. Wystarczy się odwrócić. On sobie idzie dalej i nie zaczepia tych, którzy go widzą. On się często kąpie i bawi się przez całą noc. Tak, że słychać, jak woda pluszcze.

— Uważaj — mówię — bo może ten posąg to nie jest Pelichos, tylko Talos Kreteńczyk, syn Minosa. Tamten też był z brązu, a chodził po Krecie. Gdyby on, Eukratesie, nie był z brązu, tylko z drzewa zrobiony, to nic by mu nie przeszkadzało, żeby był nie robotą Demetriososa, tylko jednym z figłów Dajdala. On przecie też ucieka z postumentu, jak mówisz.

— Uważaj, Tychiadesie, żeby ci później nie było żal tego żartu. Ja wiem, co się działo z tym, który mu obole ukradł — bo my mu zawsze na pierwszego składamy obole.

— To musiało być straszne, wtrącił Ijon, bo przecież to świętokradca! Więc jak on się na nim zemścił, Eukratesie? Chciałbym to usłyszeć, chociaż ten Tychiades wcale w to nie będzie wierzył.

— Dużo — powiada — obolów leżało u jego stóp i innych monet, niektóre srebrne były woskiem przyklejone do jego uda i listki srebrne, były to ofiary czyjeś błagalne albo dziękczynne wota za uleczenie od tych, którzy się przez niego wykurowali z gorączki. A był u nas jeden służący, Libijczyk, przeklęty jakiś typ, z włosami jak koński włosień. Ten postanowił ukraść w nocy to wszystko i ukradł, odczekawszy, aż posąg zejdzie z postumentu. Ale jak tylko Pelichos wrócił i zauważył, że go okradziono, zobacz, jak się pomścił i wydał Libijczyka. Ten nieborak chodził przez całą noc po przedsionku naokoło i nie mógł stamtąd wyjść — zupełnie jakby wpadł do labiryntu; dopiero jak się dzień zrobił, znaleziono go tam i te wota przy nim. Wtedy cięgi dostał nie-małe, kiedy go złapano i niedługo żył potem. Marny typ i zginął marnie. Mówił, że co nocy dostaje lanie, tak że i pręgi na drugi dzień było widać na jego ciele. Wobec tego, Tychiadesie, żartuj sobie z Pelichosa i uważaj, że ja, niby rówieśnik Minosa, już zgłupiałem na starość.

— Ależ Eukratesie — odpowiedziałem — jak długo brąz jest

brązem i autorem tego posagu jest Demetrios z Alopeków, portrecista ludzi a nie jakiś twórca bogów, nie będę się nigdy bał posagu Pelichosa. Ja bym się go nawet i żywego nie bardzo bał, gdyby mi przypadkiem groził.

Na to lekarz, Antigonos, powiedział: I ja też, Eukratesie, mam u siebie Hippokratesa z brązu — taki będzie wysoki, na łokieć. Ten, jak tylko lampa zgaśnie, chodzi po całym domu naokoło, robi hałasy, przewraca mi puszki, miesza lekarstwa, wywraca mózdzierz — najbardziej, kiedy zwlekamy z ofiarą, którą mu co roku składamy.

— To już i lekarz, Hippokrates — powiedziałem — ma pretensję do ofiar i złości się, kiedy go na czas nie uraczyć ofiarą bez zarzutu? Powinien by być zadowolony, jeżeli mu ktoś mały traktament na grób przyniesie albo mleko z miodem postawi, albo zawiesi wieniec na głowie.

— Słuchajże — mówi Eukrates — na to już mam nawet świadków, co ja widziałem przed pięciu laty. To było właśnie jakoś w porze winobrania. I ja w południe zostawiłem robotników, którzy ścinali grona w winnicy, a sam poszedłem do siebie, do lasu; po drodze rozmyślałem o czymś i rozważałem to z różnych stron. Kiedym się znalazł w gęstwinie, naprzód zaczęły psy szczekać. Ja przypuszczałem, że to z pewnością mój syn, Mnason, jak to on zwykle, bawi się i poluje po gąszczach z rówieśnikami. A to tak nie było, tylko za chwilę ziemia się jakoś zatrzęsła i równocześnie huk jakby od grzmotu! Patrząc, a tu nadchodzi kobieta; straszna, wysoka na jakich trzysta łokci. Miała w lewym ręku pochodnię, a w prawym miecz — długi na dwadzieścia łokci. Dołem nogi miała jak węże, a górą do Gorgony była podobna. Ja mówię o spojrzeń i o wyglądzie, który dreszczem przejmował. Zamiast włosów, węże jej lokami spadały, kręciły się około szyi i na barkach było kilka luźnych. Widzicie — powiada — jak mnie zatrzęsło, kiedy to opowiadam. — To mówiąc pokazywał Eukrates włosy, które mu na przedramieniu jeżem stanęły ze strachu.

Więc ci tam: Ijon i Dejnomochos, i Kleodem z otwartymi ustami wpatrywali się w niego z uwagą; starzy ludzie, a dawali się za nos wodzić i w ciszy adorowali taki nieprawdopodobny kolos, tę babę na trzysta łokci, jakieś gigantyczne straszdyło na dzieci. A ja sobie równocześnie myślałem, jacy to ludzie są wychowawcami młodzieży, wzbudzają podziw nieledwie że powszechny, a sami tylko siwym włosem i brodą różnią się od dzieci. Poza tym

jeszcze łatwiej wmawiać w nich fałsze niż w małe dzieci. Więc Dejmomachos powiada: — Powiedz mi, Eukratesie, a te psy bogini jakiej były wielkości?

— Takie jak słonie — powiada. — Wyższe od indyjskich. Czarne, kudłate. Taka sierść brudna i nastroszona. Kiedym to zobaczył, stanąłem i przekręciłem równocześnie pierścień, który mi był Arab dał, sygnetem na wewnętrzną stronę palca. Wtedy Hekate tupnęła o ziemię swoją wężową nogą i zrobiła przepaść ogromną — tak głęboką jak Tartar. Za chwilę wskoczyła w nią i zniknęła. Ja się nie bałem, tyłkom się nachylił uchwyciwszy się ręką jakiegoś drzewa, które rosło w pobliżu, żeby mi się w głowie nie zakręciło i żeby nie spadł na łeb do przepaści. Wtedy widziałem wszystko, co jest w Hadesie: Pyriflegeton, jezioro, Kerberosa, nieboszczyków. Tak że rozpoznawałem niektórych spośród nich. Zobaczyłem ojca; był ubrany dokładnie w to samo, w czymśmy go pochowali.

— A co te dusze robiły, Eukratesie? — zapytał Ijon.

— No, cóż innego — powiada — nic, tylko podzieleni na rody i grupy rodowe leżą sobie na asfodelach i bawią się z przyjaciółmi i krewnymi.

— Niechże teraz — wtrącił Ijon — niech Epikurejczycy jeszcze i teraz oponują świętemu Platonowi i temu, co on mówi o duszach. A tyś i samego Sokratesa, i Platona nie widział pomiędzy zmarłymi?

— Sokratesa, tom widział — powiada — ale i tego też niewyraźnie, tyłkom się domyślał, że to on, bo był łysy i brzuch mu sterczał. A Platona nie poznałem. Myślę, że między przyjaciółmi trzeba prawdę mówić.

Kiedym się temu wszystkiemu napatrzył do syta, przepaść się stuliła i zamknęła. Niektórzy służący szukali mnie; między innymi i ten Rudy też. Stanęli nade mną, kiedy przepaść jeszcze nie całkiem była zamknięta. Powiedz, Rudy, czy ja prawdę mówię?

— Na Dzeusa — powiada Rudy. — I szczekanie słyszałem z jamy, i jakiś ogień prześwitywał od pochodni, tak mi się zdało.

Ja się uśmiechnąłem, kiedy świadek naoczny dodawał jeszcze to szczekanie i ogień.

Kleodemos zaś powiedział: To, coś widział, to nie są rzeczy nowe ani takie, których by inni również nie widzieli. Ja sam też niedawno byłem chory i widziałem coś podobnego. A odwiedzał

mnie i leczył ten tutaj, Antigonos. To był siódmy dzień i gorączka była jak upał najstraszniejszy. Wszyscy mnie samego zostawili, abym spokój miał, wyszli z pokoju i zamknęli drzwi. Boś tak był zalecił, Antigonosie, abym może mógł zasnąć jakoś trochę. Wtedy staje nade mną — a ja nie spałem — młodzieniec bardzo piękny, ubrany w białą zarzutkę, stawia mnie na nogi i prowadzi przez jakąś rozpadlinę do Hadesu. Zaraz wiedziałem, gdzie jestem, kiedym zobaczył Tantara i Tityosa, i Sifyfa, i te inne rzeczy — cóżbym wam to mówił?

A kiedym się znalazł koło sądu — tam był i Aijakos, i Charon, i Mojry, i Erynie — ktoś tam siedział jakby król (zdawało mi się, że to Pluton) i odczytywał imiona tych, którzy mieli umrzeć, bo już im był właśnie minął termin życia. Więc ten chłopak, który mnie niósł, postawił mnie przy nim. A Pluton się zirytował i powiada do mojego przewodnika: „Jemu się jeszcze nie skończyła nitka, więc niech sobie idzie. A ty przyprowadź kowala, Demylosa. Bo ten żyje poza kres wrzeczona”. Ja z radością pobiegłem na górę i już nie miałem gorączki, a doniosłem wszystkim, że umrze Demylos. On mieszkał w naszym sąsiedztwie i też był trochę niezdrów, jak mówiono. Po krótkiej chwili usłyszeliśmy stamtąd płacz i jęki — to jego tak opłakiwano.

— Cóż to dziwnego — powiedział Antigonos. — Ja znam kogoś, kto po dwudziestu dniach, jak go pogrzebano, wstał z grobu. Leczyłem tego człowieka i przed śmiercią, i po zmartwychwstaniu.

— A jakimże sposobem — wtrąciłem — w ciągu dwudziestu dni ciało ani nie zaczęło gnić, ani się nie zepsuło z głodu? A może ty jakiegoś Epimenidesa leczył?

W chwili, kiedyśmy to mówili, nadeszli synowie Eukratesa z zakładu gimnastycznego; jeden już dorosły, a drugi miał tak z piętnaście lat; przywitali się z nami i usiedli przy ojcu, na łóżku. Dla mnie przyniesiono fotel. A Eukrates, jakby mu widok synów coś przypominał, powiada: — Żebym się tak z nich pociechy doczekał — tu objął ręką jednego i drugiego — tak ja ci prawdę opowiem, Tychiadesie. Ja swoją świętej pamięci żonę, matkę tych chłopaków, to wszyscy wiedzą jak kochałem. Okazałem to wszystkim, com dla niej robił; nie tylko za życia, ale i po jej śmierci. Wszystkie jej biżuterie razem z nią spaliłem i suknie, które lubiła za życia. Siódmego dnia po jej śmierci leżałem tutaj na łóżku, tak jak teraz, i szukałem pocieszenia w swojej ża-



łobie. Czytałem sobie rzecz Platona o duszy i to mnie uspokajało. Wtedy przychodzi do mnie sama nieboszczka, Demajnetą; siada przy mnie tak jak teraz ten Eukratides. — Tu wskazał młodszego syna. A ten się w tej chwili wstrząsnął — bardzo to było dziecinne — a już od chwili był blady od tego opowiadania. — Więc ja ciągnął Eukrates, kiedym ją zobaczył, wziąłem ją w ramiona, krzyknąłem z żalości i zacząłem płakać. Ona mi nie pozwoliła krzyczeć, ale zrobiła mi wyrzut, że, choć w ogóle byłem dla niej dobry, to jednak nie spaliłem jednego z pary jej złotych trzewików. Powiedziała, że on leży pod skrzynią, bo się tam zatracił; dlatego myśmy go nie znaleźli i spaliliśmy tylko jeden. Kiedysmy jeszcze rozmawiali, jakiś przekłety piesek, który był pod łóżkiem — maltański — zaczął szczekać i ona zniknęła od tego szczekania. A trzewik znalazł się pod skrzynią i spaliliśmy go później. Więc czy to się godzi, Tychiadesie, jeszcze wątpić o tych rzeczach, takich oczywistych, które się co dzień pokazują?

— Na Dzeusa — powiedziałem. — Złotym trzewikiem po tyłku, jak małe dziecko, powinien by dostać każdy niedowiarek i każdy tak bezczelny w stosunku do prawdy.

Teraz wszedł pitagorejczyk, Arignotos. Z długimi włosami, twarz majestatyczna — znasz tego sławnego mędrca — nazywają go świętym. Kiedym go zobaczył, odetchnąłem; myślałem sobie, że teraz będę miał jakby siekiereę na te fałsze. „Ten im gęby pozamyka, mówiłem sobie. Człowiek mądry, a oni takie cudeńka opowiadają”. Miałem wrażenie, że, jak to mówią, deus ex machina zjawił się w tym kole — dobry los go zesłał. A ten, jak usiadł, bo Kleodemos ustąpił mu miejsca, przede wszystkim zaczął pytać o chorobę, a gdy usłyszał od Eukjatesa, że już mu jest lepiej powiada: O czym wy tu tak z sobą filozofujecie? Bo coś zasłyszałem, kiedym wchodził; miałem wrażenie, że dobrze wam się rozmawia.

— No cóż innego — powiada Eukrates — nic, tylko tego tu, twardego jak kamień — tu wskazał na mnie — przekonywamy, aby uwierzył, że są jakieś duchy i zjawy, i dusze zmarłych chodzą po ziemi, i pokazują się, komu chcą.

Ja się zaczerwieniłem i spuściłem oczy, bo mi było wstyd Arignotosa. A on mówi: — Poczekaj, Eukratesie; może Tychiades mówi to, że tylko dusze tych, którzy zmarli śmiercią gwałtowną, chodzą po śmierci. Na przykład, jeżeli kogoś tam powieszono albo mu głowę obcięto, albo go wbito na pal, albo w inny sposób w tym rodzaju odszedł ktoś z życia, a dusze tych, co pomarli śmiercią

naturalną, tego nie robią.

Gdyby on to mówił, to byłoby to stanowisko nie całkiem do odrzucenia.

— Na Dzeusa — mówi Deinomachos — on twierdzi, że w ogóle nie ma takich rzeczy i uważa, że dusz zgęszczonych w ogóle widzieć nie można.

— Jak mówisz? — powiada Arignotos spojrzawszy na mnie ostro. — Ty uważasz, że w ogóle nie ma takich faktów, chociaż je, można powiedzieć, wszyscy widzą?

— Weź na moją obronę — powiedziałem — to: jeżeli nie wierzę, to dlatego, że ja jeden ich nie widzę, a inni: tak. Gdybym zobaczył, to uwierzyłbym, oczywiście; tak samo jak wy.

— Wiesz — powiada — jakbyś kiedyś przyjechał do Koryntu, to zapytaj się, gdzie jest dom Eubatidesa, a jak ci go pokażą tam koło zakładu gimnastycznego (Kraneion), to wejdź i powiedz portierowi Tibeiosowi, że chciałbyś zobaczyć, skąd to pitagorejczyk Arignotos ducha wykopał i wypędził go, i przez to sprawił, że dom nadawał się na przyszłość do zamieszkiwania.

— A cóż to było, Arignotosie? — zapytał Eukrates.

— Tam od dawna nie można było mieszkać — powiada — takie tam były strachy, a jak się tylko ktoś sprowadził, to zaraz uciekał wystraszony. Wyganiała ludzi jakaś zjawa, straszna i niepokojąca. Dom się już zaczynał walić i dach zaciekał, i w ogóle nikt nie miał odwagi tam się sprowadzać.

Kiedym o tym usłyszał, wziąłem ze sobą książki — ja mam bardzo dużo dzieł egipskich o takich rzeczach — i poszedłem do tego domu przed północą, choć mi mój gospodarz odradzał i omal że mnie gwałtem nie zatrzymał, kiedy się dowiedział, dokąd idę — na oczywiste nieszczęście, jak mu się zdawało.

A ja biorę lampę i sam jeden wchodzę. W największym pokoju położyłem światło i zacząłem sobie najspokojniej czytać, siedząc na ziemi.

Staje tedy nade mną duch — myślał, że natrafił na byle kogo i spodziewał się, że mnie też nastraszy, jak straszyl innych. Brudny był i rozczochrany, i czarniejszy od ciemności. Więc stanął nade mną i próbował mnie; ze wszystkich stron atakował, czyby mu się nie udało przemóc mnie z którejś strony. Raz się robił psem, raz bykiem, to znowu lwem. A ja wziąłem najstraszniejsze zaklęcie, a mówiłem po egipsku, i tak zamawiając zapędziłem go w jakiś kąt ciemnego pokoju. Zobaczyłem, gdzie on się zapadł pod

ziemię i przez resztę nocy spałem spokojnie.

Rano wszyscy już byli zrezygnowali i myśleli, że mnie znajdą nieżywego, jak tylu innych, a tu ja wychodzę wbrew oczekiwaniu wszystkich i prosto idę do Eubatidesa; z dobrą nowiną, że dom już jest czysty i strachów nie ma, można go zamieszkiwać. Wziąłem go ze sobą i wielu innych też, bo szli za nami — takie to było niewiarogodne — zaprowadziłem ich na to miejsce, gdzieem był widział, że duch się zapadł pod ziemię, kazałem wziąć motyki i łopaty, i kopać w tym miejscu. Oni to zrobili i na głębokości sążnia znalazł się jakiś trup zakopany — już zleżały — nic, tylko same kości, złożone jak się należy. Więc odkopaliśmy go i pogrzebali. Od tego czasu zjawy przestały dom nawiedzać.

Kiedy to powiedział Arignotos, mąż sławny z mądrości nadnaturalnej i cieszący się czią powszechną, nie było już nikogo pośród obecnych, kto by tego nie brał u mnie za objaw wielkiej bezmyślności: nie wierzyć w takie rzeczy; zwłaszcza gdy mówi Arignotos. Jednakże ja nie bałem się ani jego włosów, ani tej opinii, która go otaczała, i powiedziałem: Cóż to jest, Arignocie? I tyś się zrobił taki sam jak inni — jedyna nadzieja prawdy — a w tobie też pełno dymu i złudnych widziadeł? Jak to mówią: pokazuje się, że to węgle u was, a nie garnek złota.

A on, Arignotos, powiada: — Jeżeli ty ani mnie nie wierzysz, ani Deinomachowi, albo Kleodemowi, temu tutaj, ani samemu Eukratesowi, to proszę cię, powiedz, kogo uważasz za bardziej wiarogodnego w tych sprawach, który by zajmował stanowisko sprzeczne z naszym?

— Na Dzeusa — mówię — człowieka wspaniałego, tego z Abdery, Demokryta. On przecież tak głęboko był przekonany, że nic takiego dziać się nie może, że kiedy się raz zamknął w jakimś grobowcu za bramami, tam siedział i pisał swoje rzeczy, i układał je i po nocy, i za dnia, a jacyś chłopcy chcieli mu urządzić kawał i nastraszyć, więc poprzebierali się za nieboszczyków w czarne suknie, ponakładali sobie maski w formie czaszek i tańczyli naokoło niego i podskakiwali, on ani się nie przestraszył tej ich komedii, ani w ogóle nie patrzył na nich, tylko pisał dalej i pisząc powiada: „Dajcie już pokój tej zabawie”. Tak mocno był przekonany, że duchów nie ma — tym bardziej: po wyjściu z ciał.

— Ty nie mówisz nic więcej, tylko to — powiada Eukrates — że Demokryt to był też jakiś głupi człowiek, jeżeli był tego zdania.

A ja wam opowiem jeszcze coś innego, co mi się samemu

zdarzyło; nikt inny mi tego nie opowiadał. Może być, że i ty, Tychiadesie, jak posłuchasz, dasz się porwać prawdziwości tego opowiadania.

Kiedym żył w Egipcie, jeszcze za moich młodych lat, ojciec mnie tam był wysłał dla dokończenia studiów, zachciało mi się popłynąć w górę do Koptos i stamtąd pójść posłuchać tego dziwnego zjawiska, jak to się Memnon odzywa o wschodzie słońca. I usłyszałem go, ale to nie było to, co ludzie zwykle słyszą: jakiś głos bez znaczenia; Memnon udzielił mi wyroczni, sam usta otworzył i wypowiedział siedem wierszy. Nie chodzi o to, ale mógłbym wem te wiersze przytoczyć w oryginale.

Otóż kiedyśmy płynęli w górę Nilu, jechał z nami przypadkiem pewien człowiek z Memfis, jeden z kapłanów uczonych, szalenie mądry, znał całą kulturę egipską. Mówiono o nim, że dwadzieścia trzy lata mieszkał w świątyniach „pod ziemią” i tam go Izyda uczyła magii.

— Ty mówisz o Pankratesie — powiedział Arignotos. — To mój nauczyciel, święty człowiek, ogolony, w białych prześcieradłach, zawsze zamyślony, nie mówi czysto po grecku, wysoki, z zadartym nosem, wargi naprzód, cienkie nogi.

— Ten sam — powiada — to właśnie ten, Pankrates. Ja zrazu nie wiedziałem, kto to jest, ale kiedyśmy gdzieś przybijali do brzegu, widziałem, że robi wiele rzeczy niesamowitych. I na krokodylach jeździł, i pływał z tymi zwierzętami, a one go słuchały i kiwały do niego ogonami — poznałem, że to jakiś święty człowiek i niezadługo, kiedym się tak życzliwie do niego odnosił, sam nie wiem jak i, kiedy zbliżyłem się do niego i zaprzyjaźniliśmy się tak, że zaczął się ze mną dzielić całą swoją wiedzą tajemną.

W końcu on mnie namawia, żeby całą służbę zostawić w Memfis, a sam żebym z nim poszedł jako towarzysz, bo nie będziemy mieli kłopotu z posługą. I takeśmy sobie potem żyli.

Kiedyśmy, bywało, przyszli do jakiejś gospody, wtedy ten człowiek brał albo zasuwę od bramy, albo miotłę, albo i tłuczek od stępy, ubierał to w zarzutki, odmawiał nad tym jakieś zaklęcia i tak robił, że to chodziło i poza tym zupełnie wyglądało jak człowiek. To wychodziło, szło po wodę, i na zakupy do miasta, i pietrasilo coś tam, i w ogóle służyło nam jak trzeba i w domu, i przy stole. Potem, jak już miał tej usługi dość, to, bywało, robił z powrotem z tej miotły miotłę albo z tłuczka tłuczek.

Mnie to bardzo interesowało, ale nie było sposobu, nie mo-

głem się tego od niego nauczyć, chociażem się starał. Na tym punkcie on był zazdrosny, choć w innych rzeczach bardzo mi szedł na rękę.

Otóż jednego dnia schowałem się w mroku i podsłuchałem to jego zaklęcie — było tylko trójzgłoskowe. On poszedł na miasto, a tłuкови powiedział, co ma tymczasem robić.

Na drugi dzień, kiedy on miał jakieś zajęcie na mieście, biorę ja tłuczek, ubieram go podobnie, odmawiam nad nim te trzy sylaby i kazałem mu wody przynieść. Kiedy on napełnił wiadro i przyniósł, powiadam: Dość już; zostaw, nie noś już wody, bądź znowu tłukiem. A ono mnie nie chciało posłuchać, tylko nosiło wodę wciąż, wylewało na pokój i zalało nam wodą całe mieszkanie. Ja nie mogłem dać rady temu, co się działo, a bałem się, że Pankrates wróci i będzie się gniewał — i tak się też stało naprawdę — wziąłem siekiere i rozrąbuję ten tłuک na dwie części. I te części, jedna i druga, biorą wiadra dwuoszne i zaczynają dalej wodę przynosić. Zamiast jednego, zrobiło mi się dwóch służących. Na to nadchodzi Pankrates, staje nad tym i rozumiejąc, co się dzieje, w tej chwili zrobił z nich kawałki drewna, jak były przed zaklęciem. A sam zostawił mnie, zniknął dyskretnie, zabrał się i poszedł nie wiem dokąd.

— Więc teraz — powiedział Deinomachos — umiesz przynajmniej to: człowieka zrobić z tłuکا?

— Na Dzeusa — odpowiedział tamten — tylko do połowy, bo w żaden sposób nie potrafię sprowadzić go z powrotem do dawnego stanu, jeżeli się raz stanie nosiwodą — zalałby nam mieszkanie, tyle by jej nanosił.

— Dalibyście też pokój — powiedziałem — tym bajdom o cudach, starzy ludzie! Jeżeli nie, to przynajmniej ze względu na tych chłopców odłożylibyście na inny czas te nieprawdopodobne i straszne opowiadania; inaczej sami nie będziemy wiedzieli, kiedy głowy sobie chłopcy ponabijają strachami i niesamowitymi bajdami. Trzeba ich oszcz

dzać i nie przyzwyczajać do słuchania takich rzeczy; to się potem przez całe życie narzuca i pozbyć się tego nie można; człowiek się zaczyna bać każdego szmeru i pełną ma głowę najróżnorodniejszych zabobonów.

— Dobrześ przypomniał — powiada Eukrates — mówisz o zabobonach. Jakież jest twoje zdanie, Tychiadesie, o takich rzeczach? Ja mam na myśli wyrocznie, glosy boże i to, co ludzie

wielkim głosem wołają, kiedy w kogo bóg wstąpi, albo jak to się słyszy glosy z głębi świątyń, albo czasem panna wierszami przepowiada przyszłość. Oczywiście, że ty i w takie rzeczy nie będziesz wierzył. Ja już nic nie powiem o tym, że ja mam jeden poświęcany pierścionek z Apollonem Pytyjskim wyrzniętym w sygnecie i ten Apollon odzywa się do mnie. Nie powiem, abyś nie myślał, że mówię rzeczy niewiarygodne przez zarozumiałość. Ale com słyszał od Amfilocha w Mallos, kiedy bohater mówił ze mną w biały dzień i dawał mi rady w moich sprawach, to już muszę wam opowiedzieć, a potem, po kolei, com widział w Pergamon i com słyszał w Patarach.

Bo kiedym z Egiptu wracał do domu, usłyszałem, że ta wyrocznia w Maiłos jest wspaniała i bardzo prawdziwa. Wróży jasno i odpowiada na każde słowo, jeżeli się pytanie napisze na tabliczce i odda prorokowi. Więc pomyślałem sobie, że byłoby dobrze po drodze spróbować tej wyroczni i poradzić się boga w jakiejś sprawie dotyczącej przyszłości.

Kiedy to jeszcze Eukrates mówił, ja, widząc na co się zanoszą i że on zaczął tragedię w wielkim stylu na temat wyroczni, nie uważałem za właściwe, żebym się sam jeden miał przeciwstawiać wszystkiemu, więc zostawiłem go jeszcze na tej drodze z Egiptu do Maiłos. Czułem, że ich gniewa moja obecność — byłem tyrn, który się wymądrza i oponuje przeciwko fałszom. Więc powiadam: — Ja już odchodzę, muszę poszukać Leontichosa, chcę się z nim koniecznie spotkać. A wy, jeżeli uważacie, że wam nie dość spraw ludzkich, to wzywajcie jeszcze i samych bogów, żeby wam pomagali pleść bajki. — To mówiąc wyszedłem. Oni byli zadowoleni, dorwali się swobody i raczyli się dalej nawzajem, jak należy przypuszczać; opychali się fałszami.

Widzisz, Filoklesie — takich rzeczy nasłuchałem się u Eukratesa, więc teraz chodzę — na Dzeusa — Lak jak ci, którzy niesfermentowane wino piją: brzuch wzdęty i chce się człowiekowi wymiotować. Ja bym chętnie gdzieś za drogie pieniądze kupił jakiegoś lekarstwa na zapomnienie o tym, com słyszał, aby mi jakoś nie zaszkodziła pamięć o tych rzeczach, jak się we mnie zagnieździ. Mam teraz wrażenie, że widzę cudy i duchy, i Hekaty.

FILOKLES: Na mnie też, Tychiadesie, to opowiadanie tak po-działało. Mówią, że nie tylko wtedy człowiek dostaje wściekliwość i ucieka od wody, kiedy go wściekły pies ukąsi, ale tak samo, jeżeli kogoś ukąsi człowiek ukąszony. Skutek taki sam jak po

ukąszeniu psa — te same strachy człowieka opadają. To wygląda tak, że ciebie w domu Eukratesa pokąsały liczne fałszy i tyś mi udzielił tego ukąszenia. Pełno duchów nabiłeś mi do głowy.

TYCHIADES: Nic sobie z tego nie róbmy, przyjacielu. Mamy wielkie antidotum przeciw takim rzeczom: prawdę i zdrowy rozsądek w każdym wypadku. Trzymajmy się ich zawsze i niech nam nie zakłócają spokoju takie puste i głupie nieprawdy.

## VII. WYPRZEDAŻ TYPÓW ŻYCIA

### WSTĘP

Lukian czytał Platona bardzo pilnie. To widać z jego pism. Naśladował styl, rozwijał porównania, zapożyczał się na każdym kroku. Nauki o ideach dobrze nie rozumiał, ale zalety pisarskie Platona cenił wysoko i starał się je naśladować. Te naśladowania wypadły często jak karykatury. Tak np. w Pijatyce Lukiana słyszymy na początku Fajdrosa, a później jakieś echa z Uczty i z Politei. Wszystko razem bardzo ordynarne, ale zależność bije w oczy. Znał też innych filozofów — nie wiadomo, czy z oryginałów, czy z wyciągów, chociaż Diogenesa Laertiosa jeszcze nie było w jego czasach. Znał i bawił się ich pismami. Odnosił wrażenie, że filozofowie dawni to są typy anormalne, patologiczne, narwane, co nie było dalekie od prawdy, a patronują szarlatanom i oszustom współczesnym. Cześć, jaką były otoczone ich nazwiska, pobudzała go do satyry, do śmiechu. Jak każda cześć; taki już był przekorny. I tak jak robił karykatury bogów i ludzi zmarłych, tak też na śmiech urządził Wyprzedaż filozofów. Mistrzów życia zobaczył i opisał jako niewolników, których sobie każdy może kupić, choć można się bez nich obejść doskonale. To są dziwadła i artykuły zbytku.

Nie znaczy to, żeby Lukian w tym obrazie propagował jakiś pogląd na filozofię, żeby zajmował jakieś stanowisko, bronił jakiejś tezy, twierdził coś poważnie albo coś zwalczał. Jest na to za płytki. On się bawi po prostu i chce bawić czytelnika.

Tuwim w znanym wierszu o Sokratesie tańczącym też nie zajmuje żadnego stanowiska i niczego nie reprezentuje, tylko się bawi kimś, kogo ludzie czczą. Lukian nie jest filozofem, tylko felietonistą, dziennikarzem, wesółkiem i nie trzeba go pytać o stanowisko. On błaznuje i co mu kto zrobi? Syryjczyk humorysta.

Dopiero w następnym obrazku pt. Rybak stara się Lukian dorobić do tej „Wyprzedaży” jakiś szkielet ideowy, udaje, że czegoś tutaj bronił, coś zwalczał, że mu poważnie na czymś zależało. Ale to są niepotrzebne wykrety; brzmią fałszywie i pusto.



DZEUS: Więc ty porozstawiaj ławki i przygotuj miejsce dla przybywających, a ty przyprowadź i porozstawiaj po kolei typy życia, ale przystrój je naprzód, żeby się z twarzy wydawały pociągające i zwabiły jak najwięcej ludzi. A ty, Hermesie, ogłaszaj i zwołuj szczęśliwie kupujących, aby się już zjawiali na targowisku. Będziemy ogłaszali filozoficzne typy życia wszelkiego rodzaju i o najrozmaitszych programach. A gdyby kto nie mógł zapłacić gotówką, to zapłaci za rok; ustanowi poręczyciela.

HERMES: Dużo ich się schodzi, więc nie trzeba zwlekać i nie trzeba ich powstrzymywać.

DZEUS: No to sprzedawajmy.

HERMES: Kogo każesz naprzód przyprowadzić?

DZEUS: Tego z długimi włosami, tego Jończyka. Bo i wygląda jakoś poważnie.

HERMES: Ty tam, pitagorejczyku, zleż no i pokaż się zebra-  
nym, aby cię obejrżeli!

DZEUS: No to ogłaszaj!

HERMES: Żywot najlepszy sprzedaję, najpoważniejszy! Kto kupi? Kto chce być nadczłowiekiem? Kto chce znać harmonię wszechświata i po śmierci wrócić znowu do życia?

KUPUJĄCY: Z wyglądu on się przedstawia nieźle. A co też on umie?

HERMES: Arytmetykę, astronomię, cuda i dziwy, geometrię, muzykę, czary; wieszczka pierwszorzędnego widzisz.

KUPUJĄCY: Wolno go przepytać?

HERMES: Przepytuj, z Panem Bogiem.

KUPUJĄCY; Skąd ty jesteś?

PITAGOREJCZYK: Z Samos.

KUPUJĄCY: A gdzieś się kształcił?

PITAGOREJCZYK: W Egipcie. U mędrców z tamtych itron.

KUPUJĄCY: Więc proszę cię, jeżeli ja cię kupię, to czego ty mnie nauczysz?

PITAGOREJCZYK: Nie nauczę niczego; przypomnę tylko .

KUPUJĄCY: Jak przypomnisz?

PITAGOREJCZYK: Naprzód oczyszczę ci duszę i brud z niej spłuczę.

KUPUJĄCY: No tak; uważaj, że ja już jestem oczyszczony — więc jaki to sposób przypominania sobie?

PITAGOREJCZYK: Po pierwsze spokój wielki i głosu żadne-

go, i przez całych pięć lat nie gadać nic!

KUPUJĄCY: Tobie, mój drogi, pora kształcić syna Krezusa. Bo ja jestem gadatliwy i nie chcę być posągiem. Ale co po tym milczeniu, choćby i pięcioletnim?

PITAGOREJCZYK: Będziesz się ćwiczył w muzyce i w geometrii.

KUPUJĄCY: Bardzo miłe słowa, jeżeli naprzód mam zostać kitarzystą, a potem mędrcom.

PITAGOREJCZYK: Potem do tego jeszcze rachunki.

KUPUJĄCY: Umiem i teraz rachować.

PITAGOREJCZYK: Jak rachujesz?

KUPUJĄCY: Jeden, dwa, trzy, cztery.

PITAGOREJCZYK: Widzisz. To, co ty uważasz za cztery, to jest dziesięć i trójkąć doskonałą, i przedmiot naszej przysięgi.

KUPUJĄCY: Rzeczywiście; przysięgam na czwórkę — to jest ta największa przysięga — nigdyć bardziej boskich słów nie sły-  
szał ani świętszych.

PITAGOREJCZYK: Potem będziesz, przechodniu, wiedział o ziemi i o powietrzu, o wodzie i o ogniu, jakie są ich ruchy i jakie one są, i jak przez to zmieniają swój kształć.

KUPUJĄCY: To kształć posiada ogień albo powietrze, albo woda?

PITAGOREJCZYK: Bardzo widoczny. To co bezkształćne i bezpostaciowe, poruszać się nie może. Oprócz tego poznasz, że bóg jest liczbą i umysłem, i harmonią.

KUPUJĄCY: Bardzo dziwne to wszystko, co mówisz.

PITAGOREJCZYK: Oprócz tego, com powiedział, wiedzieć będziesz i o sobie samym, że ty, który się wydajesz kimś jednym, inaczej wyglądasz, a inny jesteś.

KUPUJĄCY: Co mówisz? Ja jestem inny, a nie taki, jak teraz z tobą rozmawiam?

PITAGOREJCZYK: Teraz taki, a dawniej w innym ciele zjawiłeś się i pod innym imieniem. A z czasem znowu w kogoś innego przejdiesz.

KUPUJĄCY: Ach, więc to mówisz, że nieśmiertelny będę, tylko się będę przemieniał w kształćy liczne. No, to już tego dość. A jeżeli chodzi o wikt, to jaki ty jesteś?

PITAGOREJCZYK: Z tego, co duszę ma, nie jadam nic; jem inne rzeczy oprócz bobu.

KUPUJĄCY: Dlaczego? Może nie znosisz bobu?

PITAGOREJCZYK: Nie; ale bób jest święty i przedziwna jest jego natura. Przede wszystkim to jest w ogóle nasienie i jak zdejmiesz łupę z bobu jeszcze zielonego, zobaczysz, że on z wyglądu podobny do męskich części rodnych. A jeśli zgotowane ziarna wystawisz na światło księżyca na oznaczone noce, to krew zrobisz. Co większa, to w Atenach prawo nakazuje wybierać urzędników przy pomocy ziarn bobu.

KUPUJĄCY: Pięknieś to wszystko powiedział i świątobliwie. Ale rozbierz no się, bo chcę cię i gołego zobaczyć. Heraklesie! Toż on ma złote udo! Wygląda jak jakiś bóg a nie człowiek śmierci podległy. Więc ja go w każdym razie kupię. Jaką cenę za niego wywołujesz?

HERMES: Dziesięć min.

KUPUJĄCY: Mam przy sobie tyle; wziąłem.

DZEUS: Zapisz imię tego, co kupił i skąd jest.

HERMES: Zdaje się, Dzeusie, że to ktoś z Italii, z tych tam koło Krotony i Tarentu, i z tamtejszej Hellady. I to nie on jeden, ale już ze trzystu kupiło go na spółkę.

DZEUS: Niech się zabierają. Innego przyprowadzimy.

HERMES: Może chcesz, żeby tego brudasa, tego znad Morza Czarnego?

DZEUS: Dobrze.

HERMES: Ty, z przewieszoną torbą i bez rękawów, chodź no tu i przejdź się naokoło przed zebranymi. Typ żywota męski sprzedaje, postawę życiową najlepszą, szlachetną, człowieka wolnego. Kto kupi?!

KUPUJĄCY: Panie ogłaszający, jak powiedziałeś? sprzedajesz człowieka wolnego?

HERMES: Tak jest.

KUPUJĄCY: A nie boisz się, żeby cię nie zaskarżył o pozbawienie wolności albo cię jeszcze przed Areopag pozwie?

HERMES: Jemu nic nie zależy na tym, że będzie sprzedany. On uważa, że wszędzie i zawsze jest wolny.

KUPUJĄCY: Ale komu by on się mógł na coś przydać: taki brudny i ponuro narwany? Chyba żeby go wziąć do kopania ziemi albo do noszenia wody.

HERMES: Nie tylko do tego, ale jeżeli go przy drzwiach postawisz, będziesz miał strażnika lepszego niż pies. Zresztą on się nawet i Psem nazywa.

KUPUJĄCY: A skąd on jest i jakie ćwiczenie głosi i zaleca?

HERMES: Jego samego zapytaj. Lepiej tak zrobisz.

KUPUJĄCY: Boję się jego ponurego wejrzenia I spuszczo-  
nych oczu. Aby na mnie nie naszczekał, jak podejde bliżej — albo,  
na Dzeusa, jeszcze mnie ukąsi. Nie widzisz, że odpina kij i ściąga  
brwi, patrzy groźnie i z gniewem?

HERMES: Nie bój się. On jest oswojony.

KUPUJĄCY: Przede wszystkim, mój drogi, skąd ty jesteś?

DIOGENES: Zewsząd.

KUPUJĄCY: Jak to myślisz?

DIOGENES: Obywatela świata widzisz.

KUPUJĄCY: A gorliwie naśladujesz kogo?

DIOGENES: Heraklesa.

KUPUJĄCY: A czemuś się nie ubrał w lwia skórę? Bo z tej  
pałki podobnyś do niego.

DIOGENES: To jest moja skóra lwia, ta stara peleryna tu.  
A idę na wojnę, tak jak on, przeciw rozkoszom; nie z rozkazu czy-  
jogoś, ale sam, z własnej inicjatywy. Oczyszczyć życie — to mój  
program.

KUPUJĄCY: Bardzo piękny program. Ale co też ty umiesz,  
powiedzmy, albo którą umiejętność posiadasz?

DIOGENES: Ja jestem ten, który ludzi wyzwala i leczy ich  
cierpienia. W ogóle: chcę być głosicielem prawdy i szczerości.

KUPUJĄCY: Proszę cię, głosicielu — a jeżeli ciebie kupię, to  
w jaki sposób będziesz mnie przeciwiczał?

DIOGENES: Naprzód wezmę cię i zdejmę z ciebie wszelki  
zbytek, biedą cię otoczę i przyodzieję w starą pelerynę. Potem  
będziesz musiał ciężko pracować, na ziemi będziesz spał, wodę  
pił i jadł, co się trafi, a rzeczy, jeżeli masz jakie, to posłuchasz  
mnie, zaniesiesz i wrzucisz je do morza, o małżeństwie nie będziesz  
myślał, ani o dzieciach, ani o ojczyźnie — wszystko to dla ciebie  
będą puste dźwięki. Ojcowski dom porzucisz, a zamieszkasz  
w jakimś grobie albo w pustej wieży, albo i w beczce. Torbę  
będziesz miał pełną ziarn i pisemek, pisanych po drugiej stronie  
(makulatury) i w tym stanie będziesz się podawał za szczęśliw-  
szego niż król perski. A gdyby cię kto obił albo wziął na tortury,  
to powiesz, że to wcale nie jest przykrość.

KUPUJĄCY: Jak to ty mówisz: żeby nie cierpieć, kiedy  
człowieka biją? Ja przecież nie mara na sobie skorupy żółwia ani  
raka.

DIOGENES: Za wzór sobie weźmiesz ten wiersz Eurypidesa,

z małymi zmianami.

KUPUJĄCY: Jaki wiersz?

DIOGENES: Serce napelni ból, a język bólu nie zazna, A co cię najbardziej powinno cechować, to takie rzeczy: Bezczylnym trzeba być i zuchwałym. I besztać wszystkich zarówno: i królów, i ludzi prywatnych. Wtedy będą ludzie na ciebie patrzyli z szacunkiem i będą cię z góry mieli za odważnego. A głos żeby był dziki i ochrypli, i po prostu taki jak u psa. I twarz napięta, i chód do takiej twarzy odpowiedni, i w ogóle wszystko żeby przypominało dzikie zwierzęta. Wstyd i przyzwoitość, i takt — precz!

Rumieniec zetrzyj z twarzy raz na zawsze. Szukaj najbardziej ludnych miejsc i właśnie tam staraj się być sam i bez kontaktu z innymi. Nie zwracaj się ani do bliskich, ani do obcych. Te rzeczy — to ruina twojego panowania. I w oczach wszystkich rób śmiało wszystko, czego by ktoś nawet na osobności nie robił. W służbie Afrodyty wybieraj zabiegi co śmieszniejsze, a jeżeli zechcesz skończyć, to polipa na surowo albo sepię zjedz i umieraj. Takie ci szczęście zalecamy.

KUPUJĄCY: Idźże sobie; to jest okropne, to co mówisz, to nie jest ludzkie.

DIOGENES: Ale najłatwiejsze i każdemu łatwo iść tą drogą. Bo nie będzie ci potrzeba ani wykształcenia, ani słów, ani pustego gadania — to jest najkrótsza droga do sławy. Możesz być i głupi, i możesz być garbarzem albo handlarzem ryb solonych, albo cieślą, albo wekslarzem, nic ci to nie przeszkodzi; możesz wzbudzać i tak podziw powszechny, jeżeli tylko będziesz miał dość bezczelności i odwagi, a nauczysz się dobrze nabeszać każdego.

KUPUJĄCY: Do tego celu nie potrzeba mi ciebie. Ty byś może mógł zostać w sam raz marynarzem albo dozorcą ogrodu. I ta, gdyby cię ten tu chciał oddać co najwyżej za dwa obole.

HERMES: Bierz go sobie i miej. My się go chętnie pozbędziemy, tego natręta; on tu krzyczy i wszystkich po prostu obraża i przeklina.

DZEUS: Innego zawołaj! Tego z Kyreny — tego w purpurowym płaszczku i z wieńcem na głowie.

HERMES: Hej tam, uważać! Oto bardzo drogocenny kawałek; dla kogoś bogatego. Ten typ życia jest przyjemny; typ trzykrotnie najszczęśliwszy. Kto pożąda zbytku? Kto kupi największego pieszczocha?

KUPUJĄCY: Chodź no ty i powiedz, co ty umiesz, w sam raz.

Bo ja cię kupię, jeżeli się na coś przydasz.

HERMES: Nie nudź go, mój drogi, i nie wypytuj: on jest pijany. Więc nie potrafi ci odpowiadać, widzisz, że mu się język płacze.

KUPUJĄCY: A któż by rozsądny kupił takiego zepsutego i rozpustnego chłopa? Jak od niego wieją perfumy, jak on chodzi niepewnie, jak się zatacza. Ale może przynajmniej ty, Hermesie, powiedz, jakie ma właściwości i czym się zajmuje?

HERMES: Na ogół nadaje się do współżycia i potrafi wypić w towarzystwie, potrafi się włóczyć po nocy z flecistką — nadaje się dla pana, który się kocha, a jest zepsuty bez ratunku. Poza tym rozumie się na ciastkach i doskonale gotuje przysmaki i w ogóle jest wielkim specjalistą od przyjemnego życia. Kształcił się w Atenach, a wysługiwał się i na Sycylii dyktatorom i miał u nich bardzo dobrą opinię. Główna treść jego programu, to z niczego sobie nic nie robić, wszystkiego zażyć, ze wszystkiego wycisnąć jakąś przyjemność.

KUPUJĄCY: A, to już rozejrzyj się za kimś innym — może ktoś z tych bogaczy, z bardzo zamożnych. Ja się do tego nie nadaję, żebym sobie takie wesołe życie kupował.

HERMES: O Dzeusie, zdaje się, że ten u nas zostanie — nie sprzedany.

DZEUS: Odstaw go; innego przyprowadź. A lepiej tych dwóch. Tego śmiejącego się z Abdery i tego płaczącego z Efezu. Chcę ich obu razem sprzedać.

HERMES: Zejdźcie obaj tu na środek! Najlepsze typy życia sprzedaję! Ogłaszamy dwa typy najmądrzejsze ze wszystkich.

KUPUJĄCY: O Dzeusie! Cóż to za przeciwieństwa! Jeden się wciąż śmieje, a drugi jakby coś cierpiał. Wciąż płacze. Cóż to takiego, ty tam? Czemu ty się śmiejesz?

DEMOKRITOS: Ty się pytasz? Dlatego, że mi się śmieszne wydają wszystkie wasze sprawy i wy sami też.

KUPUJĄCY: Jak mówisz? Śmiejesz się z nas wszystkich i za nic sobie masz nasze sprawy?

DEMOKRITOS: Tak jest. Bo poważnego w nich nie ma nic. Pustka to wszystko i atomów ruch, i nieskończoność.

KUPUJĄCY: To nie; tylko w tobie jest pustka — doprawdy — i niedokończenie. Nie — co on sobie myśli! Czy nie przestaniesz się śmiać?

A ty czemu płaczesz, nieboraku? Myślę, że lepiej do ciebie zagadać.

HERAKLEITOS: Sądzę, przechodniu, że sprawy ludzkie to jedna wielka nędza i tylko płakać nad nimi i nie ma w nich nic, tylko marność. Toteż łzy nad nimi wylewam i boleję, i to, co teraz nie wydaje mi się wielkie, a to co będzie kiedyś, to zupełnie nie do zniesienia — to się spali wszystko i przypadnie w nieszczęściu. Nad tym płaczę, bo tu nic nie pomoże; to wszystko jakiś wir porywa i na jedno wychodzi radość i nieradość, wiedza i niewiedza, i to samo duże czy małe, do góry czy na dół — to się wszystko kręci jedno przez drugie — w zabawce czasu.

KUPUJĄCY: A co to czas?

HERAKLIT: To chłopak, który się bawi, w warcaby gra — i taki, i inny.

KUPUJĄCY: A co to ludzie?

HERAKLIT: Bogowie śmiertelni.

KUPUJĄCY: A bogowie co?

HERAKLIT: Ludzie nieśmiertelni.

KUPUJĄCY: Zagadkowo mówisz albo układasz zagadki; po prostu, jak Apollon — nic jasnego nie powiesz.

HERAKLIT: Bo nic mi na was nie zależy.

KUPUJĄCY: Toteż cię nie kupi nikt rozsądny.

HERAKLIT: A ja nie dbam o nich wszystkich razem: i o tych co kupują i o tych co nie kupują.

KUPUJĄCY: To tutaj nieszczęście jest bliskie melancholii. Ja też żadnego z nich dwóch nie kupię.

HERMES: I ci zostaną nie sprzedam.

DZEUS: Innego ogłaszaj!

HERMES: Może chcesz tam tego Ateńczyka — tego gadułę?

DZEUS: Bardzo dobrze.

HERMES: Chodź no tutaj, ty! Żywot dobry, inteligentny ogłaszamy! Kto kupi tego świętego?

KUPUJĄCY: Powiedz mi, co też ty umiesz na przykład?

SOKRATES: Ja się kocham w chłopcach i rozumiem się na miłości.

KUPUJĄCY: Więc jakże ja cię kupię? Potrzebowałbym zaraz gubernera, bo mam ładnego synka.

SOKRATES: Któż by się lepiej ode mnie nadawał do obcowania z ładnym chłopcem? Przecież ja się nie kocham w ciałach, ja sądzę, że dusza jest piękna. Zresztą, gdyby nawet leżeli ze mną pod jednym płaszczem, to oni ci potem sami powiedzą — że nic im się złego ode mnie nie stało.

KUPUJĄCY: To niewiarogodne, co mówisz, że w chłopcach się kochasz, a poza duszą niczym się więcej nie interesujesz i to, kiedy można; jak leżysz pod tym samym płaszczem!

SOKRATES: Ależ tak; ja ci przysięgam na psa i na jawor, że to tak jest.

KUPUJĄCY: Heraklesie! Cóż to za dzikie bóstwa!

SOKRATES: A cóż ty mówisz? Czy nie myślisz, że pies to bóg? To nie widzisz Anubisa w Egipcie, jaki duży? I na niebie Syriusza i u tych pod ziemią Kerberosa?

KUPUJĄCY: Masz słuszość. To ja się pomyliłem. Ale jakim trybem żyjesz?

SOKRATES: Ja mieszkam w pewnego rodzaju państwie, którym sobie wystawił. Korzystam z ustroju innego niż u was i prawa uznaję swoje własne.

KUPUJĄCY: Jakaś jedną rad bym usłyszeć zasadę.

SOKRATES: To posłuchaj najdonioślejszej, którą ja uznaję w kwestii kobiecej. Żadna kobieta nie powinna należeć do nikogo poszczególnego. Powinna obcować z każdym, który chce małżeństwa.

KUPUJĄCY: Co ty mówisz? Znieść prawa dotyczące cudzołóstwa?

SOKRATES: Na Dzeusa! Po prostu wszystkie te drobiazgowo i małostkowo brednie w tej dziedzinie.

KUPUJĄCY: A co myślisz o chłopcach w rozkwicie?

SOKRATES: I tych będą mogli najlepsi całować; w nagrodę za jakiś świetny czyn, za odwagę.

KUPUJĄCY: Hoho! Co za hojność. A twojej nauki jaka główna treść?

SOKRATES: Idee i pierwowzory wszystkiego, co istnieje. Bo cokolwiek widzisz, a więc ziemię i to co na ziemi, niebo, morze — wszystkich tych rzeczy obrazy niewidzialne stoją poza wszystkim.

KUPUJĄCY: A gdzie stoją?

SOKRATES: Nigdzie, bo gdyby były gdzieś — nie byłyby.

KUPUJĄCY: Ja nie widzę tych pierwowzorów, o których ty mówisz.

SOKRATES: Naturalnie. Bo ślepe jest oko twojej duszy. A ja widzę obrazy wszystkich rzeczy i ciebie niewidzialnego, i siebie drugiego takiego, i w ogóle wszystko podwójnie.

KUPUJĄCY: Toteż warto ciebie kupić, boś mądry i masz



jakiś bystry wzrok. Ale poczekaj, zobaczę, ile znowu zacenisz mi za niego ty?

HERMES: Daj dwa talenty.

KUPUJĄCY: Kupiłem za tyle, co mówisz. A pieniądze złożę później.

HERMES: Jak ci na imię?

KUPUJĄCY: Dion z Syrakuz .

HERMES: No to weź go sobie zdrów, Epikurejczyku, ciebie już wołam. Kto tego kupi? To jest uczeń tego co się śmieje, i tego pijanego, któregośmy przed chwilą reklamowali. On umie o jedno więcej od nich, o tyle że jest jeszcze mniej pobożny. A poza tym sympatyczny i lubi dobrze zjeść.

KUPUJĄCY: Jaka cena?

HERMES: Dwie miny.

KUPUJĄCY: Proszę, bierz. Ale ten — żebyś wiedział, co on chętnie jada.

HERMES: Żywi się słodyczami i na miodzie jada, a najlepiej suszone figi.

KUPUJĄCY: O — to nic trudnego. Kupimy mu marmeladek z fig karyjskich.

DZEUS: Innego zawołaj. Tego ostrzyżonego przy skórze; taki ponury; ten od portyku .

HERMES: Dobrze mówisz. Zdaje się, że ich wielki tłum czeka na przybywających na targ. Dzielność samą sprzedaje, typ życia najdoskonalszy! Kto chce sam jeden wiedzieć wszystko?

KUPUJĄCY: Jak to rozumiesz?

HERMES: Bo on jeden tylko jest mądry, on jeden tylko piękny, jedyny sprawiedliwy, mężny, król, mówca, bogacz, prawodawca i tam dalej, co tylko jest.

KUPUJĄCY: Więc prawda, mój dobry Panie, że kucharzem jest tylko on i, na Dzeusa, garbarzem, i cieślą, i tam dalej — tylko on?

HERMES: Zdaje się.

KUPUJĄCY: Przyjdź no, dobry człowieku, i powiedz mnie, kupującemu, jaki też to ty jesteś. A naprzód, czy się nie gniewasz, kiedy cię sprzedają i niewolnikiem jesteś?

CHRYSIPPOS: Nic podobnego. Te rzeczy są przecież od nas niezależne. A co jest od nas niezależne — to jest obojętne.

KUPUJĄCY: Nie rozumiem, jak to mówisz?

CHRYSIPPOS: Co mówisz? Nie rozumiesz, że z takich rzeczy

jedne są raczej godne, a drugie — na odwrót — niegodne?

KUPUJĄCY: Jeszcze i teraz nie rozumiem.

CHRYSIPPOS: Naturalnie. Bo nie jesteś obeznany z naszym słownictwem i nie masz „wyobrażenia uchwytne”, a człowiek poważny i pilny, który się wyuczył logiki, wie nie tylko to, ale wie też, co to przypadek i przyprzypadek — i o ile one się od siebie różnią.

KUPUJĄCY: Zaklinam cię na mądrość, powiedz mi łaskawie choćby to, co to jest przypadek i przyprzypadek. Bo nie umiem powiedzieć, jak mnie uderzył rytm tych terminów.

CHRYSIPPOS: Och, bardzo chętnie: Jeżeli ktoś kulawy tą właśnie kulawą nogą uderzy o kamień i zrani się niespodzianie, to taki człowiek miał przecież już swój przypadek: to kalectwo, a do tego dostał jeszcze przyprzypadek: tę ranę.

KUPUJĄCY: O, co za wnikliwość subtelna! A co też ty innego jeszcze umiesz, powiadasz?

CHRYSIPPOS: Znam pętle słowne, którymi nogi pętam tym, co ze mną obcuja i usta im zatykam, i do milczenia zmuszani — po prostu kaganiec każdemu zakładam. A nazwa tej broni potężnej to jest ten przesławny syllogizm.

KUPUJĄCY: Heraklesie! Ty masz na myśli jakiś niezwalczony i zniewalający gwałtem.

CHRYSIPPOS: Zobacz tylko. Masz ty dziecko?

KUPUJĄCY: No i co z tego?

CHRYSIPPOS: To z tego, że gdyby ci je porwał krokodyl znalazłszy je płaczące się gdzieś nad rzeką i potem by ci przyrzekł oddać je, jeżeli mu powiesz prawdę o tym, co on zamierza zrobić w sprawie oddania dziecka, to co ty powiesz, że on co postanowił?

KUPUJĄCY: Nie podobna odpowiedzieć na twoje pytanie. Bo ja nie wiem, co powiedzieć naprzód, żebym dziecko odebrał. Ale, na Dzeusa, odpowiedz ty i wyratuj mi dziecko, żeby go krokodyl przedtem nie pożarł.

CHRYSIPPOS: Bądź spokojny. Ja cię i innych rzeczy nauczę — jeszcze dziwniejszych.

KUPUJĄCY: Jakich?

CHRYSIPPOS: Żniwiarza i Panującego, a przede wszystkim Elektry i Zasłoniętego.

KUPUJĄCY: O jakim ty zasłoniętym mówisz i o której Elektrze?

CHRYSIPPOS: O Elektrze, o tej samej, o córce Agamemnona, która równocześnie ma poznanie i nie ma poznania tych samych rzeczy. Bo kiedy koło niej stoi Orestes jeszcze nie rozpoznany, wtedy ona ma to poznanie, że Orestes to jest jej brat, a tego poznania nie ma, że ten tu to jest Orestes. A Zasłoniętego — ten jest bardzo dziwny — zaraz usłyszysz. Odpowiedz mi: ty ojca znasz? Swojego własnego?

KUPUJĄCY: Tak jest.

CHRYSIPPOS: Więc cóż? Jeżeli ja przy tobie postawię kogoś zasłoniętego i zapytam: czy ty tego człowieka znasz? Wtedy co powiesz?

KUPUJĄCY: Jasna rzecz, że nie znam.

CHRYSIPPOS: A tymczasem to właśnie był ojciec. Twój własny. Więc, jeżeli ty tego człowieka nie znasz, to jasna rzecz, że nie znasz własnego ojca.

KUPUJĄCY: Ależ nie! Przecież odślonię go i będę znał prawdę. W każdym razie, do czego zmierza twoja mądrość? Albo co będziesz robił, jak dojdiesz do szczytu dzielności?

CHRYSIPPOS: Po pierwsze, będę wtedy zgodny z Naturą. A tu mam na myśli majątek, zdrowie i takie rzeczy. Ale przedtem trzeba wiele trudów ponieść, trzeba sobie wzrok wyostrzyć z pomocą bardzo subtelnych rozprawek i zbierać komentarze do autorów, i głowę mieć pełną dzikich zwrotów i wyrazów cudaczných. A główna rzecz to, że nie masz prawa zostać mądrym, jeżeli się trzy razy z rzędu ciemierzycy nie napijesz.

KUPUJĄCY: To bardzo szlachetne u ciebie i strasznie męskie. A to, żeby być sknerą i procenty zbijać — bo ten rys też u ciebie widzę — to co powiemy: to jest rys człowieka, który już pił ciemierzycę i doszedł do szczytu dzielności?

CHRYSIPPOS: Tak jest. On jeden tylko może mieć prawo pożyczać na procent i może mu z tym być do twarzy. Bo skoro Jego specjalnością jest syllogizm, czyli zrachowywanie, a pożyczanie na procent i rachowanie procentów wydaje się czymś bliskim zrachowywania, zatem jedno i drugie będzie rysem jedynie tylko dzielnego człowieka. I to nie chodzi tylko o procent prosty, jak u innych, chodzi o to, żeby brać procenty od procentów. Czy nie wiesz, że z procentów jedne są pierwszego rzędu, a drugorzędne rodzą się z nich jakby ich potomstwo. A widzisz przecież i to, co mówi syllogizm: Jeżeli kto weźmie procent pierwszego rzędu, to weźmie i drugorzędny. A że pierwszorzędny

weźmie, więc weźmie i drugorzędny.

KUPUJĄCY: Nieprawdaż, o zapłatach to samo powiemy, które ty bierzesz za naukę od młodych ludzi? Więc jasna rzecz, że jedynie tylko dzielny człowiek będzie brał pieniądze za dzielność?

CHRYSIPPOS: Rozumiesz, widzę. Bo przecież ja nie biorę ze względu na siebie, tylko ze względu na tego, który płaci. Bo skoro jeden ktoś jest skłonny do tego, żeby zgarniać, więc ja się sam ćwiczę w zgarnianiu, a ucznia w rozsypywaniu.

KUPUJĄCY: A to by powinno być wprost przeciwnie: młody żeby zgarniał, a ty jeden żebyś był bogaty i rozsypywał.

CHRYSIPPOS: Ty sobie drwisz, ty jeden jakiś! Uważaj, żeby cię nie zastrzelił syllogizmem nieoczywistym.

KUPUJĄCY: A co taka strzała zrobi?

CHRYSIPPOS: To, że ani w prawo, ani w lewo i zamilknie, i w głowie ci się przewróci.

A najlepsze to, że jak zechcę, to w tej chwili cię kamieniem zrobię.

KUPUJĄCY: Jak to kamieniem? Ty mi, dobra duszo, nie wyglądasz na Perseusza.

CHRYSIPPOS: Tak mniej więcej: Kamień to ciało?

KUPUJĄCY: Tak.

CHRYSIPPOS: No cóż? A co żywe to nie ciało?

KUPUJĄCY: Tak.

CHRYSIPPOS: A tyś żywy?

KUPUJĄCY: Zdaje się.

CHRYSIPPOS: Więc jesteś kamień, boś jest ciało.

KUPUJĄCY: Za nic w świecie! Wyzwól mnie, na Dzeusa, i zrób mnie na nowo człowiekiem!

CHRYSIPPOS: To nie trudno. Bądź znowu człowiekiem! Bo powiedz mi. Czy każde ciało jest żywe?

KUPUJĄCY: Nie.

CHRYSIPPOS: No cóż? A kamień to żywe?

KUPUJĄCY: Nie.

CHRYSIPPOS: A ty ciało jesteś?

KUPUJĄCY: Tak.

CHRYSIPPOS: A skoro jesteś ciało, toś żywy?

KUPUJĄCY: Tak.

CHRYSIPPOS: Więc nie jesteś kamień, skoroś przecież żywy.

KUPUJĄCY: Dobrześ zrobił. Bo już mi nogi były zziębły jak u Nioby i zeszywniały. Ale ja cię kupię. Ile mam za niego dać?

HERMES: Dwanaście min.

KUPUJĄCY: Proszę, weź.

HERMES: A sam jeden go kupujesz?

KUPUJĄCY: Na Dzeusa! Przecież ci wszyscy, których widzisz.

HERMES: Dużo ich jest i barki mają mocne. Godni Żniwiarza  
DZEUS: Nie zabawiaj się tam. Innego zawołaj. Perypatetyka.

HERMES: Ciebie wzywam. Ciebie pięknego, bogatego. Dalejże! Kupcie sobie najinteligentniejszego, takiego co w ogóle wszystko wie.

KUPUJĄCY: A jaki on jest?

HERMES: Utrzymany w mierze, przyzwoity, przystosowany do życia. A przede wszystkim dwojaki.

KUPUJĄCY: Jak to mówisz?

HERMES: Inny wydaje się z wierzchu, a inny w środku. Więc jeżeli go kupisz, to pamiętaj, żebyś jednego nazywał ezoterycznym, a drugiego egzoterycznym.

KUPUJĄCY: A co też on wie?

HERMES: Są trzy rodzaje dóbr: w duszy, w ciele i w świecie zewnętrznym.

KUPUJĄCY: To po ludzku myśli. A ile on kosztuje?

HERMES: Dwadzieścia min.

KUPUJĄCY: To dużo cenisz.

HERMES: Nie, mój drogi. Zdaje się, że on sam ma też trochę pieniędzy. Więc kup go czym prędzej. W dodatku zaraz się od niego dowiesz, jak długo żyje komar i do jakiej głębokości słońce przewierca morze, i jaka jest dusza ostryg.

KUPUJĄCY: Heraklesie! Jakież to wnikliwe i dokładne badania!

HERMES: No cóż? A gdybyś usłyszał inne rzeczy, jeszcze znacznie bystrzejsze od tych: o rodzeniu się i pochodzeniu, i o formowaniu się zarodków w macicach, i że człowiek potrafi się śmiać, a osioł nie potrafi i domów ani statków nie buduje.

KUPUJĄCY: Bardzo poważne rzeczy mówisz i to są pożyteczne wiadomości — więc kupię go za dwadzieścia.

HERMES: Niech będzie.

DZEUS: Kto nam jeszcze został?

HERMES: Sceptyk, ten tutaj. Rudy, przyjdź no tu i ogłaszaj się prędko. Już się i ludzie rozchodzą, i mało kto będzie kupował. A jednak, kto sobie kupi i tego?

KUPUJĄCY: Ja. Ale naprzód powiedz mi, co ty wiesz?

FILOZOF: Nic.

KUPUJĄCY: Jakżeś to powiedział?

FILOZOF: Bo w ogóle nie wydaje mi się, żeby cokolwiek istniało.

KUPUJĄCY: Więc nawet i my nie jesteśmy czymś?

FILOZOF: Nawet i tego nie wiem.

KUPUJĄCY: Ani, że ty czymś jesteś na przykład?

FILOZOF: Tego tym bardziej nie wiesz.

KUPUJĄCY: Nie ma z nim rady. A co ma znaczyć ta twoja waga?

FILOZOF: Ja na niej ważę słowa i doprowadzam do równości, a jak zobaczę słowa dokładnie jednakie i równoważne, dopiero wtedy nie wiem, które prawdziwsze.

KUPUJĄCY: A poza tym — co byś ty chętnie robił?

FILOZOF: Wszystko, tylko bym nie gonił nikogo, kto by uciekł.

KUPUJĄCY: A tego czemu nie możesz?

FILOZOF: Bo ja, dobry panie, nic nie chwytam.

KUPUJĄCY: To może być. Zdaje się, że jesteś jakiś powolny i trochę tępy. Ale do czego ma prowadzić to twoje zatrzymywanie się nad rzeczami? Jaki cel?

FILOZOF: Niewiedza; ani nie słyszeć, ani nie widzieć.

KUPUJĄCY: Więc mówisz, że jesteś jednocześnie i ślepy, i głuchy?

FILOZOF: I do sądu niezdolny, w dodatku i do spostrzegania, i w ogóle od dżdżownicy niczym się nie różnię.

KUPUJĄCY: Dlatego trzeba cię kupić. A ile on ma być wart?

HERMES: Jedną minę attycką.

KUPUJĄCY: Proszę. Weź. I co ty powiesz — kupiłem ciebie.

FILOZOF: To nie jest pewne.

KUPUJĄCY: Ależ nigdy w świecie. Kupiłem i zapłaciłem pieniędzmi.

FILOZOF: Wstrzymuję się od sądu w tej sprawie i rozważam.

KUPUJĄCY: Więc chodź za mną — trzeba, żeby mój służący chodził za mną.

FILOZOF: Któż wie, czy to prawda, co mówisz?

KUPUJĄCY: Woźny i mina attycka, i świadkowie.

FILOZOF: To tu jest ktoś koło nas?

KUPUJĄCY: Jak cię zamknę do młyna, już ja cię wtedy prze-

konam, że jestem panem — według ewentualności gorszej.

FILOZOF: Powstrzymaj się od sądu w tej sprawie!

KUPUJĄCY: Ależ, na Dzeusa, ja go już wydałem.

HERMES: No — nie opieraj się i idź za tym, który cię kupił.  
A was na jutro zapraszamy. Mamy zamiar ogłaszać typy życia prywatnego, bez wyższej kultury; zawodowego i pospolitego na rynku.

## VIII. RYBAK

### WSTĘP

Jest w V księdze Politei Platona takie miejsce, w którym Sokrates zaczyna się głośno bać, jakie złe wrażenie wywrą jego marzenia o normalizacji życia płciowego pod rządami filozofów w idealnym państwie i humorystycznie tę swą obawę wypowiada. Już widzę, mówi, jaki tłum na nas ciągnie z kijami, z kamieniami, zarzucą nas po prostu i nie obronimy się, kiedy jaki taki chwyci, co będzie miał pod ręką i ruszy mścić się na nas i karać nas za nasze bluźnierstwa. Tak mniej więcej mówi.

Ten żart przydał się Lukianowi. Zrobił z niego obraz, którym się „Rybak” zaczyna. Tyle tylko, że te kije i kamienie włożył w ręce zmarłym filozofom i na ich czele postawił samego Sokratesa. Zmarli wyszli z Hadesu, żeby się mścić na nim za napisanie „Wyprzedaży typów życia” i za „Rozmowy umarłych”. Z czego ma być widać, jakie to doniosłe dzieła i jaki potężny jest Lukian jako autor, skoro wywołał taki ruch aż na tamtym świecie. On sam udaje prześladowanego Sokratesa.

Że Sokrates jest tu zgoła niepodobny do siebie, ani żaden inny z filozofów atakujących a wymienionych po nazwisku, to, widać, nie robiło Lukianowi różnicy. Widocznie ten efekt komiczny był obliczony na czytelników, którzy o Sokratesie mieli jakieś blade pojęcie, schematyczne, a nie znali go z dialogów platońskich z bliska. Komizm niewyszukany. Podobnie jak u Tuwima, w jego „Sokratesie tańczącym”.

W Politei Platona znalazł też Lukian postać Filozofii, do której się przystawiają konkurenci spod ciemnej gwiazdy. Znalazł i wprowadził ją tutaj do swego dialogu. Nieraz tak przerabiał starzyznę i sprzedawał ją jako „całkiem nowy kawałek, prosto z igły”. Reklamuje się nawet w ciągu dialogu, że sprzedaje starą garderobę po samym Platonie i nie szczędzi Platonowi wyrazów największego uznania.

Po napisaniu „Wyprzedaży typów życia” pisze szósty rozdział „Rybaka” z miną tak niewinną i wypiera się tego, co zrobił,



tak wymownie i tak w żywe oczy, jak to musiał, nieraz robić na sali sądowej w obronie różnych ciemnych figur. Pozwala Platonowi, "żeby mu w rozdziale siódmym głośno mówił szczerze słowa prawdy. Te słowa brzmią jak głos sumienia. Ale sumienie to zbyt poważny wyraz, kiedy chodzi o ten typ pisarza. On „ma pióro” i z pióra żyje.

I tak od jedenastego rozdziału począwszy zaczyna Lukian grać błędnego rycerza Prawdy, nieszczęśliwego kochanka Filozofii, który jej szuka, jak Psyche szukała Erosa i gorzkie zawody przeżywa w toku swej ciężkiej wędrówki. Chwali swą niezależność, szczerłość, miłość prawdy, robi z siebie Perseusza, który wyruszył na pogębienie smoka — tym smokiem są współcześni szarlatani, uzurpujący sobie miano filozofów — a równocześnie wyprasza się, że jest tylko komikiem zawodowym, więc trzeba mu pozwolić i darować to, że szarpie za pięty ludzi zupełnie poważnych, przed którymi zawsze gotów schylić głowę. I tu się zapędził, bo jedna postawa kłóci się z drugą. Albo rycerz, albo śmieszek, a nie: jedno i drugie na raz. Lukian nie wybrał dla siebie jednego z tych dwóch kostiumów i przybiera oba na raz. Po tym widać, że się bawi. Rycerzem nie jest na pewno.

On jest „zawodowym wrogiem blagi, czarów, kłamstwa i zarozumiałości”, ale nie tylko tych rzeczy. On wygląda raczej na zawodowego wroga wszystkich przedmiotów czci ludzkiej. Każdy, żywy czy umarły, rzeczywisty czy zmyślony, historyczny czy mityczny przedmiot czci jest mu z góry podejrzany o kłamstwo, błagę, szarlatanerię, czary i zarozumiałość. Demaskowanie to jego zawód. Zrzucanie z piedestałów — wszystko jedno, kogo i co zrzuci. Oczywiście, że przy tym udaje mu się przewracać także i bałwany, ale nie wszystko było licha warte, co ludzie szanowali w jego czasach. On twierdzi, że się nazywa Weredyk Prawdzicki i jest wnukiem Obelgosława. To są przechwałki. Zachowuje się raczej jak Śmiałek Dziennikarski, wnuk Obełgiewicza. To przecież jawna nieprawda, że w „Sprzedaży żywotów” atakował tylko epigonów wielkich imion — wcale nie. Czarno na białym atakował powyrywane tezy filozofów dawnych oraz ich osoby, a teraz próbuje wmówić w czytelnika, że służy idei, spełnia misję, że sam jeden idzie przeciw wszystkim i tym podobne wzniosłości. On na pewno i tego nie robi na serio. Sam się bawi własną komedią. Bierze w usta wyrazy wyjęte z „Obrony Sokratesa” w ustępie 29 i gromi w 31 tych, których jedyną pobudką

jest próżność zawodowa i umieją tylko przybierać wygląd miłośników prawdy. To jest postawa śmiała.

W 32 tak ostro hańbi osłów w lwich skórach, że trudno wątpić w pierwszej chwili w autentyczność jego własnej lwiej skóry i jego wielkiej maczugi, którą wywija. Kiedy go uważnie przeczytać po raz drugi, widzi się, że ta maczuga jest papierowa, a płynne zdania wielkiej perory brzmią pusto i fałszywie. Reszta jest udramatyzowanym figlem o wielkiej plastyce. Widać, że Lukian doskonale pamiętał Ateny i położenie Akropolis. Można na planie i na fotografii wskazać, gdzie odbywa się scena sądu i scena połowu ryb.

SOKRATES: Walić, walić w tego draba, nie żałować kamieni! Grudami go zarzucić, skorupami też! Bić patykami tego łajdaka! Uważaj, żeby nie uciekł! I ty bij, Platonie! I ty, Chrysippie, i ty też Wszyscy razem, ramię do ramienia — dalej na niego!

Torba niech torbom pomoże, a kij niechaj kije wspomaga!

To przecież wspólna wojna. Wszystkich nas co do jednego sponiewierał. I ty, Diogenesie, jeżeli kiedy, to teraz używaj patyka. Nie ustawajcie! Niech dostanie, co mu się należy; ten bluźnierca. Cóż to? Zmęczyliście się już — Epikurze i Arystyppie? Och, nie należało!

Chłopy z was mocne a mądre; wasz gniew musi być straszliwy!

Aristotelesie, do roboty, a jeszcze prędzej! Dobrze tak! Już się nie wymknie, bestia. Teraz Cię mamy, zbrodniarzu! Zaraz będziesz wiedział, kogoś szarpał. Ale jakby się tu wziąć do niego? Musimy mu jakąś wyszukaną śmierć obmyśleć, żeby każdemu z nas mogła wystarczyć jako satysfakcja z jego strony. Każdemu z nas z osobna należy się jego śmierć.

FILOZOF A: Ja uważam, że należy go wbić na krzyż.

FILOZOF B: Na Dzeusa; ale naprzód go ubiczować.

FILOZOF C: Oczy mu wydrapać!

FILOZOF D: A jeszcze grubo przedtem wyciąć mu ten język

SOKRATES: A ty, Empedoklesie, co myślisz?

EMPEDOKLES: Do krateru go wrzucić; niech się nauczy nie besztać lepszych od siebie.

PLATON: A najlepiej byłoby, żeby on, jak jakiś Penteus albo Orfeusz:

*Na sztuki poszarpany pod skalami padł.*

Tak, żeby sobie każdy wziął jakąś część z niego i poszedł. I...

LUKIAN: Za nic w świecie. Na Dzeusa Łaskawego zaklinam, darujcie mi życie!

SOKRATES: To już postanowione. Już teraz nie ujdiesz. Nie widzisz też i u Homera, jak on powiada, że

Nie niewarte przysięgi pomiędzy lwami i ludźmi?

LUKIAN: O tak! Ja was też słowami Homera zaklinam. Uszanujecie przecież epos i nie będziecie patrzyli na mnie krzywo, kiedy zacznę pieśń: Nie zabijajcie człowieka i okup weźcie godziwy: Miedź i złoto, którymi nawet i mędracy nie gardzą.

PLATON: Ale i nam nie zabraknie odpowiedzi z Homera. Posłuchaj:

O tym, byś uszedł i nie myśl, i tego mi nie poddawaj, Choćbyś złota nazbierał; popadłeś w me ręce, oszczerco!

LUKIAN: Ach, co za nieszczęście! Homer mi się na nic nie przyda; moja największa nadzieja! Muszę się uciec do Eurypidesa. Może mnie ten uratuje. Gdy ktoś o życie błaga, zabijać ciężki grzech!

PLATON: Ach cóż? A czy to nie jest też z Eurypidesa?

To nie jest straszne, jeśli zbrodniarz strasznie cierpi też.

LUKIAN: Więc według waszych słów, wy zabijecie mnie?

PLATON: Na Dzeusa! Bo ten sam autor powiada:

Nieokiełznane usta, Bezprawie, nierozsądek — Prowadzą do nieszczęścia!

LUKIAN: Wiecie co? Skoro już w ogóle zapadł na mnie wyrok śmierci i nie ma żadnego sposobu, żebym się od niego wymigał, to proszę, powiedzcie mi przecież, co w was jest takiego albo co was tak nieznośnego spotkało ode mnie, że się tak gniewacie bez litości i złapaliście mnie, aby mnie zabić?

PLATON: Coś ty nam złego zrobił, o to siebie samego zapytaj, niecnoto, i tych swoich pięknych pism, w którychś filozofię samą oczerniał i poniewierałeś nas, obwołując jakby na targowisku, mędrców, a co najważniejsza: ludzi wolnych! To nas oburzyło, więc wyszliśmy spod ziemi na ciebie, uprosiwszy sobie krótkie zwolnienie u Hadesa. Chrysippos ten tutaj i Epikuros, i ja, Platon i Aristoteles, tamten tam, i ten milczący Pythagoras, i Diogenes, i wszyscy, których szarpałeś w swoich pismach.

LUKIAN: Odetchnąłem. Wy mnie przecież nie zabijecie, jeżeli się dowiecie, jak się ułożył mój stosunek do was. Więc odrzućcie kamienie! A lepiej zachowajcie je. Użyjecie ich przeciw tym, którzy są ich warci.

PLATON: Pleciesz! Ty musisz dzisiaj zginąć i już — Wdziewaj koszulę z kamieni za wszystko złe, coś nabroił!

LUKIAN: Doprawdy, wierzcie mi, że człowieka, którego przed wszystkimi trzeba było chwalić za to, że wam jest bliski i życzliwy i podziela wasze zdania, i który, choć to niezgrabnie powiedzieć, dba o wasze interesy — więc kogoś takiego zabijecie, jeżeli zabijecie mnie, którym się tyle nad wami napracowałem. Uważajcie, czy wy nie postępujecie tak samo, jak dzisiejsi filozofowie; okazujecie się niewdzięczni i wpadacie w gniew, i nie macie zrozumienia dla człowieka, który dla was dużo dobrego zrobił.

PLATON: Ach cóż za bezczelność! Jeszcze ci się, doprawdy, zdaje, że z niewolnikami rozmawiasz. I ty wypominasz nam jakieś dobrodziejstwa po takich zuchwałych napaściach i nieprzypadkowych obelgach, które są w twoich pismach?

LUKIAN: Ale gdzież to ja was albo kiedy obraziłem? Ja, którym całe życie filozofię podziwiał i was samych pod niebiosa wynosił, i obcowałem z pismami, któreście zostawili? Przecież właśnie to, co piszę, skądże inąd wzięłem, jeżeli nie od was? Jak pszczoła z kwiatów to zbieram i pokazuję ludziom. A oni chwalą i każdy z nich poznaje, skąd każdy kwiatek pochodzi i od kogo, i jak ja go zerwałem i głośno mi zazdroszczą tego bukietu, a naprawdę chciwym okiem patrzą na was i na łąkę tę waszą, że tam u was tyle różnobarwnych kwiatów o tak różnych wyglądach rośnie, byle tylko ktoś umiał je zbierać i układać, i harmonizować, aby się nie kłóciło jedno z drugim. Więc czy to możliwe, żeby ktoś, kto wam to dobrodziejstwo zawdzięcza, chciał oczerniać własnych dobroczyńców, od których i jego sława pochodzi? Chyba żeby to była jakaś natura taka jak Tamyris albo Eurytos, żeby śpiewać na przekór Muzom, które go śpiewu uczyły, albo na złość strzelać z łuku przeciw Apollonowi, któremu się łuk i strzały zawdzięcza.

PLATON: To jest retoryka, mój panie! Zupełnie niezgodna z twoim postępowaniem i to dowodzi tym gorszej zuchwałości z twojej strony, jeżeli się do niegodziwości dołącza jeszcze i niewdzięczność. Od nas, jak mówisz, dostałeś strzały, a strzelałeś do nas, ten jeden cel mając na oku, żeby nas wszystkich oczernić. Tośmy od ciebie dostali za to, żeśmy przed tobą rozścielili tę łąkę i nie broniliśmy ci kwiatów zrywać, nabrać ich pełny podolek i pójść sobie. Więc właśnie dlatego zasługujesz na śmierć.

LUKIAN: Czy widzicie? Gniew uszy wam zatyka i sprawiedliwości przystępu nie daje. Ja bym się nigdy nie był spodziewał, żeby gniew mógł mieć dostęp do Platona albo Chrysyppa, albo do Aristotelesa, albo do innych spośród was. Wydawało mi się, że

tylko wy jedni jesteście wyżsi ponad takie rzeczy. Więc przynajmniej nie zabijajcie mnie bez sądu — jacyście wy dziwni — nie przed rozprawą. Przecież i to był wasz rys, żeby w życiu obywatelskim nie stosować gwałtu i przemocy, ale sprawiedliwie wyrównywać przeciwieństwa, uzasadniając swoje stanowisko i wysłuchując z kolei przeciwnego. Więc wybierzcie sędziego i wnieście oskarżenie, Albo wszyscy razem, albo wybierzcie kogoś, niech reprezentuje wszystkich. A ja będę się bronił przeciw zarzutom. I jeżeli się okaże, że nie mam słuszności i sąd wyda taki wyrok na mnie, poddam się, oczywiście, zasłużonej karze. A wy nie posuniecie się do żadnego kroku gwałtownego. A jeżeli się wam na rozprawie pokaże, że ja jestem niewinny i bez zarzutu, wtedy sędziowie mnie uwolnią, a wy znowu obrócić swój gniew na tych, którzy was w błąd wprowadzili i podjudzali na mnie.

PLATON: To właśnie: konia na pastwisko! Żebyś sędziów przekabacił i poszedł wolny. Mówią przecież, że ty jesteś adwokat i procesowicz, i do wszystkiego zdolny w słowach. I kogo byś ty chciał mieć sędzią, kogo byś nie podpłacił, jak wy to nieraz robicie — i nie nakłonił, żeby niesprawiedliwie za tobą głosował?

LUKIAN: Bądźcie o to spokojni. Ja bym nie chciał na sędziego nikogo takiego podejrzanego i chwiejnego; który by za mną głos oddał. Patrzcie więc. Sąd pomiędzy mną a wami ja ze swojej strony oddaje w ręce Filozofii samej.

PLATON: A któż będzie mógł oskarżać, jeżeli my będziemy sędzieli?

LUKIAN: Wy sami oskarżajcie i sądzcie. Ja się wcale i tego nawet nie boję. Tak bardzo góruje słuszność mojej sprawy i wierzę, że się obronię aż nadto.

PLATON: No, co zrobimy, Pythagorasie i Sokratesie? Bo zdaje się, że ten jego pozew nie jest bez sensu.

SOKRATES: No cóż innego? Nic. Tylko pójdziemy na sąd. Weźmiemy z sobą Filozofię i posłuchamy, co on powie na swoją obronę. Bo tak — przed rozprawą — to nie po naszymu, tylko strasznie głupio. Tak mogą robić jacyś pasjonaci, którzy sprawiedliwość lokują w pięści. I będą mieli o co zaczepić wszyscy którzy nas zechcą czernić, żeśmy ukamienowali człowieka nie dawszy mu wypowiedzieć obrony — i to my, którzy twierdzimy, że sami cieszymy się sprawiedliwością. Bo co byśmy mogli powiedzieć na temat Anytosa i Meletosa, moich oskarżycieli, jeżeli

ten tu zginie, nawet nie otworzywszy ust.

PLATON: Bardzo słusznie radzisz, Sokratesie. Więc chodźmy do Filozofii i niech ona sędzi, a my się zadowolimy tym, jakkolwiek ona tę sprawę rozpozna.

LUKIAN: Dobrze tak — najmądrzejsi — to lepsze i bardziej zaszczytne. A kamienie zachowajcie, jak powiedziałem. Bo niezadługo będzie ich potrzeba w sądzie. Ale gdzieby tu można było znaleźć Filozofię? Ja nie wiem, gdzie ona mieszka. A błąkałem się długi czas, szukając jej mieszkania, aby się z nią zetknąć bliżej. I natrafiałem na jakichś ludzi, poubieranych w peleryny i z długimi brodami, którzy mówili, że od niej samej przychodzą. Myślałem, że wiedzą, gdzie ona, więc ich pytałem. Ale oni wiedzieli o tym jeszcze mniej niż ja, więc albo nie odpowiadali mi wcale, aby się nie pokazała ich niewiedza, albo mi wskazywali drzwi to jedne, to drugie. Tak że ja jeszcze i dziś nie umiem znaleźć jej mieszkania.

Nieraz bywało, sam się domyślałem albo w czyimś towarzystwie przychodziłem do jakichś drzwi żywiąc w głębi duszy nadzieję, że teraz przecież znalazłem. Zresztą świadczyło mi o tym mnóstwo wchodzących i wychodzących; wszyscy ponuro patrzyli, a wyglądali marnie — twarze mieli zamyślane. Więc wcisnąwszy się za nimi, wchodziłem i ja. Wtedy widziałem jakąś kobietkę nieprostą, chociaż, ile mogła, tyle się stylizowała na prostotę i strój bez ozdób. Od razu widziałem te jej niby to zaniedbane włosy — ona ich nie układała i zarzucała płaszcz niby to od niechcienia. Ale widać było jasno, że się w to stroi wszystko i żeby się podobać, dla przyzwoitości udaje zaniedbanie. Przeglądały tu i ówdzie ślady pudru i szminki, i cały styl mówienia i bycia przypominał kobiety sprzedajne. Cieszyła się, kiedy ci, co się w niej kochali, chwalili ją za piękność, a jeśli jej kto co dał, brała bez wahania. Przysiadła się blisko do co bogatszych gości, a na ubogich nawet nie patrzyła. Nieraz, bywało, odsłoniła się przypadkiem — wtedy widziałem u niej grube obręcze naszyjników. Więc się natychmiast zrywałem na nogi i szedłem sobie; żal mi było tylko oczywiście tych, których ona nie za nos, ale za brodę do siebie ciągnęła, za czym oni, wzorem Iksiona, z widziadłem a nie z Herą samą obcowali.

PLATON: Toś słusznie powiedział. Drzwi Filozofii nie rzucają się w oczy i nie każdy je rozpozna. Ale nie będziemy musieli chodzić do niej, do domu. Poczekamy na nią tu, na Kera-

mejku. Ona się tu już gdzieś zjawi; może będzie wracała z Akademii pod górę, aby przejść także w Portyku Malowanym. Ona to co dzień robi, już taki ma zwyczaj. A lepiej — oto ona właśnie nadchodzi. Widzisz, jaka przyzwoita, jak się trzyma ładnie i życzliwie patrzy, i z zastanowieniem spokojne kroki stawia?

LUKIAN: Ja wiele takich podobnych widzę, jeżeli chodzi o wygląd i chód, i ubranie. A przecież jedna tylko jest Filozofia prawdziwa pomiędzy nimi.

PLATON: Dobrze mówisz. Ale pokaże się, co to za jedna, jak tylko usta otworzy.

FILOZOFIA: Halo! Cóż to: Platon i Chryssippos tam na górze i inni wszyscy. Toż to główni przedstawiciele moich nauk. Czemuż to znowu do życia? Może was tam jakaś przykrość spotkała na dole? Bo wyglądacie na zagniewanych. I kogożeście tak schwytali i prowadzicie? On może groby jakiegoś znieważał albo zabijał ludzi, czy też świątynie plamił?

PLATON: Na Dzeusa, Filozofio; to największy bezbożnik ze wszystkich świętokradców; on próbował oczernić Ciebie, najświętsza, i nas wszystkich, którzyśmy się czegoś od ciebie nauczyli i zostawili to potomnym.

FILOZOFIA. Więc oburzaliście się, kiedy wam ktoś zaczął wymyślać, a znaliście przecież mnie i wiedzieliście, ilem się ze strony Komedii nasłuchiwała w czasie Dionysiów, a jednak uważam ją za przyjaciółkę i anim się z nią nie procesowała, ani nie skarżyła; pozwałam jej bawić się — to jest naturalne i zwyczajne w czasie święta. Ja przecież wiem, że przez żarty nic się nie robi gorsze, ale wprost przeciwnie: co tylko jest piękne, to, jak złoto pod uderzeniami młotków, błyszczy tym świetniej i objawia się tym wyraźniej. A wyście się zrobili, nie wiem jak, do gniewy skłonni i zaraz złość was bierze. Więc czemu go dusicie?

PLATON: Wyprosiliśmy sobie ten jeden dzień i idziemy na niego, żeby dostał, co mu się należy za to, co zrobił. Doszły nas wieści, co on tutaj mówił na nas, zwracając się do tłumów.

FILOZOFIA: Więc przed rozprawą go zabijecie i nie wysłuchawszy obrony? Widać przecież, że ori chce coś powiedzieć.

PLATON: No nie; my całą sprawę oddajemy tobie. Jak zechcesz, tak zakończysz rozprawę.

FILOZOFIA: A co mówisz ty?

LUKIAN: To samo, Filozofio, pani moja; Ty jedna może potrafiłabyś znaleźć prawdę. Przecież dopiero na moje błagania

z wielkim trudem udało mi się zastrzec sąd dla ciebie.

PLATON: Teraz, ty niecnoto, nazywasz ją panią, a przedtem Filozofię ze czci odzierałeś; przed tak ogromną widownią obwoływałeś każdy rodzaj jej myśli po dwa obole od sztuki.

FILOZOFIA: Zobaczcież; może on nie o Filozofii źle mówił, tylko o tych magikach, którzy pod moją firmą robią dużo złego.

PLATON: Będiesz zaraz wiedziała, jeżeli tylko zechcesz wysłuchać jego obrony.

FILOZOFIA: Odejźmy na Skalę Aresa, a lepiej na samą Akropolis. Tam widok rozległy; będzie widać wszystko, co się na mieście dzieje.

A wy, przyjaciółki, będziecie się tymczasem przechadzały w Portyku Malowanym. Ja powrócę do was, jak rozsądzę sprawę.

LUKIAN: A kto one są, Filozofio? Bo one mi się też wydają bardzo przyzwoite.

FILOZOFIA: Ta bardzo męska, to Dzielność. Tamta to Rozwaga, a ta koło niej to Sprawiedliwość. Przed nimi idzie Kultura, a ta której dobrze nie widać i kolor ma niewyraźny, to jest Prawda.

LUKIAN: Nie widzę, o której to ty mówisz.

FILOZOFIA: Tej bez ozdób tam — nie widzisz tej nagiej? Ta, co tak ucieka wciąż i wyslizguje się?

LUKIAN: Teraz ją widzą, ale z trudnością. Ale czemu ich też nie bierzesz ze sobą, żeby zebranie było pełne i całkowite? Prawdą chciałbym i dlatego na górą przed sąd poprosić, żeby za mną przemawiała.

FILOZOFIA: Na Dzeusa! Chodźcie więc i wy. Nietrudna rzecz rozsądzić jeden proces: tym bardziej, że będzie szło o naszą sprawę.

PRAWDA: Odejźcie wy. Po cóż mi słuchać tego, co od dawna wiem i znam.

FILOZOFIA: Ale może byś jednak razem z nam' wzięła udział w rozprawie, żeby nam pokazywać każdy szczegół.

PRAWDA: W takim razie zabiorą z sobą te dwie moje służki, które mi są najbliższe?

FILOZOFIA: Bardzo dobrze; ile tylko zechcesz

PRAWDA: Więc niech idą za nami obie: Niezależność i Szczerść; że też my tego nieszczęsnego człowieczka, który się w nas kocha, pod żadnym słusznym pozorem nie możemy wyratować z niebezpieczeństwa! A ty, Probierzu, zostań tu i poczekaj!



LUKIAN: Za nic, Pani moja! Niech przyjdzie i on, jeżeli w ogóle kto. Przecież ja będę musiał walczyć nie z byle jaką zwierzyną, tylko z ludźmi, którzy blagować umieją i przekonywać ich niesposób — zawsze jakieś wybiegi znajdują; tak że nie obejdzie się bez Probierza.

FILOZOFIA: On się bardzo przyda. A najlepiej weź z sobą i Dowód.

PRAWDA: Chodźcie za nami wszyscy. Z pewnością przydadzie się bardzo na procesie.

ARISTOTELES: Widzisz, Filozofio? On się zaprzyjaźnia z Prawdą przeciw nam.

FILOZOFIA: Więc boicie się, Platonie i Chrysippie, i ty Aristotelesie, żeby ona w jego obronie nie kłamała? Przecież to jest Prawda!

PLATON: To nie; ale on nie zna skrupułów, a pochlebiać potrafi, więc ją przeciągnie na swoją stronę.

FILOZOFIA: Bądźcie spokojni. Nie może się zdarzyć nic niesprawiedliwego, bo przecież Sprawiedliwość jest z nami. Więc chodźmy na górę. Ale powiedz mi ty: jak ci na imię?

LUKIAN: Ja jestem Weredyk Prawdzicki, wnuk Obelgosława.

FILOZOFIA: A z których stron?

LUKIAN: Syryjczyk jestem, Filozofio, znad Eufratu, ale cóż to znaczy? Przecież o tym i o owym z tych moich przeciwników wiem, że nie mniej ode mnie są obcego pochodzenia. Jeżeli zaś chodzi o mój charakter i kulturę, to nie wzorowałem się na mieszkańcach miasta Soloi ani na obywatelach Cypru, ani Babilonu, ani Stagiry. Zresztą w stosunku do ciebie nic nie traci na znaczeniu ktoś, kto by nawet z języka był obcy, byleby się jego stanowisko wydawało słuszne i sprawiedliwe.

FILOZOFIA: Dobrze mówisz. Zresztą właśnie o to mi szło. A twoja specjalność jaka? Bo to przecież trzeba wiedzieć.

LUKIAN: Ja jestem zawodowym wrogiem blagi, czarów, kłamstwa i zarozumiałości. Nienawidzę wszelkich tego rodzaju typów. A wiesz, że tego plugastwa jest bardzo dużo między ludźmi.

FILOZOFIA: Heraklesie! Uprawiasz umiejętność, która nienawiścią tryska w bardzo wielu kierunkach.

LUKIAN: Dobrze mówisz. Toteż widzisz, ile typów mnie nienawidzi i jak się narażam przez nią. Ale umiejętność przeciwną

znam też bardzo dobrze. Ja myślę o tej, która się od miłości wywodzi. Ja kocham prawdę i piękno, i prostotę, i co jeszcze kochaniu bliskie. Tylko że mało kto się nadaje na przedmiot tej umiejętności. A tamtych, którzy podpadają pod umiejętność przeciwną i raczej nienawiść budzą, chodzą dziesiątki tysięcy. Więc może być, że jużem się w tej jednej umiejętności zaniedbał i zapomniałem, com kiedyś umiał, a tę drugą uprawiam bardzo przenikliwie.

FILOZOFIA: Nie należało. Do jednego należy — jak to mówią — i to, i to. Więc nie rozdzielaj tych dwóch umiejętności. To jest jedna i ta sama sztuka, a tylko się wydaje, że to dwie.

LUKIAN: To ty lepiej wiesz, Filozofio. A moja rzecz złych nienawidzić, a dobrych chwalić i kochać.

FILOZOFIA: No proszę. Już jesteśmy, gdzie trzeba. Tutaj gdzieś w przedsionku Ateny Polias będziemy odbywali sąd. Kapłanko, porozstawiaj dla nas ławki. A my się tymczasem pokłonimy bogini.

LUKIAN: Poliado! Przybądź mi ku pomocy w walce z blagierami! Wspomnij, ile fałszywych przysiąg słyszysz z ich ust codziennie. I co oni wyrabiają, ty jedna widzisz, bo ty patrzysz z góry na wszystko. Oto pora ich odeprzeć. A jeżelibyś widziała, że ze mną źle, to choćby i więcej było czarnych gałek, ty dołóż swoją i ocal mnie.

FILOZOFIA: No dobrze. Więc my zasiądziemy razem z wami, żeby słuchać mów. Wy kogoś spośród was wszystkich wybierzcie, który się wyda najlepszym oskarżycielem, ułóżcie sobie oskarżenie i odpierajcie zarzuty. Wszyscy razem mówić nie mogą. A ty, Weredyku, będziesz mówił swoją obronę potem.

CHRYSIPPOS: Któż by się z nas wszystkich lepiej na mowę tutaj nadawał od ciebie, Platonie! Bo wzniosłość myśli przedziwną i piękny dźwięk słowa rdzennie attycki, i urok, który pociąga i bierze, i inteligencję, i ścisłość, i to wprowadzanie dowodów gdzie i kiedy potrzeba — to wszystko masz w wielkiej obfitości. Więc podejmij się być pierwszym mówcą i w imieniu wszystkich powiedz, co potrzeba. Przypomnij sobie to wszystko i zbierz razem, coś powiedział do Gorgiasza albo do Polosa, do Hippiasza albo Prodikosa. Ten tutaj jest gorszy. Dosyp też odrobinę ironii i zadawaj te figlarne pytania jedno po drugim, a jeżeli chcesz, to i to gdzieś wsadź, że wielki na niebie Dzeus, pędząc na wozie skrzydlatym, oburzałby się, gdyby ten tutaj kary nie poniósł.

PLATON: Za nic w świecie. My wybierzemy kogoś gwałtowniejszego. Tego Diogenesa albo Antisthenesa, albo Kratesa, albo i ciebie, Chrysiptie. W tej chwili nie chodzi o piękność ani o talent pisarski; tu trzeba jakiegoś wygi, obytego w sądach. Przecież ten Weredyk to adwokat.

DIOGENES: Więc ja go będę oskarżał. Ja myślę, że nie będzie trzeba tracić zbyt wielu słów. Zresztą ja jestem obrażony bardziej niż inni — niedawno obwoływał mnie całego za dwa obole.

PLATON: Filozofio! Diogenes powie mowę w imieniu wszystkich. A pamiętaj, zacny druhu, żebyś nie tylko własną sprawę reprezentował w oskarżeniu, ale myślał o wszystkich. Więc jeżeli my się w czymś tam różnimy jeden od drugiego w pismach, ty tego nie rozwijaj i nie mów teraz, który z nas jest bliższy prawdy, tylko oburzaj się w ogólności w obronie filozofii samej, którą on zuchwale poniewiera w swoich pismach i robi jej złą opinię, a programy życiowe, którymi się różnimy, zostaw na boku. Walcz w obronie tego, co nam wszystkim wspólne. Widzisz; ciebie jednego postawiliśmy na czele i teraz z tobą upada i stoi sprawa nas wszystkich. Albo ją uznają za poważną w najwyższym stopniu, albo uwierzą, że jest taka, jak on ją odmalował.

DIOGENES: Bądźcie spokojni. Niczego nie pomnę. Będę mówił w imieniu wszystkich. Choćby się Filozofia pod wpływem jego słów rozczuliła — ona jest cicha i łagodna z natury — i chciała-  
by go puścić wolno, ja swoje zrobią: ja mu pokażę, że my nie darmo kije z sobą nosimy.

FILOZOFIA: To w żadnym razie! Raczej słowem — to jest najlepsze — niż kijem! Więc nie zwlekaj. Już nalana woda i sąd spogląda na ciebie.

LUKIAN: Filozofio! Niech inni siadają i głosują z wami, a Diogenes sam niech oskarża.

FILOZOFIA: A nie boisz się, żeby cię nie przegłosowali?

LUKIAN: Wcale nie. Chcę się utrzymać przeciw większości.

FILOZOFIA: To odważnie z twojej strony. Więc siadajcie!

A ty, Diogenesie, mów!

DIOGENES: Jakimi ludźmi byliśmy w życiu, to ty, Filozofio, wiesz bardzo dokładnie i nie trzeba na to słów tracić. Bo nie chcę mówić o sobie samym, ale ten tutaj Pythagoras i Platon, i Aristoteles, i Chrysiptos, i inni — któż tego nie wie, ile oni piękna w życie wnieśli? A jak nas, takich ludzi — ten arcyłotr zuchwale skrzywdził i sponiewierał, to już powiem. Bo będąc jakimś tam

mówcą, jak powiada, porzucił sale sądowe i triumfy na tamtym polu, a cały swój talent i wyrobienie pisarskie przeciwko nam obrócił i bezustannie nas szarpie, nazywa nas szarlatanami i oszustami i wpływa na szerokie koła w tym kierunku, żeby się z nas śmiały, gardziły nami i miały nas za nic.

Co więcej, wyrobił już w nich niechęć do nas osobistą i niechęć do ciebie, Filozofio, mówiąc, że to brednie i bzdury, co od ciebie pochodzi, i najpoważniejsze zasady, w których nas wychowałeś, on rozpowiada na kpiny. Za czym widzowie jego oklaskują i chwałą, a nas poniewierają. Taka już jest natura szerokich kół: cieszą się, kiedy ktoś z kogoś szydzi i kogoś beszta, a najwięcej, kiedy się ktoś natrzęsa z tego, co się wydaje najpoważniejsze. Tak zresztą i dawniej, kiedy Aristofanes i Eupolis tego tu Sokratesa na śmiech wyprowadzali na scenę i jakieś niesamowite komedie z nim wyprawiali. Ale tamci pozwalali sobie na to w stosunku do jednego człowieka i to w święto Dionysiosa. To było dozwolone i te prześmiewki uchodziły za składnik święta. Może się bawił tym i bóg — on przecież lubi się pośmiać.

Ale ten co najlepszych zwołał — od dawna nad tym myślał i przygotowywał się — i jakimiś tam bluźnierstwami grubą książkę zapisał i wielkim głosem obgaduje Platona, Pythagorasa, Aristotelesa, tamtego Chrysippa, mnie i w ogóle wszystkich, choć ani święto nie zachodzi, ani myśmy mu samemu nic złego nie zrobili. Bo można by mu to do pewnego stopnia wybaczyć, gdyby to zrobił w obronie własnej, a nie zaczynał sam. A najgorsze to, że postępując w ten sposób, podszywa się pod twoje imię, Filozofio, i przyswoiwszy sobie chytrze Dialog, który jest przecież nasz, posługuje się tą bronią sceniczną przeciw nam. I jeszcze na Menippa<sup>1</sup> wpłynął i pozyskał go sobie. To nasz przyjaciel, a często razem z nim odgrywa komedie. Jego też jednego tutaj nie ma; on nie wnosi oskarżenia razem z nami; zdradził wspólną sprawę.

Za to wszystko godzi się, żeby poniósł karę. Bo co by jeszcze mógł powiedzieć na swoją obronę on, który najpoważniejsze rzeczy szarpał i nicował przed tyloma świadkami? To się im też przyda, jeśli by zobaczyli, że on poniósł karę. Aby już nikt inny też nie pogardzał filozofią. Bo gdybyśmy siedzieli cicho i znosili krzywdy — or by to naturalnie uważał nie za objaw umiarkowania, ale za oznakę tchórzostwa i naiwności. A już to, co na końcu — któż by to znieść potrafił? On nas, niby niewolników, na targ wyprowadził, woźnego nad nami postawił i odprzedawał, jak

słyszę. Jednych za wysoką cenę, drugich za minę attycką, a mnie — ten łajdak ostatni — za dwa obole. Obecni śmieli się. Za to przyszliśmy tu z podziemia oburzeni i wierzymy, że ty pomścisz naszą, tak niesłychanie haniebną krzywdę.

ZMARTWYCHWSTALI: Brawo! Diogenesie. W imieniu wszystkich powiedziałeś pięknie wszystko, co należało.

FILOZOFIA: Zaprzeście pochwał! Nastaw no klepsydrę dla obrony. Weredyku, mów już ty z kolei. Dla ciebie teraz zegar nastawiony. Więc nie zwlekaj!

WEREDYK: Filozofio. Nie wszystkie zarzuty podniósł przeciwko mnie Diogenes. Większą część i to co cięższych — nie wiem, co mu się stało — pominął. A ja tak bardzo jestem daleki od tego, żeby się swoich słów zapierać albo się starać jakoś je osłaniać, że jeśli albo on niektóre z nich przemilczał, albo ja nie zdążyłem ich przedtem wypowiedzieć, mam zamiar teraz je dołożyć. W ten sposób dowiesz się, kogo ja na targu sprzedawałem i o których ludziach źle mówiłem nazywając ich blagierami i szarlatanami. A proszę, uważajcie u mnie tylko na to, czy będę o nich prawdę mówił. I jeżeli w moich słowach dojrzycie jakieś ślady bluźnierstwa albo jakieś akcenty twarde i szorstkie, to myślę, że sprawiedliwiej będzie obwiniać o to nie mnie, który się bronię przed Sądem, ale tych, którzy właśnie tak postępują.

Bo ja, skoro tylko zdałem sobie sprawę z tego, na ile przykrości musi człowiek narażać się w zawodzie adwokackim, mieć do czynienia z oszustwem i z kłamstwem, i z bezczelnością i słuchać krzyków, i przepychać się, i znoić tysiące innych nieprzyjemności, uciekłem od tego, jak się można było spodziewać, i zacząłem się tobą zajmować, Filozofio. Jakbym spośród burzy i nawałności morskiej do cichego portu zapłynął, chciałem już resztę życia pod twoją ochroną spędzić.

Więc skorom tylko nieco głębiej zajrzał w wasze pisma i sprawy, zacząłem ciebie — nie mogło być inaczej — i tych tu wszystkich podziwiać jako prawodawców życia najlepszego, którzy rękę podają każdemu, kto się do nich garnie, i dają rady bardzo piękne i pożyteczne, jeźliby się ich ktoś ściśle trzymał i nie prześlizgiwał się, i nie potykał, ale miał nieustannie przed oczyma wzory, któreście stworzyli do naśladowania, i wedle nich nastrojał i regulował swoje życie; co, Dzeus mi świadkiem, nawet, pośród was mało kto robi.

I zobaczyłem wielu, których nie ożywiała żadna miłość filo-

zofii, tylko w nich grała próżność zawodowa, więc jeżeli chodzi o te rzeczy łatwe i popularne, które każdy może bez trudności naśladować, oni bardzo żywo przypominali dzielnych ludzi — ja mam na myśli twarz i chód, i ubranie. Natomiast ich życie i postępowanie sprzeczało się z ich wyglądem — oni postępowali wprost przeciwnie niż wy i psuli opinię całej profesji. To mnie zaczęło oburzać i tak mi się ta sprawa przedstawiała, jakby jakiś aktor w tragedii sam był wąły i zniewieściały, a grał Achilleusa albo Tezeusa, albo nawet Heraklesa, ani kroku, ani głosu nie mając bohaterskiego, tylko by gędziolił i szczebiotał pod tą ogromną maską. Takiego by ani Helena, ani Poliksena nie zniosły, bo byłby ponad miarę do nich podobny, a cóż dopiero Herakles, Zwycięzca! Ten, myślę, od razu by takiego położył, przetrąciwszy maczugą i aktora, i maskę za to, że mu aktor tak haniebnie nada! rysy niemeńskie.

Kiedym widział, że oni takie rzeczy z wami wyrabiają, nie mogłem spokojnie patrzeć na to haniebne aktorstwo: przecież te mały ośmielały się nakładać maski bohaterów albo udawać tego osła w Kumach, który się w lwią skórę ubrał i uważał, że jest lwem, więc dał się wobec Kumejczyków, którzy o tym nie wiedzieli, straszył ich i fukał, aż w nim ktoś obcy i lwa, i osła dojrzał, kijem go obił i przepędził.

A najstraszniejsze, Filozofio, wydało mi się to: kiedy ludzie widzieli, że któryś z nich robi źle, zachowuje się nieprzyzwoicie, dopuszcza się występków, wtedy nie było takiego, który by winy nie zwał na filozofię samą, a więc zaraz na Chrysippa albo na Platona, albo Pythagorasa, albo kogokolwiek, kogo sobie za patrona obrał tamten zbrodniarz, który jego słowa naśladował. Ludzie patrzyli na jego złe życie i stąd wnioskowali najgorzej o was, którzyście dawno zmarli — przecież nie zestawiali go z wami żywymi — was nie było dawno — a jego widzieli wszyscy i widzieli jasno, że się prowadzi źle i niepoważnie, więc razem z nim brano zaocznie i was i razem z nim was wciągano na tę samą czarną listę. Widząc to, nie mogłem wytrzymać i zacząłem się rzucać na nich wiedząc, że to nie wy. A wy, zamiast mnie za to pochwalić, ciągniecie mnie przed sąd. A przecież, gdybym widział nawet kogoś z wtajemniczonych (w Eleusis), jak rozgaduje tajemnice dwóch bogiń albo, tańcząc publicznie, na śmiech je wystawia, i wtedy bym się oburzał i uderzył na niego — czy wy mi to będziecie brali za złe? A nie za słuszne? Przecież i sędziowie

na konkursach dramatycznych zwykli skazywać na chłostę takiego aktora, który się przebiera za Atenę albo za Posejdona, albo za Dzeusa i nie odgrywa ich pięknie ani tak, jak się to bogom należy. Wtedy się na nich bogowie nie gniewają, że kazali woźnym obić tego, który maskę boga nosił i postać jego przybrał — przeciwnie: bogowie się z pewnością cieszą — tak myślę — kiedy się takiego bije. Bo źle zagrać jakiegoś tam służącego albo posłańca — to małe przewinienie, ale Dzeusa albo Heraklesa pokazywać ludziom na widowni w sposób nieprzystojny — to jest wstrętne i haniebne.

A najgłupsze ze wszystkiego to, że słowa wasze wielu z nich umie doskonale, bo oni je tylko na to czytają i wyuczają się ich na pamięć, żeby postępować wprost przeciwnie. Tak żyją. Wszystko to, co mówią: że na przykład pieniędzmi należy gardzić i sławą, a tylko to, co piękne, uważać za dobro i nie popadać w gniew, i na wielkich tego świata patrzeć z góry, i rozmawiać z nimi jak z równymi — to wszystko jest piękne, na bogów — i mądre, i podziwu godne nadzwyczaj — doprawdy. Oni tego właśnie uczą za pieniądze, ale na bogacza patrzy keždy jak na tęczę i na pieniądze chciwy pysk rozdziawia — do gniewu skłonni bardziej niżli psy, a tchórze z nich gorsze od zajęcy; schlebiają sprytniej niż małpy, bardziej rozpustni niż osły i bardziej drapieżni niż łasice, i kłótlivi więcej niż koguty. Toteż śmiać się z nich trzeba, kiedy się cisną i przepychają pod drzwiami ludzi bogatych i zasiadają w ścisku na bankietach, i tam niesmaczne panegiryki wygłaszają. I objadają się ponad wszelką przyzwoitą miarę, a robią przy tym kwaśne miny i przy kielichu filozofują ponuro i zgrzytliwie, a wina mocnego nie znoszą. Ludzie stojący z boku, którzy z nimi piją, śmieją się oczywiście i plują na filozofię, jeśli ona takie śmiecie hoduje.

A największa hańba to, że każdy z nich mówi, iż niczego nie potrzebuje, i krzyczy, że sam jeden tylko mędrzec jest bogaty, a niedługo potem przychodzi i napiera się pieniędzy, i oburza się, jeżeli mu nie dać. To zupełnie tak, jakby ktoś ubrany za króla, z tiarą na głowie i z koroną, i z innymi oznakami godności królewskiej, zebrał u kogoś biedniejszego. Kiedy jeden z nich chce coś dostać, wtedy wiele się mówi o tym, jak to trzeba się dzielić z drugimi i jak obojętną rzeczą jest bogactwo, bo cóż tam: czymże się różni złoto i srebro od kamyczków na brzegu morskim? A jeżeli ktoś od nich potrzebuje pomocy i przyjdzie jakiś stary znajomy

albo przyjaciel i poprosi o drobiazg w stosunku do dużego majątku — wtedy milczenie i zakłopotanie, i żadnego zrozumienia i zaczynają śpiewać wprost przeciwnie niż przedtem.

A te liczne słowa o przyjaźni i ta dzielność, i to piękno — nie wiadomo, gdzie się to wszystko wtedy podziewa i odlatuje — to są rzeczywiście u nich „lotne słowa”, które w ich rozmowach co dzień daremnie z cieniami wojują.

Aż do tej chwili każdy z nich był przyjacielem, pokaż się srebro albo złoto nie znalazło w środku. A niech no ktoś tylko obola pokaże, zaraz pokój zerwany i już nie było żadnych libacyj i żadnych uroczystych zapewnień, wszystko już wymazane z ksiąg i dzielność poszła sobie precz. Zupełnie jak psy. Kiedy ktoś pomiędzy nie kość rzuci, zaraz wszystkie skaczą i zaczynają się gryźć wzajemnie i szczekają na tego, który pierwszy kość porwał.

Opowiadają też, że jeden król egipski wyuczył małpy tańca wojennego i te zwierzęta — one doskonale naśladowują zachowania się ludzkie — wyuczyły się bardzo prędko i tańczyły w purpurowych płaszczkach i z maskami. I długi czas dobrze szło to widowisko, aż jakiś figlarz spośród widzów rzucił im na środek orzechy, które miał w zanadrzu. Małpy to zobaczyły, zapomniały o tańcu i stały się tym, czym były: małpami, zamiast tancerzy. Pomięły maski i podarły stroje na sobie, i zaczęły się bić o owoce. Rozbił się cały zespół tańca wojennego — na śmiech dla teatru. Tak i oni robią. Ja o takich źle mówiłem i nigdy nie przestanę ich zwalczać i obśmiewać. A jeżeli o was chodzi i o tych, którzy z wami blisko, bo są i tacy ludzie, którzy filozofię kochają gorąco i trwają przy waszych zasadach — to przecież nie oszałeję do tego stopnia, żebym jakieś bluźniercze słowo na nich powiedział, albo głupie i niechętne. I co bym takiego mógł powiedzieć? Cóż takiego było w waszym życiu? A tych blagierów, których i bogowie nie znoszą, godzi się, uważam, nienawidzić. Bo cóż ty, Pythagorasie, i Platonie, i Chrysippie, i Aristotelesie — co wy macie wspólnego z takimi typami? — cóż powiecie? Jaki wspólny z wami czy pokrewny rys oni objawiają w życiu? Na Dzeusa, jak to mówią, niby to Herakles, a małpa! Czy dlatego, że brody noszą i mówią, że są filozofami, dlatego trzeba ich do was przyrównywać? Ja bym i to potrafił, gdyby ich gra była przekonująca — niechby grali, byle dobrze. Tymczasem prędzej by sęp słowika udał niż oni filozofów.

Powiedziałem w swojej obronie, com miał do powiedzenia,



a ty, Prawdo, daj świadectwo wobec nich wszystkich, czy to jest prawda.

FILOZOFIA: Odstąp, Weredyku, jeszcze dalej. A my co zrobimy? Jakże myślicie, jak mówił ten człowiek?

PRAWDA: Ja, Filozofio, kiedy on mówił, byłabym się chciała zapaść pod ziemię. Tak prawdziwe było każde słowo. Słuchając poznawałam każdego z tych, co tak robią i dopasowywałam podczas mowy to do tego, a tamto widziałam, że tamten robi. W ogóle: pokazał tych ludzi wyraźnie jak na rysunku — zupełnie podobni; nie tylko zewnętrzne podobieństwo uchwycił, ale same dusze najdokładniej odrysował.

ROZWAGA: I ja się też bardzo rumieniłam, o Prawdo!

FILOZOFIA: A wy co mówicie?

ZMARTWYCHWSTALI: No, cóż innego? Nic, tylko zwolnić go od zarzutów i zapisać sobie, że to nasz przyjaciel i dobrodziej. My po prostu tak jak mieszkańcy Ilionu: wzbudziliśmy sobie w nim tragika swojego rodzaju, aby opiewał nieszczęścia Frygijczyków. Więc niech opiewa, a tamtych bezbożników niech osławia na scenie tragedii.

DIOGENES: Ja nawet i sam, Filozofio, bardzo chwalebę tego człowieka i cofam zarzuty, i biorę go sobie za przyjaciela, bo to jest tęgi człowiek.

FILOZOFIA: Bravo! Weredyku. Zwalniamy cię od odpowiedzialności. Utrzymałeś się przez te wszystkie postacie tutaj. I na przyszłość wiedz, że jesteś nasz.

WEREDYK: Modliłem się do pierwszej. Ale myślę to zrobić uroczyście. Bo to poważna sprawa.

Niko czcigodna, Ty żywot mój

W opiece miej

I zawsze wieńcz moje czoło!

DZIELNOŚĆ: Nieprawdaż, zacznijmy już drugą kolejkę i zawezwijmy przed sąd tamtych, aby karę ponieśli za to, że nas obrażają. A oskarżać będzie Weredyk każdego.

WEREDYK: Słusznie mówisz, Cnoto! Więc ty, chłopaku, Syllogizmie, nachyl się w stronę miasta i zwołaj filozofów!

SYLLOGIZM: Słuchajcie no, cicho tam! Filozofowie, przychodźcie na Akropolis, bronić się przed oczami Dzielności i Filozofii, i Sprawiedliwości!

WEREDYK: Widzisz? Mało ich się schodzi — zrozumieli obwieszczenie. Zresztą boją się Sprawiedliwości. A wielu z nich

nawet nie ma czasu — kręcą się koło ludzi bogatych. Jeżeli chcesz, żeby przyszli wszyscy, to tak wołaj, Syllogizmie.

FILOZOFIA: Nic podobnego — to ty, Weredyku, wołaj, jak uważasz.

WEREDYK: To nic trudnego. Słuchajcie no! Cicho tam I Ktokolwiek się podaje za filozofa i ktokolwiek uważa, że ten tytuł do niego pasuje, niech przyjdzie na Akropolis do podziału. Każdy dostanie dwie miny i placek sezamowy przy tym. A kto się popi-sze długą brodą do tego, to jeszcze i marmeladę z suszonych fig w dodatku. Niech żaden nie przyprowadza ani Rozwagi, ani Sprawiedliwości, ani Wstrzemięźliwości. I wszystkiego pięć syllo-gizmów. Bo bez tego nie można być mądrym.

Leżą tutaj na środku dwa złota szczerego talenty. Weźmie je ten, który w kłótni każdego zaćmić potrafi .

Hoho! Jaki ścisk u wejścia! Jak tylko dwie miny posłyszeli. Od Propylejów jedni, od świątyni Asklepiosa drudzy, a od Skały Aresa jeszcze więcej. Niektórzy od grobu Talosa, tamci od świątyni Dioskurów, po drabinach z hałasem i gromadami leżą jak roje pszczół. Już lak i za Homerem powiem; bo i stąd ich dużo, i stamtąd:

Mnóstwo ich; tyle, co liści i kwiatów na drzewach na wiosnę.

Pełna będzie Akropolis za chwilę. Z hałasem zasiadają i gdzie tylko spojrzeć, wszędzie torba, broda, pochlebstwo, bezczelność, laska, łakomstwo, syllogizm, chciwość. A garstki tych, którzy przyszli na tamto pierwsze obwieszczenie, gdzieś nie widać, nie zwracają uwagi. Wmieszali się w tłum i giną pośród innych figur tak bardzo podobnych do siebie. I to właśnie jest najgorsze, Filozofio, i to mógłby ktoś w tobie najbardziej ganić, że nawet nie nadajesz im piętna ani jakiegś odznaki. Przecież łatwiej rozpoznać tych szarlatanów niż zajmujących się filozofią naprawdę.

FILOZOFIA: Będzie i to niezadługo, ale musimy ich już przyjąć.

PLATONIK: Nas, platoników, trzeba naprzód przyjąć!

PYTHAGOREJCZYK: Nie! Tylko nas, pythagorejczyków! Przecież Pythagoras był pierwej.

STOIK: Brednie! My jesteśmy lepsi. My, od Portyku.

PERYPATETYK: Ależ nie. W rzeczy samej pierwsi jesteśmy chyba my — od Krużganku.

EPIKUREJCZYK: Nam, epikurejczykom, dawajcie placki i marmeladki. A na te miny poczekamy, choćbyśmy je mieli

ostatni wziąć.

AKADEMIK: Gdzie są te dwa talenty? Weźmiemy je my, akademicy, bo lubujemy się w kwestiach spornych bardziej niż inni.

STOIK: Ale nie bardziej niż my, stoicy. My tutaj też jesteśmy.

FILOZOFIA: No, dość tych sporów! A wy, cynicy, nie pchajcie się i nie bijcie kijami. Po coś innego was zaproszono. Teraz ja, Filozofia i ta tutaj Dzielność, i Prawda będziemy sądziły, którzy z was zajmują się filozofią jak należy. I co do których się pokaże, że żyją według naszych zasad, ci będą szczęśliwi; uzna się ich za najlepszych. A tych szarlatanów, którzy wcale do nas nie należą, tych złych potraktujemy źle, aby nie próbowali iść w zawody z tymi, których nie dorastają, bo to jest błaga. Cóż to? Uciekacie? Na Dzeusa! Nawet po urwiskach wielu skacze. I już pusta Akropolis, oprócz; tych kilku, którzy pozostali, bo nie boją się sądu.

Służba, podnieście tę torbę, którą cynik odrzucił podczas odwrotu! Daj, zobaczę, co też w niej jest. Z pewnością ziarna słonecznika albo książka, albo, chleby własnej roboty?

WEREDYK: Nie? tu jest złoto i perfuma, i lusterko, i kości do gry.

FILOZOFIA: Brawo, dzielna duszo! Takieś miał zapasy na drogę ćwiczeń duchowych i to mając w ręku uważałeś za właściwe besztać wszystkich i wychowywać innych?

WEREDYK: Już oni tacy są. Ale musimy się zastanowić, w jaki by też sposób położyć koniec nieporozumieniom i żeby każdy mógł rozpoznać pośród nich tych dobrych i tych, którzy inne życie prowadzą. Więc ty, Prawdo, wymyśl coś — przecież to w twoim interesie — aby nie panowało kłamstwo i żebyś przez Niewiedzę nie przeoczała tych lichych typów, które tylko udają dzielnych ludzi.

PRAWDA: W tym celu, jeżeli tak myślisz, Filozofio, zrobimy z pomocą Weredyka rzecz taką. On wygląda na porządnego człowieka i widać, że nam jest życzliwy i ciebie najwięcej podziwia. Więc niech weźmie z sobą Proberza i niech spotyka tych wszystkich, którzy się podają za filozofów. I teraz, jeżeli znajdzie jakiegoś prawdziwego filozofa, niech mu włoży wieniec oliwny na głowę i niech go zaprosi do ratusza, a jeżeli natrafi na jakiś typ zakazany, który udaje filozofa — a takich jest wielu — to niech mu pelerynę obsunie naokoło i niech mu brodę obetnie przy skórze, takim nożem do strzyżenia kozłów, a potem niech mu na czole wyciśnie albo wypali znaki między brwiami. Na tłoku pieczęci

niech będzie lis albo małpa.

FILOZOFIA: Brawo, Prawdo! A probierz Weredyka niechaj będzie taki, jak to u orłów opowiadają, że ma istnieć. Tylko, na Dzeusa, nie żeby oni też patrzyli w światło i wedle tego ich oceniać. To nie! Połóż tylko przed każdym złoto, sławę i rozkosz. I jak zobaczysz, że któryś patrzy na to z góry i wcale go ten widok nie ciągnie, ten niech dostanie wieniec oliwny na czoło, a który będzie wciąż na to patrzył i ręce do złota wyciągał, takiego odprowadzić i napiętnować ostrzygłszy mu naprzód brodę.

WEREDYK: Stanie się zadość twojej woli, Filozofio. Będziesz zaraz widziała u wielu z nich małpę albo lisa na czole, a niewielu zobaczysz w wieńcach też. Jeżeli chcecie, to i tutaj wam kilku sprowadzę, na Dzeusa!

FILOZOFIA: Jak mówisz? Sprowadzisz tych, co uciekli?

WEREDYK: O tak! Jeżeli tylko kapłanka zechce mi tylko na chwilę pożyczyć tamtego sznurka i haczyka, które tu u stóp bogini złożył rybak z Pireusu.

KAPŁANKA: Proszą cię, weź. I trzcinę równocześnie, abyś wszystko miał.

WEREDYK: Nieprawdaż, kapłanko, jeszcze i fig suszonych dostań skądś i daj mi troszkę złota.

KAPŁANKA: Weź.

FILOZOFIA: Co ten człowiek zamierza zrobić?

KAPŁANKA: Przywiązał do haczyka figę i złoto na przynętę, siadł na szczycie muru i spuścił wędkę do miasta.

FILOZOFIA: Co ty robisz, Weredyku? Czy ty chcesz kamienie spod Propylejów łowić?

WEREDYK: Cicho, Filozofio! Poczekaj na wynik połowu. A ty, Poajejdonie Łowco i ty Amfitryto miła, napędź mi dużo ryb! Widzę, już jakiegoś żarłacza ogromnego — choć to raczej złotook.

PROBIERZ: Nie — to rekin. Zbliży się do haka z otwartą paszczą. Zwęszył złoto. Już jest blisko. Dotknął. Już go mamy. Wyciągajmy!

WEREDYK: I ty, Probierzu, chwyć ze mną za sznurek. Już jest na górze. Daj no, zobaczę, coś ty za jeden, rybko najlepsza. Och, to pies. Złapałeś się, kiedyś tam węszył pomiędzy skałami. Myślałeś, że się tam schowasz i nie będzie cię widać? Teraz cię wszyscy będą oglądali, kiedy się ciebie powiesi za skrzela. Wyjmijmy mu przynętę i ten haczyk. Hak już pusty. Figa jeszcze się trzyma, a złoto już w brzuchu.

DIOGENES: Na Dzeusa, niech odda! Żebyśmy i innych mieli czym zwabiać.

WEREDYK: Dobrze tak. Więc co powiesz, Diogenesie? Znasz go? Wiesz, kto to jest? Czy ten człowiek ma z tobą coś wspólnego?

DIOGENES: Nic w ogóle.

WEREDYK: Więc cóż? Ile on wart, trzeba powiedzieć? Ja go niedawno oceniłem na dwa obole.

DIOGENES: To za dużoś powiedział. On przecież jest niejadalny i obrzydliwy, i twardy, i nic niewart. Spuść go na łeb ze skały. A ty spuść hak i drugiego wyciągnij. A tylko na to uważaj, Weredyku, żeby ci się trzcina nie zgięła i nie złamała.

WEREDYK: Bądź spokojny, Diogenesie, To lekkie wszystko; lżejsi i zwinniejsi niż sardynki.

DIOGENES: Na Dzeusa, niedorośle to zupełnie. Ale wyciągaj jednak.

WEREDYK: Patrzajcie no! Co to za jeden, jakiś inny i płaski. Jakby ryba na pół rozcięta; zbliża się jakby flądra jakaś, pysk rozdziawił do haka. Połknął, trzyma się, wyciągnąć go!

DIOGENES: Co to za jeden?

PROBIERZ: Mówi, że platonik<sup>1</sup>.

PLATON: I ty też, gałganie, idziesz na złoto?

WEREDYK: No - co powiesz, Platonie? Co mamy z nim zrobić?

PLATON: Z tej samej skały; i tego też!

DIOGENES: Innego brać.

WEREDYK: Tak jest. Je tu widzę, że podchodzi jakiś bardzo piękny okaz. Tak się przynajmniej może tam w głębi wydawać. Jakie ma różne kolory. I jakieś wstążki na grzbiecie poślacane. Widzisz, Probiezu! To jest ten, co to udaje Aristotelesa. Podszedł, potem znowu odpłynął. Rozgląda się uważnie. Znowu wrócił, rozdziawił pysk, chwyta. Dawaj go na górę!

ARISTOTELES: Weredyku, nie pytaj mnie o niego. Ja go nie znam, nie wiem, kto to jest.

WEREDYK: Nieprawdaż, Aristotelesie? Więc i tego ze skały!

Ale popatrz no; Ja tam widzę dużo ryb jednego koloru; cierniste to i nastroszone, widać i kolczaste — ani do ręki wziąć. Gorzej niż jeżowce. Trzeba by na nich sieci. A tu nie ma. Wystarczy, jeżeli się uda choćby jednego z tego stada wyciągnąć na górę. Najśmielszy przyjdzie do haka.

PROBIERZ: Spuść hak, jeżeli chcesz. Ale naprzód dobrze dru-

tem okręć sznurek, aby go zębami nie przegryzł, jak połknie złoto.

WEREDYK: Spuściłem. A ty, Posejdonie, przyśpiesz połów. Hoho! Biją się o przynętę. Wszyscy razem obgryzają tę figę naokoło. Inni przyssali się do złota. Dobrze! Nadział się jakiś bardzo silny. Daj no, zobaczę, do którego ty się przyznajesz patrona. Chociaż ja śmieszny jestem, kiedy rybę zmuszam, żeby gadała. Oni przecież głosu nie mają. Więc ty, Probiezu, powiedz, kogo on ma za nauczyciela.

PROBIERZ: Chrysippa, tego tu.

WEREDYK: Rozumiem. Dlatego, że złoto było w imieniu . Więc ty, Chrysippie, na Atenę, powiedz, czy znasz tych ludzi i czyś im zalecał, żeby tak robili?

CHRYSIPPOS: Na Dzeusa, to jest obrażające pytanie, Weredyku, ty przypuszczasz, że tacy ludzie mogą mieć ze mną coś wspólnego?

WEREDYK: Brawo, Chrysippie! Jesteś zacny mąż. A tego tu na łeb razem z innymi! Tym bardziej, że taki kolczasty; żeby sobie nim ktoś gardła nie przekłuł, jak go pokosztuje.

FILOZOFIA: Dość tego połowu, Weredyku; jeszcze ci który z nich, a takich jest dużo, oberwie to złoto i haczyk i pójdzie sobie precz. Potem będziesz musiał za to zapłacić kapłance. Więc chodźmy się przejść. A wam też czas odejść, skądście przyszli abyście nie przekroczyli urlopu. Ty, Weredyku, razem z Probiezem chodźcie lądy i owady pośród nich wszystkich i rozdawajcie wieńce albo piętnujcie, jak powiedziałam.

WEREDYK: Będzie tak, Filozofio. Bądźcie zdrowi, najlepsi! Więc chodźmy na dół, Probiezu, i spełnijmy, co nam nakazano. A dokądby tu naprzód należało pójść? Czy nie do Akademii albo do Portyku?

PROBIERZ: Zaczniemy od Lykeionu.

WEREDYK: Wszystko jedno. Ja tylko to wiem, że dokądkolwiekbyśmy poszli, mało nam będzie potrzeba wieńców, a gorących pieczętek dużo.

**IX.**  
**PIJATYKA**  
**ALBO**  
**LAPITOWIE**

FILON: Lykinosie, mówią, żeście wczoraj mieli urozmaicone zebranie dyskusyjne u Aristajnetą przy kolacji; poruszało się jakieś zagadnienia filozoficzne i zrobił się z tego spór niemały. Jeżeli nie skłamał Charinos, to doszło aż do ran i w końcu zebranie zakończyło się rozlewem krwi.

LYKINOS: Ale skąd, Filonie, Charinos to wiedział? Przecież nie był z nami na kolacji.

FILON: Powiedział, że to słyszał od Dionikosa, lekarza. Dionikos, mam wrażenie, był sam na tej kolacji.

LYKINOS: O tak. Ale nie od początku i sam nie był przy wszystkim. Przyszedł późno, mniej więcej już w połowie bitwy, niedługo przed pierwszymi ranami. Więc dziwię się i nie wiem, czy on mógł opowiedzieć coś jasnego, skoro nie śledził od początku kłótni, która się krwią zakończyła.

FILON: Dlatego też, Lykinosie, i Charinos sam poradził nam przyjść do ciebie, gdybyśmy się chcieli dowiedzieć prawdy i usłyszeć szczegółowo, co się tam działo. Dionikos też mówił, że sam nie był przy wszystkim, ale ty wiesz dokładnie, co zaszło i potrafisz z pamięci powtórzyć przemówienia, bo nie słuchasz takich rzeczy jednym uchem, tylko uważnie. Więc prędko urządź nam ten traktament — nie wyobrażam sobie przyjemniejszego — dla mnie przynajmniej. Tym bardziej, że będziemy się nim cieszyli na trzeźwo, w spokoju i bez rozlewu krwi — żadnych pocisków — czy to się starzy tam popili przy tej uczcie, czy młodzi — i że wino było za mocne, więc i mówili rzeczy najmniej właściwe i robili?

LYKINOS: To raczej było niepoważne, Filonie, a ty chcesz, żeby takie rzeczy wynosić na rynek i opowiadać ze szczegółami, co się działo przy winie i po pijanemu; o tym trzeba się starać zapomnieć i uważać, że wszystko to zrobił bóg, Dionysos — ja nie wiem, czy on komukolwiek daruje, on każdego może wciągnąć kiedyś do swoich misteriów i wstąpić w człowieka przy sposobności. To, widzisz, nie jest w dobrym tonie: wywlekać takie rzeczy i roztasowywać — wypada je zostawić tam na kolacji i pójść

sobie. Poeta mówi: „Nienawidzę człowieka, który ze mną pije, a potem wszystko pamięta”. Dionikos też niesłusznie postąpił, kiedy to wygadał Charinosowi i męty wylał na głowy filozofów. Ja nie — daj mi pokój — ja niczego takiego nigdy bym nie opowiadał.

FILON: To są ceremonie, Lykinosie. W stosunku do mnie bardzo niewłaściwe, ja doskonale wiem, że ty masz większą ochotę mówić niż ja słuchać. I mam wrażenie, że gdybyś nie miał pod ręką chętnych słuchaczy, tobyś do jakiejś kolumny poszedł albo do posągu i tam byś wszystko z przyjemnością jednym ciągiem wysypał. I jeżeli ja się teraz zechcę pożegnać, to nie dasz mi odejść, tylko będę musiał wysłuchać, bo wyjdiesz, będziesz chodził za mną i prosił. Wtedy ja będę z kolei robił ceremonie z tobą. Więc, jeżeli pozwolisz, to pójdziemy sobie, dowiedzieć się o tym od kogoś innego — a ty nie mów nic.

LYKINOS: Nie ma się o co gniewać. Ja opowiem, skoro ci tak na tym zależy, ale żebyś o tym nie opowiadał szeroko!

FILON: Jeżeli ja jeszcze choć odrobinę znam Lykinosa, to ty to sam lepiej zrobisz i pierwszy to opowiesz wszystkim; mnie zgoła nie będzie potrzeba.

Ale to mi powiedz przede wszystkim: to syna, Zenona, Aristajnetos zenił i z tej okazji urządził wam to przyjęcie?

LYKINOS: Nie. On córkę wydawał, Kleantidę, za syna Eukritosa, tego lichwiarza. Ten syn zajmuje się filozofią.

FILON: To bardzo ładny chłopiec, na Dzeusa, młodziasienki jeszcze — chyba nie pora mu się zenić?

LYKINOS: Ale nie miał nikogo odpowiedniejszego pod ręką, mara wrażenie, A ten się wydawał przyzwoity, garnie się do filozofii, a prócz tego to jednak, a Eukritos jest bogaty, więc tego wybrał spośród wszystkich na zięcia.

FILON: To nie jest drobiazg, to, co mówisz, że Eukritos jest bogaty. Ale proszę cię, Lykinosie, kto tam był na kolacji?

LYKINOS: O innych cóż ci będę mówił, a jeżeli chodzi o tych od filozofii i od przemówień — bo o tych, mam wrażenie, chcesz przede wszystkim usłyszeć, to był Zenothemis, starszy pan, ten od Portyku, a z nim Difilos z przydomkiem Labirynt. To jest nauczyciel syna Aristajneteta Zenona. A z tych od Krużganku Kleodertios — znasz tego pyskacza — cięty jest — uczniowie nazywają go mieczem albo żądłem. A był też i epikurejczyk Hermon. Jak tylko wszedł, zaraz na niego zaczęli stoicy patrzeć spode łba, od-



wracali się i widać było, że go nienawidzą, jakby to był jakiś ojco-  
bójca albo człowiek obciążony klątwą.

Tych Aristajnetos zaprosił na przyjęcie jako swoich przyja-  
ciół — żyje z nimi blisko - a razem z nimi gramatyka Histiaijosa  
i mówcę Dionysodora.

Ze strony narzeczonego, Chajreasa, był na przyjęciu Ijon, pla-  
tonik, bo to jego nauczyciel. Bardzo poważnie wyglądał, coś bos-  
kiego ma w postawie i coś bardzo szlachetnego w twarzy. Nazy-  
wają go przeważnie Wzorem, z uwagi na trafność jego sądów.  
Kiedy wszedł, wszyscy się podnieśli na jego przywitanie i wycią-  
gali do niego ręce jak do człowieka lepszej klasy — w ogóle to  
było wejście boga, kiedy się zjawił Ijon — wspaniała osobistość.

Wypadało się już położyć, bo prawie wszyscy już byli obecni,  
więc po prawej stronie od wejścia cały ten szereg kanap zajęły  
kobiety, a nie było ich mało. Pomiędzy nimi panna młoda, zasłonami  
okryta bardzo troskliwie, po obu jej stronach kobiety. Na-  
przeciw drzwi inna grupa - każdy według godności. A naprzeciw  
kobiet pierwszy Eukritos, a potem Aristajnetos. I teraz powstało  
zagadnienie, czy naprzód ma z kolei przyjść Zenothemis, stoik,  
ze względu na podeszły wiek, czy też Hermon, epikurejczyk, jako  
kapłan Dioskurów, należący do rodziny pierwszej w mieście. Ale  
Zenothemis rozciął ten węzeł, bo powiada: „Aristajneto, jeżeli  
mnie ulokujesz na drugim miejscu po tym, żebym go nie nazwał  
jeszcze gorzej, epikurejczyku, to sobie pójdę precz i zostawię ci  
to całe twoje przyjęcie. Równocześnie zawołał swojego służące-  
go i wyglądało na to, że wychodzi. Ale Hermon powiada: „Miej  
sobie pierwsze miejsce, Zenothemisie. Jednakże, jeśli już nie  
z innego powodu, to ci wypadało ustąpić mi dlatego, że przecież  
jestem kapłanem, jeżeli już tak gardzisz Epikurem". A Zenothemis  
powiada: „To mnie bardzo śmieszy, ten kapłan — epikurejczyk".  
To mówiąc położył się, a po nim jednak Hermon, później Kleode-  
mos, perypatetyk, dalej Ijon, po nim pan młody — później ja, koło  
mnie Difilos, niżej jego uczeń Zenon, potem mówca Dionysodoros  
i gramatyk Histiaijos.

FILON: Hoho! Lykinosie! to jakaś akademia pod opieką Muz,  
to zebranie, które opisujesz. Przeważnie sami uczeni. Bardzo to  
chwałę Aristajnetowi, że obchodząc swoje największe święto,  
uważał za właściwe sprosić co najmądrzejszych ludzi przed wszy-  
stkimi innymi; z każdej szkoły co. najwybitniejszych przedstawi-  
cieli wziął — jak kwiaty do wianka — nie: jednych tak, a drugich

nie, tylko wszystkich bez różnicy.

LYKINOS: Tak, mój drogi — to nie jest taki sobie bogacz, jeden z Wielu; on się interesuje kulturą i większą część swego życia z tymi ludźmi spędza.

Więc jedliśmy spokojnie zrazu, a dania były urozmaicone. Tylko myślę, że tego już nie trzeba wyliczać, tych majonezów, i ciast, i sałatek. Wszystkiego było pod dostatkiem. Wtedy Kleodemos nachyla się do Ijona i powiada: „Widzisz tego starszego pana — a miał na myśli Zenothemisa — ja słyszałem - widzisz, jak ten wcina przystawki, a cały płaszcz ma sosem zachlapany i wciąż coś ręką podaje swemu służącemu, który za nim stoi: myśli, że tego drudzy nie widzą, zapomina o tych, co poza nim. Pokaż to i Lykinosowi, aby mógł być świadkiem”. Mnie nie było trzeba, żeby mi to dopiero on pokazywał. O wiele wcześniej sam to widziałem rozglądając się.

W chwili, gdy to Kleodemos powiedział, wpadł do nas kynik Alkidamas — nie zaproszony — z tym znanym żarcikiem na ustach, że „Menelaos przychodzi sam”. Wielu uważało ten jego krok za bezczelność i odrzucali mu cytaty, które się najłatwiej nasuwały. Więc ktoś mruknął: „Oszalałeś, Menelaosie”, a inny „Wcale mu tego nie chwalił Atreusów syn w głębi duszy”, a inni inne trafne docinki stosownie do okoliczności podawali jeden drugiemu pod nosem. Ale głośno odezwać się nikt nie miał odwagi.

Bali się Alkidamasa, „krzyk jego niezrównany” po prostu i żaden pies tak głośno nie szczeka jak on — przez co imponował i wzbudzał wielki strach u wszystkich.

Więc Aristajnetos przywitał go komplementem i poprosił, żeby sobie wziął jakiś fotel i usiadł koło Histiaijosa i Dionysodora. A ten: „Idźże sobie z taką propozycją; to jest babska rzecz i rozpusta: siadać na fotelu albo na taborecie. Tak jak wy na tych miękkich kanapach, omal że nie do góry, brzuchem leży jeden z drugim przy jedzeniu, a purpurę sobie podścielił. Ja mogę jeść nawet stojąco, mogę chodzić po jadalni przez całe zebranie. A gdybym się zmęczył, to na ziemi pelerynę sobie podścielę i będę leżał oparty na łokciu. Tak, jak Heraklesa malują”.

— Proszę bardzo, powiada Aristajnetos; jeżeli ci to więcej odpowiada.

Od tej chwili Alkidamas zaczął chodzić naokoło i pojadać, jak Skytowie, rzucając się to tu to tam po co większe porcje i krążąc razem ze służbą, która obnosiła przystawki. I doprawdy,

nawet i jedząc nie próżnował, tylko rozprawiał równocześnie o dzielności i o podłości charakteru i natrząsał się ze złotego i srebrnego serwisu.

Więc zapytał Aristajnetę, co mają u niego znaczyć takie i takie wielkie kielichy, skoro gliniane miski potrafią służyć tak samo. Kiedy już zaczął być nieznośny, uspokoił go na chwilę Aristainetos skinąwszy na służącego, żeby mu podał ogromny puchar i nalał mocniejszego wina. Zdawało mu się, że miał najlepszy pomysł; nie przeczuwał, jak wielkich nieszczęść przyczyną miał się stać ten puchar.

Alkidamas wziął go i zaraz umilkł; rozwalił się na ziemi i leżał półgoły — tak jak był zagrożił. Łokieć oparł na ziemi, a w prawym ręku miał puchar. Tak jak malarze pokazują Heraklesa w jaskini Kentaura.

Już i pośród innych kielich zaczął też krążyć, więc zaczęły się zdrowia i rozmowy i wniesiono lampy. Wtedy ja patrzę na chłopca, który wino roznosił, a stał przy Kleodemosie — bardzo przystojny chłopczyk — i widzę, że on się uśmiecha — myślę, że trzeba opowiedzieć i drobiazgi, jakie się na przyjęciu wydarzyły, szczególnie, jeżeli zaszło coś w lepszym stylu — więc uważałem bardzo pilnie, czemuby się on tak uśmiechał. Po chwili on przystąpił, żeby odebrać czarę od Kleodemosy, a ten mu uściśnął palec i dał mu — zdaje mi się — dwie drachmy razem z czarą. Chłopak się na to ściskanie palca znowu uśmiechnął, a nie zauważył, zdaje mi się, pieniędzy. Nie wziął ich, więc te dwie drachmy upadły z hałasem na ziemię, a oni obaj zaczerwienili się bardzo wyraźnie. Leżący tuż obok nie wiedzieli, czyje by to były pieniądze, chłopak się zapierał, że ich nie zgubił, a Kleodemos, koło którego ich dźwięk dał się słyszeć, udawał, że ich nie rzucił. Jakoś nie zainteresowano się tym i nie rozpatrywano tego wypadku, bo mało kto go zauważył. Zdawało mi się, że tylko sam Aristainetos, bo niedługo potem wyprawił po cichu chłopca z jadalni, a koło Kleodema kazał stanąć jakiemuś dorosłemu poganiaczowi mułów czy koni; to był chłop silny i całkiem bez wdzięku. Więc to jakoś tak uszło, a byłby z tego wielki wstyd dla Kleodemosa, gdyby się tym wypadkiem było prędzej zajęło całe towarzystwo i gdyby go Aristainetos nie był zaraz zgasił traktując rozsądnie tę przygodę na tle wina.

Więc kynik Alkidamas — bo już był wypił — pyta, jak się nazywa panna młoda. Każe wszystkim milczeć — i wielkim głosem,

patrzając na kobiety, powiada: „Piję w twoje ręce, Kleantido — niech będzie pochwalony Herakles, nasz wódz!” A kiedy się wszyscy na to śmiać zaczęli, on mówi: „Śmieście się, wyrzutki, żem do panny młodej pił w imię naszego boga, Heraklesa! A powinno się wiedzieć, tak jest, dobrze wiedzieć, że jeśli ona nie weźmie ode mnie tego kielicha, to nigdy się jej nie urodzi syn taki jak ja, taki nieustraszony, tak niezależnych przekonań i z taką siłą fizyczną”. Równocześnie obnażył się do połowy ciała. I znowu zaczęło się z tego śmiać towarzystwo. Więc on, oburzony, wstał i zaczął się strasznymi oczyma dziko rozglądać naokoło; widać było, że już się nie uspokoi. I byłby z pewnością kogoś ściągnął kijem, gdyby nie to, że w sam czas wniesiono tort ogromny. On spojrzawszy na to, złagodniał, przestał się gniewać, a zaczął wcinąć chodząc za tortem naokoło.

Większa część towarzystwa już była pod dobrą datą i zebranie zaczęło być hałaśliwe. Bo mówca Dionysodoros zaczął wygłaszać jakieś mowy za i przeciw i dostawał oklaski od służby, która za nim stała. A gramatyk Histiajos, który zaraz za nim leżał, deklamował wiersze, mieszając w jedno Pindara, Hesioda i Anakreonta w ten sposób, że się z tego zrobiła jedna pieśń bardzo zabawna. Przede wszystkim, kiedy, jakby w przeczuciu tego, co miało nastąpić, zacytował, że

*Starły się tarcze nosami*

oraz:

*Wtedy się jęki rozległy i słowa butnych przechwałek —*

Zenothemis wziął od swego służącego jakiś tekst drobno pisany i czytał go sobie głośno.

Kiedy służby roznoszącej potrawy nie było przez chwilę na sali, jak to zwyczajnie, przewidujący Aristajnetos pragnąc, żeby i ten moment nie był bez radości i żeby nie był pusty, zawołał wesołka i kazał mu powiedzieć albo zrobić coś śmiesznego, aby się goście jeszcze lepiej bawili. Więc przyszedł jakiś połamaniec z ogoloną głową — miał tylko parę prostych włosów na ciemieniu. Zaczął tańczyć zginając się we dwoje i wykręcając, aby się jeszcze śmieszniejszy wydawał, rąbał jakieś humorystyczne anapesty z egipskim akcentem i w końcu zaczął celować żartami w poszczególnych gości. Więc inni śmiali się, kiedy którego nabierał. Ale kiedy podobnie i Alkidamasa zaczepił, bo nazwał go pieskiem maltańskim, ten się oburzył, a widać było już od dawna, że z zawzięcią patrzy na powodzenie wesołka, który zaczął być duszą

towarzystwa, więc zrzucił pelerynę i kazał tamtemu stanąć ze sobą do zapasów w boju na kułaki. A jeżeli nie, to mówił, że go obje laską. I tak ten nieborak Satyrion, bo tak się nazywał wesołek — stanął do walki i zaczął się mocować. To było nadzwyczaj miłe widowisko: ten filozof mocujący się z wesołkiem, bijący i bity z kolei. Z gości jedni się wstydzili, drudzy się śmiali, aż Alkidamas obity ustał na siłach; położył go ten człowieczyzna i dostał oklaski. Więc było z nich dużo śmiechu.

Wtedy przyszedł Dionikos, lekarz. Niedługo po tych zapasach. Spóźnił się, bo mówił, że musiał się zająć Polyprepontem, flecistą, który dostał ataku obłąkania. I zabawną rzecz opowiadał. Bo mówi, że przyszedł do niego nie wiedząc, że tamten już ma atak. Więc tamten wstał szybko, zamknął drzwi na klucz, dobył sztyletu, dał mu flety do ręki i kazał mu grać. Kiedy ten nie umiał, tamten bił go paskiem po otwartych dłoniach. Otóż ten, w tak wielkim niebezpieczeństwie, wpadł na taki pomysł. Zaproponował tamtemu zakład o oznaczoną ilość plag, kto lepiej zagra na fletach. I pierwszy grał sam źle. Potem podał tamtemu flety, a wziął od niego pasek i sztylet i wyrzucił je w tej chwili przez okno na środek podwórza. Teraz, już bezpieczniejszy, zaczął się z nim mocować i wołać sąsiadów. Ci wyłamali drzwi i uwolnili go. Pokazywał znaki od uderzeń i jakieś zadrapania na twarzy. Dionikos miał z powodu tego opowiadania powodzenie nie mniejsze niż wesołek. Wcisnął się blisko Histiaijosa i zjadał, co jeszcze zostało, a z pewnością jakiś bóg do nas go sprowadził, bo bardzo się później przydał.

Teraz przyszedł i stanął na środku jadalni jakiś służący i powiedział, że przychodzi od Hetojmoklesa, stoika, z listem. Pan kazał mu ten list odczytać głośno na zebraniu, tak żeby wszyscy słyszeli, i zaraz wracać. Aristajnetos pozwolił, więc ten podszedł do lampy i zaczął czytać.

FILON: To był z pewnością, Lykinosie, panegiryk dla panny młodej albo epitalarnium, jak to nieraz pisują?

LYKINOS: Oczywiście — myśmy też tak myśleli. Ale to nie było nic podobnego. Tam było napisane tak:

„Filozof Hetojmokles Aristajnetowi.

Jaki jest mój stosunek do proszonych kolacyj, o tym może świadczyć całe moje życie. Codziennie narzucają mi się z takimi zaproszeniami ludzie bez porównania bogatsi od ciebie, a jednak nigdy na takie rzeczy nie chodziłem i nie udzielam się znając te

hałasy i tę atmosferę nietrzeźwości, jaka na takich przyjęciach panuje. Do ciebie jednego mam słuszny, jak sądzę, żal, bo przez tak długi czas byłem ci oddany i zawsze do usług gotowy, a tyś nie uważał za właściwe zaliczyć i mnie do grona przyjaciół i ja jeden nie dostąpiłem twego progu, chociaż mieszkam tuż obok. Jest mi to niewymownie przykre — najwięcej ze względu na ciebie, że w ten sposób okazujesz swoją niewdzięczność. Bo dla ranie szczęście nie polega na porcji dzikiej świni albo zająca, albo placka. Ja tych rzeczy mam pod dostatkiem od ludzi, którzy wiedzą, co się komu należy. I dzisiaj też mogłem być na kolacji u mego ucznia Pammenesa — mówią, że kolacja pierwszej klasy — a jednak nie przyjąłem zaproszenia, choć mnie błagał — rezerwowałem się, jak głupi, dla ciebie.

Ty jednak pomijasz moją osobę, a przyjmujesz innych. Naturalnie. Bo jeszcze nie umiesz wyróżnić tego, co lepsze, i nie masz „wyobrażenia uchwytneho”. Ale ja wiem, skąd to na mnie spada. To przez tych twoich znakomitych filozofów: Zenothemisa i Labirynta, którym ja bym potrafił — niech Niebo mojej dumy nie ukarze — od razu gęby pozamykać jednym syllogizmem. Albo niech który z nich powie, co to jest filozofia, albo coś z pierwszych zasad: czym się różni stan przejściowy od stanu trwałego. Żebym już nie wymieniał rzeczy trudniejszych, jak zagadnienie Rogatego, Kupy albo Żniwiarza. Więc proszę, niech oni ci służą, a ja, ponieważ za dobro uważam tylko to, co piękne, łatwo zniosę dys-honor.

Tylko żebyś się później nie próbował uciekać do tej wymówki i nie mówił, żeś zapomniał w tym całym rozgardiaszu i mnóstwie zajęć, bo ja dziś dwa razy z tobą mówiłem; rano koło domu, a później, kiedyś składał ofiarę Dioskurom. To przytaczam na swoją obronę wobec zebranych gości.

A jeżeli ci się zdaje, że mam żal i pretensję z powodu samej kolacji, to przypomnij sobie historię o Ojneusie. Zobaczysz, że Artemida też miała żal i pretensję, że on tylko jej jednej nie wzywał, kiedy innych bogów ofiarą gościł. Homer mówi o tym tak jakoś:

Wyszło mu to z pamięci lub z głowy i głupstwo popełnił .  
A Eurypides:

*Kalydonem zwie się ziemia ta; Peloponezem kraj,  
Po drugiej stronie zaś szczęśliwy biegnie brzeg.*

A Sofokles:

*Olbrzymią swinię na Ojneusa kraj*

*Zesłała Artemida, sławna ze swych strzał.*

Tyle ci tylko uwag przesyłam spośród wielu, abyś się dowiedział, jakiego człowieka zaniedbałeś, a przyjmujesz kolacją Difilosa i wychowanie syna mu oddałeś. Naturalnie, chłopak go lubi, a tamten mu wzajemną sympatią odpłaca. Gdyby mi nie było wstyd mówić o takich rzeczach, to dodałbym jeszcze to i owo, co aiógłbyś sprawdzić u Zopyrosa, który go na lekcje odprowadza. Ale nie trzeba robić zamieszania podczas wesela ani źle mówić o drugich — szczególnie, jeżeli chodzi o rzeczy tak skandaliczne. Chociaż należy się to Difilosowi, który mi już dwóch uczniów sprzątnął, ale o tym już zamilczę służąc filozofii samej.

Wydałem polecenie temu służącemu na wypadek, gdybyś mu dawał jakąś porcję świniny albo sarniny, albo placka sezamowego, aby mi to zaniósł i to miałoby być usprawiedliwieniem za to, żeś mnie na kolację nie zaprosił — żeby tego nie brał. Aby się nie wydawało, że go po to posłałem".

Wiesz, przyjacielu, że podczas czytania tego listu pot mnie oblewał ze wstydu i byłbym się, jak to mówią, rad zapadł pod ziemię, kiedy widział, jak obecni śmieją się przy każdym ustępie, a najwięcej ci, którzy szanowali Hetojmoklesa, bo to przecież człowiek siwy i wygląda bardzo poważnie. Podziwiałem, że taki charakter mógł ujść ich uwagi; bardzo ich w błąd wprowadziła broda i skupiony wyraz twarzy.

Miałem wrażenie, że Aristajnetos nie przez przeoczenie zaniedbał go zaprosić, ale nigdy by się nie był spodziewał, żeby tamten raczył zaproszenie przyjąć i zechciał przyjść na coś takiego. Więc nie chciał nawet próbować.

Otóż, kiedy służący skończył czytać, całe towarzystwo skierowało oczy w stronę Difilosa i Zenona, którzy byli stropieni i blade. Widoczne w ich twarzach zakłopotanie potwierdzało oskarżenie zawarte w liście Hetojmoklesa. Aristajnetos był bardzo roztrzęsiony i zmieszany, ale zapraszał nas jednak, żebyśmy pili, i próbował jakoś załagodzić to, co zaszło. Uśmiechał się przy tym, a służącego odprawił i powiedział, że zajmie się tą sprawą.

Po chwili wstał i Zenon nieznacznie, bo służący, który go odprowadzał na lekcje, dał mu znak, żeby się wyniósł — widocznie ojciec tak kazał.

Otóż Kleodemos już od dawna szukał jakiejś zaczepki, bo chciał się zetrzeć ze stoikami i pękał z niecierpliwości, bo nie miał o co by mógł ze sensem zaczepić. Dopiero list dostarczył mu

okazji, więc powiedział: „Oto, do czego prowadzi ten piękny Chryssippos, i przedziwny Zenon, i Kleanthes. Nic, tylko słówka jakieś mizerne i zapytania, i zewnętrzne pozory filozofów, a poza tym, to same Hetojmoklesy po większej części. I ten list, widzicie jaki uroczysty, a na końcu z Aristajnetą zrobił się Ojneus, a z Hetojmoklesa Artemida. Na Heraklesa! Jakież smak w tym wszystkim i jakie to odpowiednie na weselu!”

„Na Dzeusa”, powiedział Hermon, leżący wyżej od Kleodemos, „on z pewnością usłyszał, że Aristajnetos jakąś świnie sprawiał na przyjęcie, więc uważał, że nie będzie od rzeczy wspomnieć coś o dziku kalydońskim. Na Gościnność, błagam cię, Aristajneto, poślij mu czym prędzej coś z resztek, aby staruszek nie usechł z głodu jak Meleager. Chociaż nic by mu się złego nie stało. Chryssippos uważał, że to są rzeczy obojętne”.

„To Chryssippa wspominacie wy?!” zawołał Zenothemis zbudziwszy się, a krzyczał bardzo głośno. „To według jednego człowieka, który nie jest filozofem jak trzeba, według takiego Hetojmoklesa, szarlatana, wy Kleanthesa mierzycie i Zenona, mędrców prawdziwych? I komu to mówić takie rzeczy? Czy ty, Hermonie, nie podciąłeś loków Dioskurom — dlatego, że były złote? Jeszcze ty za to odpokutujesz, oddadzą cię katu! A ty, Kleodemosie, miałeś stosunek z żoną ucznia, Sostratos, złapali cię na gorącym uczynku i urządzili cię szkaradnie. Więc milczelibyście teraz, kiedy takie rzeczy macie na sumieniu!”

— Ale ja nie najmowałem swojej żony — odparł Kleodemos — tak jak ty i nie brałem w zastaw pieniędzy cudzego ucznia, a potem nie przysięgałem na Atenę Polias, że nie wzięję nie biorą za procent czterech drachm od stu i nie dławia uczniów, jeżeli mi który na czas nie wypłaci honorarium!

— Ale tego się nie wyprzesz — powiedział Zenothemis — żeś dał truciznę Kritonowi na ojca. — I równocześnie, bo właśnie pił w tej chwili, więc, co jeszcze zostało w kielichu, a była tego z połowa, wylał na tamtych. Dostało się Ijonowi też dzięki sąsiedztwu, na które zasługiwał. Więc Hermon zaczął sobie ścierać z głowy mocne wino pochyliwszy się i brał obecnych na świadków swojej poniewierki. A Kleodemos nie miał kielicha w ręku, więc odwrócił się, plunął na Zenothemisa, lewą ręką chwycił go za brodę, a prawą chciał go bić po twarzy, i byłby może starego zabił, gdyby mu Aristajnetos nie powstrzymał ręki, i przelazszy przez Zenothemisa położył się pomiędzy nimi oboma,



aby ich rozdzielić sobą niby murem i żeby byli cicho.

Kiedy się to działo, wtedy mi różne rzeczy, Filonie, przychodziły na myśl. Na przykład ten komunał, że na nic się nie przyda znać różne nauki, jeżeli ktoś życia nie nastroi według tego, co lepsze. Widziałem tych ludzi, którzy w słowach umieli być nadzwyczajni, a postępowanie ich zasługiwało na śmiech. A potem przyszło mi na myśl, czy może to i nie prawda, co ludzie mówią, że wyższe wykształcenie odwodzi od zdrowego rozsądku tych, którzy oczu od książek nie odwracają i od zawartych w nich myśli. Tu było przecież tylu filozofów, a nawet na lekarstwo jednego nie można było między nimi dojrzeć bez zarzutu. Jedni zachowywali się haniebnie, a drudzy mówili rzeczy jeszcze gorsze. Nie mogłem już nawet kłaść tego, co się działo, na karb wina, biorąc pcd uwagę to, co napisał Hetojmokles na głodno i na trzeźwo. Jakoś wszystko się odwróciło na drugą stronę: ludzie bez wykształcenia bawią się przy kolacji przyzwoicie, nie upijają się i nie wyprawiają scen gorszących. Zdawało się, tylko śmieliby się i obmawialiby tych tutaj, przypuszczam, bo podziwiali ich przecież dotąd i o każdym myśleli, że to jest ktoś, wnosząc z wyglądu, a filozofowie wyprawiali gorszące brewerie. I besztali się nawzajem, i opychali, i wrzeszczeli, i brali się do pięści. Przedziwny Alkidamas nawet mocz oddawał na środku nie wstydząc się kobiet. I miałem wrażenie — to byłoby może najlepsze porównanie — że na tej uczcie było zupełnie tak, jak to poeci o Erydzie mówią: nie zaproszono jej na wesele Peleusa, więc rzuciła pomiędzy gości jabłko, z którego się tak wielka wojna pod Ilionem zrobiła. Tak samo — miałem wrażenie — i Hetojmokles swój list na zebranie rzucił niby jabłko i nie mniejsze nieszczęścia wywołał niż te, o których śpiewa Iliada.

Bo nie skończył się spór około Zenothemisa i Kleodema, kiedy się pomiędzy nimi znalazł Aristajnetos. Tylko Kleodemos powiedział: „Na dziś wystarczy, jeżeli się wykaże, że nic nie umiecie — jutro ja się z wami porachuję, jak się należy. Ale teraz mi odpowiedz, Zenothemisie i ty wzorze przyzwoitości, Difilosie, czemu to uważacie, że zdobywanie pieniędzy jest rzeczą obojętną, a o nic więcej nie dbacie, tylko o to jedno, żeby posiadać jak najwięcej. I dlatego trzymacie się zawsze kłamki ludzi bogatych i pożyczacie na gruby procent, i zbijacie procenty do procentów, i wychowujecie za pieniądze. A znowu przyjemności nienawidzicie i rzućcie kamienie w stronę epikurejczyków,

a sami robicie najgorsze rzeczy i znosicie, aby tylko zdobyć przyjemność i oburzacie się, jeżeli się którego z was nie zaprosi na kolację. A jeżeli już was zaprosić, to czemu tyle zjadacie i tyle swoim służącym dajecie?" To mówiąc próbował z ręki wyrwać serwetę, którą trzymał służący Zenothemisa, a pełno w niej było różnorodnego mięsiwa. Chciał ją rozwiązać i wyrzucić to wszystko na ziemię, ale służący nie dał; trzymał mocno.

Na to Hermon: — Doskonale — powiada — Kleodemosie, niech powiedzą, dlaczego tak napadają na przyjemność, a sami uważają, że powinni mieć przyjemności więcej niż ktokolwiek inny.

— To nie — powiada Zenothemis — to ty powiedz, Kleodemie, dlaczego uważasz, że pieniądze nie są rzeczą obojętną.

— Ja nie, tylko ty! — I tak to trwało dość długo, aż Ijon

wychylił się, tak żeby go lepiej było widać, i powiada: — Dajcież pokój! Jeżeli chcecie, to ja wam podam tematy do dyskusji, odpowiednie do dzisiejszej uroczystości. Przestańcie się kłócić; każdy będzie mówił i słuchał — jak się u naszego Platona przeważnie na dyskusjach czas spędzało. — Wszyscy obecni pochwalili ten projekt — najwięcej Aristajnetos i Eukritos; spodziewali się, że się w ten sposób przecież pozbędą tych przykrych scen. Za czym Aristajnetos wrócił na swoje miejsce spodziewając się, że już pokój nastąpi. Równocześnie wniesiono tak zwane danie całkowite. Jeden ptak wypadł na każdego i wieprzowina, i porcja zająca, i ryba smażona, i placki sezamowe, i bakalie. Wolno było to i do domu zabrać.

Otóż nie przed każdym z nas leżał osobny półmisek, tylko przed Aristajnetem i Eukritosem jeden wspólny. Potem z kolei jeden dla Kleodemosa i dla Ijona, po nich dla pana młodego i dla mnie, a dla Difilosa wypadły dwie porcje, bo Zenon był odszedł. Zapamiętaj to sobie, Filonie, bo jest w tym coś ważnego dla ciągu opowiadania.

FILON: Będę sobie pamiętał, oczywiście.

LYKINOS: Otóż Ijon powiada: — Ja pierwszy zaczynam, jeżeli pozwolicie. — I po krótkiej pauzie mówi: — Być może, wypadaloby w takim towarzystwie powiedzieć coś o ideach i o bytach bezcielesnych, i o nieśmiertelności duszy. Ale nie chcę budzić sprzeciwu ze strony tych, którzy mają inne poglądy filozoficzne, więc będę mówił o małżeństwie, jak wypada. Byłoby rzeczą najlepszą, gdybyśmy małżeństw nie potrzebowali w ogóle, tylko byśmy się za przykładem Platona i Sokratesa kochali

w chłopcach. Tylko tacy ludzie potrafią wydoskonalić się w dzielności. A jeżeli już i małżeństwo z kobietą jest niezbędne, to, według zdania Platona, kobiety powinny być własnością wspólną, abyśmy się uwolnili od zawiści.

Wzbudziły śmiech te słowa, jako bardzo niestosowne na weselu. Więc Dionysodoros powiada: — Daj pokój, przecież uszy bolą od tego barbarzyńskiego języka. Kto widział mówić o zawiści w tym znaczeniu i który autor tak mówi?

— I ty się tu odzywasz, śmieciu? — powiedział Ijon. Dionysodoros oddał mu pięknym za nadobne. Więc gramatyk Histiajos, poczciwa dusza, powiada: — Dajcie pokój, ja wam przeczytam epitalamium. — I zaczął czytać. To był wiersz taki, jeżeli dobrze pamiętam:

*Któż to ta osoba u Aristajnetę*

*W domu?*

*To jest boska Kleantida, pięknie wychowana.*

*Przy niej na nice wszystkie inne dziewice.*

*Przy niej błednie Afrodyta i gaśnie Helena.*

*Witaj i ty, panie młody, najlepszy z najlepszych*

*Młodzieńców.*

*Lepszy niż syn Nereusa i Tetydy.*

*A my znowu wam tę weselną pieśń*

*Obojgu często będziemy śpiewali.*

Kiedy to, oczywiście, wzbudziło śmiech, wypadało już rozbierać to, co przed nas położono. Więc Aristajnetos i Eukritos brali każdy swoją porcję, tak samo ja i Chajreas to, co było dla niego przygotowane. Podobnie Ijon i Kleodemos. A Difilos uważał za właściwe zabrać i to, co było przeznaczone dla nieobecnego Zenona, więc mówił, że to przecież przed nim samym leży, i zaczął się o to bić ze służbą. Ciągnęli więc tego ptaka na obie strony, jakby walczyli o trupa Patrokła. W końcu Difilos, zwyciężony, puścił zdobycz z rąk — na wielki śmiech całego towarzystwa. Tym bardziej, że zaczął się potem oburzać, jakby go największa krzywda spotkała.

Zenothemis i Hermon leżeli obok siebie, jak się powiedziało; Zenothemis wyżej, a tfen drugi niżej. Przed nimi leżały w ogóle równe porcje, więc je rozbierali w pokoju. Tylko ptak leżący przed Hermonem był tłustszy. Zdaje się, że tak jakoś wypadło Tizeba było, żeby i ptaka też każdy wziął swojego. Więc w tym

momencie Zenothemis — uważaj Pilonie, co mówię, bo już jesteśmy u szczytu akcji — otóż Zenothemis, jak mówię, zostawił swoją porcję, a chwycił ptaka Hermona, bo ten był tłustszy, jak mówił. Tamten chwycił swego ptaka z drugiej strony i nie chciał wyjść gorzej niż sąsiad. Zrobił się krzyk z tego powodu, wpadli jeden na drugiego i zaczęli się tymi ptakami bić po twarzach. Jeden chwycił drugiego za brodę i wołali na pomoc: Hermon Kleodemos, a Zenothemis Alkidamas i Difilosa, za czym się starli; jedni po stronie tego, drudzy tamtego; tylko jeden Ijon zachowywał neutralność. A tamci walczyli pierś o pierś. Zenothemis podniósł kubek ze stolika, który stał przed Aristajnetem, i cisnął nim w Hermona.

Jego ten pocisk ominął o włos; poszedł inną drogą. Zdzielił pana młodego w łeb przez sam środek. Rana była porządna i głęboka. Wszczął się wtedy krzyk od strony kobiet, pozeskakiwały z kanap na pole walki. Przede wszystkim matka tego chłopaka,, kiedy krew zobaczyła. I panna młoda przyskoczyła, bała się o niego. W tym wielkim boju laury zbierał Alkidamas, walczący po stronie Zenothemisa. Wyciął kijem w łeb Kleodemos, i przełamał szczękę Hermonowi. Niejednego spośród służby, spieszącej im na pomoc, pokaleczył. Ale tamci nie zeszli z pola. Kleodemos wyprostowanym palcem wybił oko Zenothemisowi i kawałek nosa mu odkaślił przypadłszy blisko. Hermon zaś Difilosa, który" Zenothemisowi śpieszył na pomoc, przewrócił na łeb z kanapy. Odniósł ranę i Histiaijos, gramatyk, kiedy ich rozdzielić próbował.

Mam wrażenie, że to Kleodemos trafił go piętą w zęby, bo myślał, że to Difilos. Leżał więc na ziemi i, jak jego ulubiony Homer powiada, „krwią wymiotował" nieborak. Panowało ogólne zamieszanie i łzy. Kobiety lamentowały skupiwszy się koło Chajreasa. Największą klęską był Alkidamas, bo skoro się raz po swemu wziął do kija, walił każdego, kto się nawinał. I wierz mi — że wielu byłoby padło, gdyby nie to, że kij połamał. Ja pod ścianą stałem wyprostowany, widziałem każdy szczegół walki, a nie mieszałem się do niej, bo nauczyłem mnie los Histiaijosa, jak niebezpiecznie jest wtrącać się i rozdzielać w takich rzeczach. Powiedziałbyś, że to Lapitowie i Centaury, gdybyś widział stoliki przewracane i krew wylaną, i kubki latające w powietrzu.

W końcu Alkidamas przewrócił świecznik i zrobił grube ciemności. Cała sprawa stała się, oczywiście, o wiele bardziej

przykra i trudna. Niełatwo było dostać inne światło, więc wiele okropności działo się po ciemku. Kiedy się nareszcie ktoś zjawił/ z lampą w ręku, pokazało się, że oto właśnie Alkidamas rozbiera flecistkę i usiłuje gwałtem z nią obcować, a Dionysodora przychwycono na innym figlu. Bo kiedy się podniósł, wypadł mu kubek z fałdów płaszcza. Na swoją obronę mówił, że to Ijon wziął w zamieszaniu i dał mu ten kubek, aby gdzieś nie zginął. Ijon po koleżeńsku przyznał, że to zrobił.

I na tym się rozeszło zebranie, zakończone po łzach nowym śmiechem z Alkidamasa, Dionysodora oraz Ijona. Rannych wynoszono z sali, a mieli się bardzo źle. Najgorzej stary Zenothemis, który się jedną ręką trzymał za nos, a drugą za oko i krzyczał, że ginie z bóleści. Tak że i Hermon, chociaż z nim też było niedobrze, bo wybito mu dwa zęby, zwrócił na to uwagę i powiedział: „Więc pamiętaj, Zenothemisie, że jednak bólu nie uważasz za rzecz obojętną”.

Panu młodemu ranę opatrzył Dionikos i odprowadzono go do domu z obandażowaną głową. Wsadzono go na ten wózek, na którym miał odwieźć pannę młodą. Gorzkie ten nieborak wesele obchodził.

Innymi zajął się Dionikos, ile możliwości i odprowadzono ich do domów na spanie, przy czym wielu wymiotowało po ulicach. Alkidamas został na miejscu. Nie było siły, żeby wyrzucić tego męża, kiedy się raz na kanapę zwalił i zasnął.

Więc taki był koniec uczty, mój piękny Filonie. Można by na zakończenie powiedzieć to, czym się kończą tragedie Euripidesa:

*Jest wiele form nadziemskich spraw*

*I niespodzianki zsyła bóg.*

*Nie to, coś myślał, spełnia się.*

I to też wypadło — naprawdę — nie tak, jak się można było spodziewać. Ale tegom się nauczył już naprawdę, że nie jest bezpiecznie siadać do kolacji z takimi mędrkami, jeżeli ktoś nie ma praktyki i czynnego udziału w zebraniu brać nie chce.

X.  
ROZMOWA  
JASKÓLECZKI I ROSICZKI

JASK.: Już nie chodzi do ciebie, Rosiczko, ten chłopak, Kleinijas? Nie widzą go u was już długo.

ROS.: Już nie, Jaskóleczo. Nauczyciel mu nakazał, żeby więcej do mnie nie przychodził.

JASK.: Co za jeden? Chyba nie mówisz o tym nauczycielu gimnastyki: Diotimosie? To przecież sympatyczny człowiek.

ROS.: Nie? to Aristajnetos — bodaj szezeł najgorzej ze wszystkich filozofów!

JASK.: Ty mówisz o tym ponurym; ten kudłaty, z długą brodą? Ten, co to zwykle spaceruje z chłopakami w Portyku Malowanym?

ROS.: O tym mówię; ten blagier. Rada bym widziała jego ciężką śmierć; żeby go kat za brodę ciągnął!

JASK.: A jemu co się stało, że tak przekabacił Kleinijasa?

ROS.: Ja nie wiem, Jaskóleczo. On nigdy z inną nie chodził, odkąd zaczął obcować z kobietą — i pierwszy stosunek miał ze mną — a teraz, od trzech dni, nawet nie zaszedł w naszą uliczkę. Mnie strasznie było przykro — sama nie wiem, co się ze mną dzieje przez niego — więc posłałam Nebridę, żeby się za nim rozejrzała, może po rynku chodzi, a może w Portyku Malowanym. Ona powiada, że go widziała, jak spacerował z Aristajnetem, więc kiwnęła mu głową z daleka, a on się zaczerwienił, zaczął patrzeć w dół i nawet już oka nie podniósł. Potem oni poszli razem do miasta. Ona szła za nimi aż do Dipylon, a ponieważ on się nawet nie obejrzał, więc wróciła i nic jasnego nie umiała mi donieść. Jak myślisz, co się ze mną potem działo; i nie mogłam dojść, co się stało mojemu chłopczykowi. Może go coś obraziło, ale chyba nie — mówiłam sobie — i chyba się w jakiejś innej nie zakochał, A mnie by znienawidził?

A może mu ojciec nie pozwolił? Dużo mi takich myśli przychodziło. Już późnym wieczorem przyszedł Dromon i przyniósł od niego ten liścik. Weź, Jaskóleczo, i przeczytaj. Ty z pewnością umiesz czytać.

JASK.: Dajże, zobaczymy! Litery nie bardzo wyraźne. Nagry-

zmlone. Widać jakiś pośpiech tego, co pisał. A mówi tak: „Jak ja ciebie pokochałem, Rosiczko, na to bogów biorę na świadków”.

ROS.: Oo, biedaczek, nawet nagłówek nie napisał.

JASK.: „I teraz, to nie z nienawiści, ale z konieczności opuszczam ciebie. Bo ojciec oddał mnie Aristajnetowi, abym z nim filozofował, i ten — bo dowiedział się o wszystkim, co między nami — zaczął mi robić straszne wyrzuty; mówił, że to nie wypada żebym miał stosunki z dziewczyną publiczną, kiedy jestem synem Architelesa i Erasikleji, i że o wiele piękniej jest ocenić dzielność więcej niż rozkosz”.

ROS.: Aby przyszłego roku nie doczekał! Ten błazen; on tak wychowuje chłopaka!

JASK.: „Więc muszę go słuchać. Bo chodzi za mną i pilnuje mnie uważnie; w ogóle, nawet spojrzeć na nikogo innego mi nie wolno, tylko na niego. Jeżeli będę grzeczny i będę mu ulegał we wszystkim, to przyrzeka, że będę bardzo szczęśliwy i pełen wszelkiej dzielności, jak się wyćwiczę naprzód za pomocą trudów i przykrości. To ci napisałem z wielką trudnością, wymknąwszy się na chwilę. A ty bądź mi zdrowa i pamiętaj o Kleinijasie!”

ROS.: Jak ci się ten list wydaje, Jaskółeczko?

JASK.: Tak w ogóle — to jest skytyjskie gadanie, ale to: „pamiętaj o Kleinijasie” — to zostawia jakąś iskierkę nadziei.

ROS.: I mnie się tak wydaje. Ja ginę z miłości. A Dromon mówił, że ten Aristajnetos to jakiś pederasta i pod pozorem nauczania obcuje z najładniejszymi chłopcami, i na własną rękę głowę zawraca Kleinijasowi; obiecuje mu coś tam, że go zrobi równym bogom.

A czyta z nim jakieś pisma erotyczne dawnych filozofów, adresowane do uczniów i zabiera się do chłopaka całą duszą. Dromon groził, że to powie ojcu Kleinijasa.

JASK.: Rosiczko, trzeba było dobrze brzuch napchać Dromonowi.

ROS.: Napchałam, ale on i bez tego jest mój; jemu też mocno pachnie Nebrida.

JASK.: To bądź spokojna. Wszystko będzie dobrze. A ja wiem, co jeszcze zrobię: napiszę na murze w Keramejku, tam gdzie zwykle spaceruje Architeles: „Aristajnetos psuje Kleinijasa”. To też pomoże obmowie ze strony Dromona.

ROS.: Ale jak to potrafisz napisać tak, żeby cię nikt nie widział?

JASK.: W nocy, Rosiczko. Węgla skądś dostanę.

ROS.: Doskonale! Pomóż tylko w wyprawie przeciw temu blagierowi, Aristajnetowi!



## XI. PRZEPRAWA NA DRUGĄ STRONĘ

CHARON: No tak, Kloto! Ta nasza łódź już dawno gotowa. Bardzo dobrze naszykowana do odjazdu; wodę się z dna wylało, maszt stoi prosto, żagiel przymocowany do boku, wiosło każde w zatrasku, nie ma żadnej przeszkody — przynajmniej z mojej strony — żeby kotwicę podnieść i odpłynąć. A Hermes się spóźnia. Dawno już powinien tu być. Pusta łódź, ani jednego podróżnego — widzisz przecież — a jeszcze dziś mogłaby ze trzy razy obrócić. Już się ma prawie pod wieczór, a myśmy jeszcze ani obola nie zarobili. A potem Pluton — ja dobrze wiem — będzie myślał, że to ja się tutaj zaniedbuję, a tu winien ktoś inny. Nasz piękny i szlachetny przewodnik zmarłych, jakby kto bądź inny, napił się tam na górze wody z Lety i zapomina wrócić do nas. Albo tam sobie zapasy urządza z młodymi ludźmi, albo na kitarze gra, albo jakieś odczyty wygłasza i popisuje się swoim gadulstwem, a może się i w złodzieja bawi, pocziwina, to jest też jedna z jego umiejętności. Dość, że wobec nas do żadnego się obowiązku nie poczuwa, a przecież po połowie on jest nasz!

KLOTO: No cóż, Charonie, cóż ty wiesz; może mu tam jakieś zajęcie wypadło, może Dzeus mu zlecił jakąś nadzwyczajną służbę — tam na górze. Dzeus przecież także jest pan.

CHARON: Tak jest, Kloto, ale nie powinien zanadto przekraczać zakresu swojej władzy i rządzić się samowolnie na terenie wspólnym. Przecież, ile razy Hermes miał stąd iść, myśmy go nigdy nie zatrzymywali. Ale ja wiem, dlaczego to. U nas przecież nic, tylko te asfodele i zlewki ofiarne, i bułeczki ofiarne, i ofiary za zmarłych, a poza tym mrok i mgła, i ciemność, a w niebie jasne wszystko i ambrozji dużo, i nektaru pod dostatkiem; więc mam wrażenie, że on się tam u nich chętnie zabawia. A od nas wylatuje na górę, jakby z jakiegoś kryminału uciekał. A jak trzeba schodzić na dół, to się nie śpieszy i lezie noga za nogą. Ma czas.

KLOTO: Już nie gderaj, Charonie. Już blisko i on sam, widzisz go, jaki nam tłum przyprowadza jakicheś tam — choć to raczej, jakby kozy pędził — taką ich kupę kijem przepłasza. Ale co to takiego? Kogoś skrepowanego między nimi widzę, a któryś inny się śmieje, a jeden torbę ma na sobie i kij ma w ręku, bystro

patrzy i popędza drugich.

A czy widzisz, jak i sam Hermes zlany potem, a nogi ma zakurzone i aż mu tchu brak — usta pełne ma ciężkiego tchu. Co to jest, Hermesie! Co to za pośpiech? Wyglądasz jakiś wzburzony.

HERMES: No cóż by innego, Kloty; nic, tylko ten łajdak uciekł, goniłem go i omal żem się dzisiaj do was na okręt nie spóźnił.

KLOTO: A któż to jest? I czego chciał, że uciekał?

HERMES: To jasne jak słońce, że wołał raczej żyć. To jest jakiś król czy dyktator; tak przynajmniej według jego lamentów i tego, co wykrzykuje. Powiada, że go pozbawiono jakiegoś wielkiego szczęścia.

KLOTO: A niechby dureń był uciekał — jak gdyby mógł tyć dalej, kiedy już zabrakło nitki dla niego wyprzedzonej.

HERMES: Uciekał, mówisz? Przecież, gdyby mi nie był pomógł ten tu pan dobrodziej — ten z patykiem — i gdybyśmy go nie byli związali, byłby nam uciekł i poszedł sobie precz. Przecież odkąd mi go oddała Atropos, to przez całą drogę wciąż się ociągał i rwał się wstecz, i nogami się zapierał o ziemię, i w ogóle nie łatwo go było prowadzić. A od czasu do czasu błagał i zaklinał, żeby go puścić na krótko, i obiecywał, że bardzo dużo da za to. Ja, oczywiście, nie pozwalałem widząc, że on się domaga rzeczy niemożliwych.

A kiedyśmy się znaleźli u samego wejścia, ja zacząłem, jak zwykle, zliczać nieboszczyków dla Aijakosa, a on też ich rachował według kwitu, który mi przysłała twoja siostra. Wtedy ten — bestia przeklęta — gdzieś sobie po cichu poszedł — ja sam nie wiem jak — dość, że zabrakło jednego nieboszczyka do rachunku, Więc Aijakos podnosi brwi do góry i powiada: „Proszę cię, Heraklesie, nie na każdym terenie stosuj złodziejskie sztuczki. Dość masz tych zabawek w niebie. Sprawy umarłych prowadzi się dokładnie i tu się nic nie może ukryć. Widzisz, że tu na kwicie jest zapisanych tysiąc i czterech nieboszczyków, a ty mi przyprowadzasz o jednego mniej. Przecież chyba nie powiesz, że cię oszukała Atropos”. Ja się zaczerwieniłem na takie słowa i zaraz sobie przypomniałem, co było na drodze; więc oglądam się, a tego tu nigdzie nie widzę. Więc zrozumiałem, że uciekł. Toteż zacząłem go gonić, ilem miał siły w nogach — na drodze prowadzącej do światła. Towarzyszył mi z własnego popędu ten tu, dobra dusza z kościami, i goniliśmy jak na wyścigach. Schwytaliśmy go już na Taj-

naron. Tak daleko udało mu się uciec.

KLOTO: A myśmy tu już, Charonie, zdecydowali, że Hermes się zaniedbuje.

CHARON: Więc po co jeszcze tracimy czas, jakby nam nie dość było tej mitręgi?

KLOTO: Dobrze mówisz. Niech wsiadają. Ja wezmę do ręki kwitariusz, siądę sobie, jak zwykle, koło mostka i każdego z wsiadających będę rozpoznawała: co za jeden i skąd, i w jaki sposób umarł. A ty bierz, załadowuj i ustawiaj. Więc ty, Hermesie, te noworodki naprzód powrzucaj, bo jakież by mi one potrafiły dawać odpowiedzi?

HERMES: Zobacz, przewoźniku, ile ich masz: trzysta sztuk razem z porzuconymi.

CHARON: No, no! Ładny miot; jak po polowaniu. Niedojrzałe nieboszczyki poprzyprowadzał!

HERMES: Jeżeli chcesz, Kioto, to po nich wsadzimy tych, po których nikt nie płacze?

KLOTO: Ty myślisz: starców? Zrób tak. Bo co ja się mam głowić nad tym, co tam było przed Euklejdesem. Ci ponad sześćdziesiątkę — teraz już na was kolej! Co to? Oni mnie nie słuchają, tak im lata uszy pozatykały. Zdaje się, że trzeba będzie ich też poprosić i przeprowadzić.

HERMES: Widzisz — tych znowu jest czterystu bez dwóch, pomarszczone to wszystko i miękkie; w sam czas zerwane.

CHARON: Rzeczywiście, jak mi Dzeus miły, to już nawet same rodziniki wszyscy.

KLOTO: Tych, którzy umarli z ran, po tych przyprowadź, Hermesie. Otóż naprzód powiedzcie mi każdy, po jakiej śmierci tu przybywacie. Albo lepiej: ja sama was przebadam według spisu. Na wojnie zginąć miało wczoraj w Myzji osiemdziesięciu czterech i syn Oksyartesa pomiędzy nimi: Gobares.

HERMES: Jest.

KLOTO: Z miłości popełniło samobójstwo siedmiu i filozof Teagenes przez tę dziewczynę, tę z Megary.

HERMES: To ten tutaj, blisko.

KLOTO: A gdzież ci, którzy się nawzajem pomordowali walcząc o rządy?

HERMES: Stoją tu obok.

KLOTO: A ten, którego żona zabiła przy pomocy kochanka?

HERMES: Oto tam, koło ciebie.

KLOTO: A przecież przyprowadź tych z sądów. Ja myślę: tych zdjętych z tortur i z krzyżów. Bo tych, których bandyci pozabijali, jest tam gdzieś szesnastu, Hermesie, prawda?

HERMES: Są tu ci umarli z ran, jak widzisz. A może i kobiety równocześnie, jeżeli chcesz, przyprowadzę.

KLOTO: Proszę bardzo; a to już i tych równocześnie z katastrof okrętowych; przecież poginęli w podobny sposób. I tych, co od gorączki, i tych też za jednym zachodem. I lekarza razem z nimi, Agatoklesa.

A gdzie jest filozof Piesek? Ten, co miał zjeść ofiarę dla Hekaty i jajka z ofiary oczyszczającej, a do tego jeszcze sepię na surowo — i umarł?

PIESEK: Ja tu już od dawna koło ciebie stoję, Kloto, pani moja najlepsza. Cóżem ja takiego popełnił, żeś mi tak długi czas tam na górze być kazała? Dla mnie toś bodaj że cały kłębek kądzieli wyprzędła i choć ja nieraz próbowałem nic przeciąć i przyjść, ale tak jakoś — sam nie wiem czemu — trudno ją było rozedrzeć.

KLOTO: Zostawiałam cię tam, abyś się grzechom ludzkim przypatrywał z góry i żebyś je leczył. Ale wsiadaj, z bogiem.

PIESEK: Tak jest, na Dzeusa, ale chyba że przedtem tego związanego na łódź wsadzimy. Boję się, żeby cię nie przekabacił, jak zaczniesz prosić,

KLOTO: O! Ja zaraz zobaczą, kto to jest.

HERMES: Megapenthes, syn Lakydosa, dyktator.

KLOTO: Wsiadaj no, ty tam!

MEGAPENTHES: Za nic w świecie, Kloto! Pani moja; pozwól mi na chwilę wyjść na górę! Ja potem sam do ciebie przyjdę, choćby mnie nikt nie wołał!

KLOTO: A ty po co chcesz tam iść?

MEGAPENTHES: Pozwól mi naprzód wykończyć dom! Przecież zostawiłem dom do połowy doprowadzony.

KLOTO: Pleciesz! Wsiadaj!

MEGAPENTHES: Ja nie o długi czas proszę ciebie, pani losu mojego! Pozwól mi tam zostać ten jeden dzień, aż wydam żonie jakieś polecenia co do pieniędzy. Ja tam miałem wielki skarb zakopany.

KLOTO: Z pewnością. Tego już nie dostaniesz.

MEGAPENTHES: Więc przepadnie tyle złota?

KLOTO: Nie przepadnie. Jeżeli o to chodzi, to pociesz się,

dostanie je Megakles, twój siostrzeniec.

MEGAPENTHES: O zgrozo! Ten wróg? Ja go tylko przez lekkomyślność nie zabiłem naprzód.

KLOTO: Ten sam. I będzie żył po tobie przez czterdzieści lat i jeszcze troszkę i odziedziczy po tobie harem i suknie, i wszystko złoto.

MEGAPENTHES: Jesteś niesprawiedliwa, Kloto! Moją własność oddajesz moim największym wrogom!

KLOTO: A ty, arcyszlachetny panie, czyś tego nie wziął po Kidymachu — to przecież było jego — tyś go zabił i kiedy jeszcze dyszał, pozabijałeś jego dzieci.

MEGAPENTHES: Ale teraz to należało do mnie!

KLOTO: No — skończył się twój czas posiadania.

MEGAPENTHES: Posłuchaj, Kloto, chciałbym ci coś powiedzieć, ale tylko tobie; tak żeby nikt nie słyszał. Wy odstąpcie trochę. Jeżeli mi dasz uciec, to ci tysiące talentów złota puncanego dać przyrzekam dziś.

KLOTO: Ty jeszcze o złocie, ty śmiechu warty, ty jeszcze o talentach pamiętasz?

MEGAPENTHES: I te dwie wazy, jeżeli chcesz, dołożę; te którym wziął, kiedy zabił Kleokritosa. Każda zaważy sto talentów czystego złota.

KLOTO: Pociągnijcie go; zdaje się, że on tu nie wsiądzie po dobremu.

MEGAPENTHES: Biorę was na świadków. Nie dokończony zostaje mur i przystań. Ja bym tego był dokończył, gdybym był żył tylko pięć dni dłużej.

KLOTO: Nie dbaj o to. Domuruje inny.

MEGAPENTHES: Ależ ja proszę o coś zupełnie rozsądnego.

KLOTO: O co?

MEGAPENTHES: O życia tyle, ażbym Persów wykierował, a na Lydów nałożył podatki, a sobie pomnik możliwie największy wystawił i na nim napis umieścił, czego dokonałem w życiu, Jakich wielkich dzieł i czynów wojennych.

KLOTO: Idźże, ty; przecież ty nie prosisz o jeden dzień, tylko mniej więcej o jakichś dwadzieścia lat życia.

MEGAPENTHES: Ależ ja wam zakładników gotów jestem dać i poręczycieli, że to będzie prędko i że tu znowu wrócę. A jeżeli chcecie, to osobistego zastępcę wam oddam, zamiast siebie — mego ukochanego.

KLOTO: A ty draniu! Tak często modliłeś się, żebyś go na ziemi zostawił.

MEGAPENTHES: Dawniej się o to modliłem, ale teraz widzę, co lepsze.

KLOTO: Przyjdzie i on po tobie niedługo. Zabije go ten, co świeżo na tron wstąpił.

MEGAPENTHES: No tak, ale tego przynajmniej mi nie odmawiaj, pani losów naszych.

KLOTO: Czego?

MEGAPENTHES: Chciałbym wiedzieć, co po mnie, jak to się wszystko potoczy.

KLOTO: Posłuchaj. Bo będzie ci gorzej, jak się dowiesz. Twoją żonę weźmie Midas, służący; już dawno miał z nią stosunki.

MEGAPENTHES: A, bestia przeklęta! Przecież to za jej namową ja mu dałem wolność.

KLOTO: A córka pójdzie do haremu tego, który dzisiaj panuje. A te portrety i posągi, które ci dawniej państwo wystawiało, powywracają wszystkie na śmiech dla patrzących.

MEGAPENTHES: A powiedz mi: z przyjaciół nikt nie oburza się na to, co się dzieje?

KLOTO: A któż był twoim przyjacielem? I dlaczego miałby ktoś nim zostać? To ty nie wiesz, że wszyscy, którzy ci się kłaniali chwalili każde twoje słowo i każdy czyn — robili to albo pod wpływem strachu, albo nadziei i byli przyjaciółmi władzy, a tylko czekali sposobnej chwili?

MEGAPENTHES: A przecież przy winie na bankietach wielkim głosem życzyli mi wszelkiej pomyślności i każdy był gotów umrzeć przede mną, gdyby to było możliwe — i w ogóle przysięgali na moje imię.

KLOTO: Toteż u jednego z nich wczoraj po kolacji zginąłeś. To, co ci na samym końcu pić podano — to ciebie tutaj przysłało.

MEGAPENTHES: Może dlatego zauważyłem w tym coś gorzkiego. Ale po co on to zrobił?

KLOTO: Zbyt długie przesłuchanie mi urządzasz, a tutaj czas wsiadać.

MEGAPENTHES: Jedno mnie dławi najwięcej, moja Kloto. Dla tego tak pragnąłem, choćby na krótko, wynurzyć się znowu na światło.

KLOTO: Cóż to takiego? Zdaje się, że to będzie jakaś bar-

dzo wielka rzecz.

MEGAPENTHES: Karijon, mój służący, jak tylko mnie umarłego zobaczył — on późno wieczór przyszedł do domu, gdzie leżał, a mógł robić, co chciał, bo mnie nawet nikt nie pilnował — więc on tę Glykerion, jedną z moich dziewcząt — ja mam wrażenie, że oni już i dawniej mieli z sobą stosunki — on ją teraz przyprowadził, drzwi zatrzasnął i obcował z nią, jakby nikogo w domu przy tym nie było, i potem, kiedy już miał dość, spojrzął na mnie i powiada: „Ty wyrodku ludzki, tyleś razy mnie bijał niesprawiedliwie”. To mówiąc szarpał mnie za włosy i bił po twarzy, a w końcu odchrząknął szeroko, splunął na mnie i powiada: „Idź tam, gdzie miejsce dla bezbożnych!” Poszedł. Mnie się gorąco w środku zrobiło, ale mimo to nie mogłem mu nic zrobić, bo już byłem suchy i zimny. A ta szelma dziewczyna, jak posłyszała, że ktoś nadchodzi, pomazała sobie oczy śliną, że niby to płakała po mnie, zaczęła głośno desperować i wołać mnie po imieniu, i poszła. O, gdybym ja ich dostał w swoje ręce!

KLOTO: Dość tych gróźb — wsiadaj! Czas ci już stanąć przed sądem.

MEGAPENTHES: A kto sobie pozwoli oddać głos przeciw dyktatorowi?

KLOTO: Przeciw dyktatorowi nikt, ale przeciw nieboszczykowi Radamantys, którego zaraz zobaczysz; on jest bardzo sprawiedliwy i każdemu wyznacza należyłą karę. A tymczasem nie marudź!

MEGAPENTHES: Choćby szarym człowiekiem mnie zrób, pani losów naszych — jednym z biedaków, choćby niewolnikiem zamiast dawnego króla — pozwól mi tylko wrócić do życia.

KLOTO: Gdzie tu jest ten z patykiem? I ty, Hermesie, też — pociągnijcie go do środka za nogę. On przecież nie wsiądzie po dobremu.

HERMES: Chodź no ty, uciekinierze; weź go ty, przewoźniku, i ten tam drugi, aby już bezpiecznie...

CHARON: Co tam — do masztu się go przywiąże.

MEGAPENTHES: O tak — ja muszę siedzieć na pierwszym miejscu!

KLOTO: Bo co?

MEGAPENTHES: Bo, na Dzeusa, dyktatorem byłem i gwardzistów miałem tysiące.

PIESEK: Więc co? Czy nie słusznie cię podskubał Karijon,

kiedyś takie ladaco? Gorzką ty będziesz miał dyktaturę, jak pokosztujesz patyka.

MEGAPENTHES: To Piesek będzie miał odwagę podnosić kij na mnie? A czy to nie przedwczoraj za to, żeś się tak mało krępował i pozwalał sobie na niezależność i sarkazmy, to mało brakowało, a byłbym cię kazał przywiązać do pala?

PIESEK: Toteż i ty zostaniesz przywiązany — do masztu.

MIKYLLOS: Powiedz mi, Kloto, czy o mnie tu się u was wcale nie myśli? Czy dlatego, że jestem ubogi, to dlatego i wsiadać mam na ostatku?

KLOTO: A tyś co za jeden?

MIKYLLOS: Szewc, Mikyllos.

KLOTO: Więc gniewasz się o zwłokę? Nie widzisz, ile dyktator obiecuje dać, byleby go wypuścić na krótko? Więc mnie zdziwienie ogarnia, jeżeli ci zwłoka nie miła.

MIKYLLOS: Posłuchaj mnie, najlepsza pani losów moich! Nie bardzo mnie raduje ten prezent od Cyklopa, ta obietnica, że „ja tego Nikta zjem na końcu”. Czy na początku, czy na końcu, zawsze te same zęby oczekują. Nawet podobieństwa nie ma pomiędzy moją sprawą a stosunkami bogaczy. Życie moje i życie ich jest biegunowo przeciwne, jak to powiadają. Dyktator wydaje się szczęśliwszy za życia, wszyscy się go boją i wszystkich oczy z szacunkiem go oglądają, zostawia tyle złota i srebra, i suknie, i konie, i bankiety, i chłopców ładnych, i kobiety zgrabne, więc to naturalne, że się gryzł i gniewał, kiedy go od tych rzeczy odrywano. Bo nie umiem powiedzieć, jak bardzo dusza lgnie do tych rzeczy jakby na lep jakiś i nie chce się z nimi rozstawać łatwo — tak dawno była do nich przyssana. To jest jakby jakiś węzeł nie do rozdarcia, którym oni są do tych rzeczy przywiązani. Tym bardziej, jeżeli ich ktoś od tego gwałtem odrywa, to zaczynają krzyczeć i zaklinać — poza tym bardzo odważni — a tu wiadać, że ich przeraża ta droga, która do Hadesu prowadzi. Więc się obracają wstecz i jak nieszczęśliwi w miłości, pragną choćby z daleka patrzeć na to, co jest w świetle. Tak i ten głupiec to po drodze robił, kiedy tam uciekał, a tutaj ciebie prośbami dręczył.

A ja, że nie mam żadnego zastawu w życiu, ani gruntu, ani domu, ani złota, ani ruchomości, ani sławy, ani obrazów — więc to naturalne, że byłem gotów do drogi, i jak tylko na mnie Atropos skinęła, z największą chęcią rzuciłem w kąt nóż i zaczęta podeszew — miałem właśnie w ręku jakiś trzewik — więc na-



tychmiast, z wyskokiem i boso, nawet rąk z czernidła nie umywszy, poszedłem za nią. A raczej poprowadzono mnie, ale patrzyłem przed siebie. Bo nic mnie nie odwracało wstecz i nic nie wołało za mną. I, na Dzeusa, ja widzę, że tu u was w ogóle jest ładnie. To że wszyscy tu są równi i nikt się od drugiego nie wyróżnia, to mi się wydaje nadzwyczajnie miłe. A powołuję się i na to, że tu nikt się nie domaga zwrotu długów i podatków tu nie ściągają, a co najważniejsza, człowiek tu nie kostnieje od mrozu i nie choruje, i nie poniewiera go byle kto mocniejszy. Spokój zupełny i stosunki odwrócone do góry nogami. My, ubodzy, śmiejemy się, a płaczą i lamentują bogaci.

KLOTO: Ja już od jakiegoś czasu widziałam, Mikyllosie, że ty się śmiesz. Ale co też cię najwięcej pobudzało do śmiechu?

MIKYLLOS: Posłuchaj, moja najczcigodniejsza bogini. Ja tam na górze mieszkałem koło dyktatora, więc bardzo dokładnie widziałem, co się u niego dzieje, i wtedy mi się on wydawał równy bogom. Kiedym widział, jak na nim kwitnie purpura, nazywałem go szczęśliwym — i jak tylu ludzi chodzi za nim, i tyle złota miał i te puchary kamieniami wysadzone, i kanapy o srebrnych nogach. A jeszcze i ten zapach potraw, które tam gotowano na obiad, dojadł mi. Więc mi się zdawało, że to jakiś nadczłowiek — po trzykroć szczęśliwy — nie tylko piękniejszy i wyższy o cały łokieć — że go tak los wyniósł, więc on chodzi uroczyście wyprostowany i zadziera nosa, i płoszy byle kogo po drodze.

A jak umarł, to mi się zupełnie śmieszny wydał, kiedy z niego spadł cały przepych, a sam z siebie śmiałem się jeszcze bardziej, że mnie zdumieniem napawało takie śmiecie i żem z zapachu potraw wnosił o jego szczęściu i szczęśliwym go nazywał pod wrażeniem krwi ślimaczków z morza lakońskiego.

Nie tylko jego, ale kiedym zobaczył tego lichwiarza Gnifona i usłyszał, jak on stęka, jęczy i żałuje, że nie korzystał ze swoich skarbów, ale nie skosztowawszy ich umarł, a majątek zostawił temu rozpustnikowi Rodocharesowi — bo ten mu był najbliższy krwią i jego naprzód prawa powoływały do udziału w spadku - to nie mogłem zupełnie opanować śmiechu. Szczególnie, kiedym sobie przypomniał, jaki on był zółty zawsze i brudny i czoło miał zatroskane, a bogaty był samymi tylko palcami, bo palcami liczył talenty i dziesiątki tysięcy, które pomaleńku zbierał, a one się miały niedługo przesypać do rąk szczęśliwego Rodocharesa. Ale

czemu my już nie odchodzimy? Przecież i podczas przejazdu będziemy się dalej bawili patrząc, jak oni skwierczą i narzekają

KLOTO: Wsiadaj, żeby już przewoźnik podniósł kotwicę.

CHARON: Ty tam, gdzie się ciśniesz? Pełna już łódź. Tutaj poczekaj do jutra. Rano cię przewieziemy.

MIKYLLOS: Nie jesteś sprawiedliwy, Charonie: zostawiasz na brzegu już odstałego nieboszczyka. Dobrze; ja cię zaskarżę u Radamantysa o przekroczenie służbowe. Nieszczęście! Już płyną! A mnie tu samego zostawili! Ale co mi tam? Ja podpłynę do nich. Nie boję się, że mnie siły opuszczą i utoną, bom już umarł. Zresztą nawet nie mam obola, żeby opłacić przewóz.

KLOTO: Co to jest? Zaczekaj, Mikyllosie! Nie wypada, żebyś się w ten sposób przedostawał.

MIKYLLOS: Co tam — ja może prędzej od was będę na drugim brzegu.

KLOTO: Za nic w świecie! My pośpieszymy trochę i weźmiemy go do łodzi. I ty, Hermesie, pomóż go wciągnąć!

CHARON: Gdzież on teraz będzie siedział? Przecież wszystko pełne — widzisz sama.

HERMES: Na barkach dyktatora, jeżeli łaska.

KLOTO: To dobry pomysł, Hermesie.

CHARON: No to włącz na górę: depc po karku tego łajdaka. A my płynmy szczęśliwie.

PIESEK: Charonie, wypada ci z tego miejsca prawdę powiedzieć: ja bym ci nie mógł dać obola przepłynąwszy na drugą stronę. Bo nie mam nic więcej oprócz torby, którą widzisz, i tego kija. Ale poza tym, jeżelibyś chciał wodę czerpać, to owszem, gotów jestem także i wiosłować. Nie będziesz niezadowolony, jeżeli mi tylko dasz jakieś dobrze wstawione i mocne wiosło.

CHARON: Wiosłuj. Wystarczy i to wziąć od ciebie.

PIESEK: A może trzeba będzie i przyśpiewywać do taktu?

CHARON: O, na Dzeusa! Gdybyś tylko znał jakąś przyśpiewkę okrętową.

PIESEK; Ja znam; nawet i niejedną, Charonie. Ale, widzisz, przeszkadzają ci płaczący. Tak że się nam rytm piosenki pomiesza.

ZMARLI: O, gdzie mój majątek! O, gdzie mój grunt! Ojoj, jaki ja dom zostawiłem! Ileż to talentów roztrwoni mój spadkobierca! Ajaj, moje dzieci maleńkie! Kto też będzie obcinał winogrona, którym łońskiego roku posadził?!

HERMES: Mikyllosie! A ty za niczym nie płaczesz? Doprawdy, nie wypada, żeby ktoś bez łez przepływał na drugą stronę.

MTKYLLOS: Dajże mi spokój. Nie istnieje nic takiego, za czym bym płakał; ja płynę szczęśliwy.

HERMES: Ale jednak, choćby coś trochę, dla zwyczaju, wzdychaj i ty, i narzekaj!

MIKYLLOS: A to będę narzekał, skoro ty tak uważasz, Hermesie. Ach, gdzie moje zaczęte podeszwy! O, gdzie moje trzewiki, te stare! Ojjoj, gdzie podarte buty! Już nigdy, o ja nie-szczęśny, nie będę o głodzie siedział od rana do wieczora, ani się nie będę po mrozie włóczył bosy i półgoły i nie będę zębami szczękał z zimna. Kto tam teraz będzie miał mój nóż i moje szydło?

HERMES: No, dość tych trenów. A jużesmy też prawie przy brzegu.

Halo! Naprzód tu, zapłacić nam za przewóz. I ty dawaj. Od wszystkich już mam. Dawaj i ty obola, Mikyllosie!

MIKYLLOS: Ty żartujesz, Charonie, albo, jak to mówią, piszesz po wodzie, kiedy się od Mikyllosa spodziewasz jakiegoś obola. Ja w ogóle tego nawet nie wiem, czy obol jest czworoboczny, czy okrągły.

CHARON: To ładna jazda dzisiaj i dobry zarobek. Ale wysiadajcie jednak. A ja się do koni biorę, do wołów i psów, i do innych zwierząt. Już i one też muszą przepływać na drugą stronę.

KLOTO: Hermesie, weź tych z sobą i odprowadź. A ja sama przepłynę na tamten brzeg i przeprowadzę Indopatresa, i Heramitresa. Bo już poginęli; walczyli z sobą o granice ziemi.

HERMES: Naprzód, wy tam! A lepiej wszyscy po kolei za mną!

MIKYLLOS: Heraklesie! Cóż to za ciemności! Gdzie teraz piękny Megillos? Albo po czym by tu ktoś mógł rozpoznać, czy piękniejsza od Fryny Symmicha? Tu przecież wszystko równe i jednobarwne, i nic ani ładnego, ani ładniejszego. Już nawet i ten mój płaszcz, który mi się dotąd wydawał niekształtny, robi się tyle samo wart, co purpurowy płaszcz króla. Jednego i drugiego nie widać; ta sama ciemność zatapia jedno i drugie. Piesku, a czy może przypadkiem ciebie tu gdzieś nie ma?

PIESEK: Ja tu mówię do ciebie, Mikyllosie. A może byśmy szli razem, jeżeli pozwolisz?

MIKYLLOS: Dobrze mówisz. Wsadź mi prawą rękę pod ra-

mię. Powiedz mi; ty przecież odebrałeś święcenia; tam na misteriach w Eleusis, oczywiście — czy nie podobne do tego, co tam — to, co tu?

PIESEK: Dobrze mówisz. Popatrz no, nadchodzi jakaś kobieta z pochodnią. Oczyma jakoś straszy i grozi. Może to jest Erynia?

MIKYLLOS: Zdaje się — tak przynajmniej wygląda.

HERMES: Weź tych z sobą, Tisifono. Jest ich tysiąc i czterech.

TISIFONA: Tak jest. Już dawno czeka na was Radamantys — ten oto.

RADAMANTYS: Przyrowadź ich, Erynio! A ty, Hermesie, peñ obowiązki herolda i przywołuj.

PIESEK: Radamantysie, w imię Ojca! Pierwszego mnie weź i przebadaj.

RADAMANTYS: Dlaczego?

PIESEK: Ja chcę wnieść oskarżenie na kogoś o zbrodnie, które wiem, że popełniał w ciągu życia. Więc moje słowa nie byłyby wiarogodne, gdybym się naprzód nie wykazał, jaki jestem i w jaki sposób życie przepędziłem.

RADAMANTYS: A ktoś ty?

PIESEK: Piesek, panie najlepszy — a z przekonañ filozof.

RADAMANTYS: Chodź no tu i pierwszy stawaj przed sądem. A ty przywołaj oskarżycieli.

HERMES: Jeżeli ktoś wnosi skargę na tego oto Pieska, niech tu przyjdzie!

PIESEK: Nikt nie przychodzi.

RADAMANTYS: To nie wystarcza, Piesku. Rozbierz się, żebym się w tobie rozejrzał po znakach, jakie masz na sobie.

PIESEK: A gdzież ja się zrobiłem taki naznaczony?

RADAMANTYS: Ile który z was w życiu zbrodni popełnił, po każdej z nich niewidzialne znaki na duszy obnosi.

PIESEK: Oto goły koło ciebie stoję. Więc szukaj tych znaków, o których mówisz.

RADAMANTYS: Czysty jest na ogół ten człowiek, oprócz tych trzech albo czterech bardzo zatartych i niewyraźnych znaków. Chociaż co to jest? Ślady i oznaki liczne wypalañ — sam nie wiem, jak się to pozacierało a raczej powycinało wszystko. Jak to jest, Piesku, i czemuś się z początku czysty wydawał?

PIESEK: Ja ci powiem. Dawniej byłem zły przez brak kultury i wielu znaków się przez to nabawiłem. A jak tylko się za-

cząłem oddawać filozofii, w krótkim czasie wszystkie plamy na duszy splukałem posługując się tym, tak dobrym i najbardziej skutecznym, lekarstwem.

RADAMANTYS: Więc odejdź na Wyspy Szczęśliwych, będziesz tam z ludźmi najlepszymi. Ale przedtem wnieś oskarżenie na tego, jak mówisz, dyktatora. Innych przywołaj.

MIKYLLOS: A moja sprawa, Radamantysie, drobna jest i wymaga jakiegoś krótkiego badania. Ja ci przecież już dawno goły jestem, więc przyjrzyj się.

RADAMANTYS: A ty czym jesteś w sam raz?

MIKYLLOS: Szewc, Mikyllos.

RADAMANTYS: No dobrze, Mikyllosie. Czysty całkiem i nie popisany. Odejdź i ty do tego Pieska tu. Dyktatora już przywołaj.

HERMES; Megapenthes, syn Lakydosa, niech przyjdzie. Dokąd skręcasz? Tutaj chodź! Ja ciebie wołam, dyktatora, Tisifono popchnij go naprzód — tu na środek; za kark.

RADAMANTYS: Więc ty, Piesku, wnoś już oskarżenie i odpieraj zarzuty. Blisko stoi ten człowiek.

PIESEK: Cała sprawa nawet nie potrzebuje słów. Bo zaraz po znakach poznasz, jaki on jest. Jednak i ja sam odsłonię ci tego człowieka i słowami go pokażę wyraźniej. Bo co ten arcyłotr złego robił w życiu prywatnym, to już mam zamiar pominąć. Ale kiedy sobie na przyjaciół dobrał co najśmielszych ryzykantów, zebrał sobie gwardzistów, zbuntował się i stanął na czele państwa jako władca niezależny, wtedy bez sądu skazał na śmierć więcej niż dziesięć tysięcy ludzi, majątki wszystkim pozabierał, doszedł do bogactwa niesłychanego, nie zaniedbał żadnej postaci swawoli i rozpusty, objawiał w stosunku do nieszczęsnych obywateli wszelkie możliwe barbarzyństwo i butę, dziewczęta psuł, chłopców hańbił i na wszelkie sposoby poddanych poniewierał. A za jego pogardliwe maniery, za dumę, za opryskliwość w stosunku do każdego, za to nie potrafiłbyś nawet ukarać go należycie. Bo łatwiej byłby ktoś mógł na słońce patrzeć bez zmrużenia oczu, niż na niego.

A jakie barbarzyńskie i jakie przy tym wymyślne kary wymierzał, któż by to opisać potrafił? On nawet swoich najbliższych nie oszczędzał. Że to nie jest zresztą jakieś puste, rzucane na niego oszczerstwo, zaraz się przekonasz, jeżeli zawołasz tych, których on pomordował. A nawet nie wołani — widzisz — już tu są, już stoją koło niego i duszą go. Ci wszyscy, Radamantysie,

przez tego łajdaka poginęli. Jedni dlatego, że mieli zgrabne żony, padli ofiarą zasadzek, drudzy oburzali się o to, że im synów uwodził na grzech i rozpustę, inni majątki potracili, a inni dlatego, że byli prawi i umiarkowani i wcale im się nie podobały jego postęпки.

RADAMANTYS: Cóż ty na to powiesz, ty drabie?

MEGAPENTHES: Te zabójstwa, o których on mówi, popełniłem, ale te inne rzeczy — ta rozpusta i to psucie chłopców i dziewcząt — to wszystko na mnie Piesek nakłamał.

PIESEK: Radamantysie, ja ci i na to postawię świadków.

RADAMANTYS: Jakich ty masz na myśli?

PIESEK: Przywołaj mi, Hermesie, jego lampę i jego kanapę. One tu przyjdą i one same zeznają, co wiedzą o jego postępkach.

HERMES: Kanapa i lampa Megapenthesa niech tu przyjdą! Dobrze zrobiły, że się przysłuchiwały.

RADAMANTYS: Więc powiedzcie wy, co wiecie o tym Megapenthesie? Pierwsza mów ty, kanapo.

KANAPA: Całe oskarżenie Pieska jest prawdziwe. Chociaż ja się wstydzę mówić o tym, Radamantysie, panie mój. Ale to było właśnie to, co on na mnie wyrabiał.

RADAMANTYS: Składasz zeznanie bardzo jasne, chociaż nie śmiesz o tych rzeczach mówić. A teraz już, ty, lampo, składaj zeznanie.

LAMPA: Ja już tego, co było za dnia, nie widziałam; mnie przy tyrn nie było. A co on po nocach wyrabiał i co się z nim wyrabiało — o tym trudno mi mówić. Ja widziałam dużo rzeczy nie do opisywania — to przechodziło wszelkie granice rozpusty. Ja już nieraz nie chciałam ssać oliwy, chciałam zgasnąć. A on mnie przysuwał do tego, co się tam działo, i moje światło plamił na wszelkie sposoby.

RADAMANTYS: Już dość świadków. Ale zdejmiemy ten purpurowy płaszcz, abyśmy zobaczyli, ile tam znaków pod nim. Hohoho! Przecież on całkiem czarny i popisany — właściwie aż niebieski od tych znaków. W jaki by też sposób go można ukarać? Może by go należało wrzucić do Pyrifletontu albo go oddać na żer Kerberowi?

PIESEK: Nigdy. Jeżeli pozwolisz, to ja ci zaproponuję pewną nową i dla niego odpowiednią karę.

RADAMANTYS; Mów; będą ci za to bardzo wdzięczny.

PIESEK: Jest zwyczaj, zdaje mi się, że wszyscy umarli piją

wodę z Lety,

RADAMANTYS: Tak jest.

PIESEK: Więc niech on jeden tej wody nie pije.

RADAMANTYS: Dlaczego właściwie?

PIESEK: To będzie ciężka dla niego kara, jeżeli będzie pamiętał, jaki był i ile mógł tam na górze — i rozpamiętywać będzie swoje zbytki.

RADAMANTYS: Dobrze mówisz. Niech będzie skazany i niech go odprowadzą do Tantalą. Tam go przywiązać i niech pamięta wszystko, co nabroił w życiu.

## XII. ROZMOWY BOGÓW

### 1. PROMETHEUSA I DZEUSA

PROM.: Uwolnijże mnie, Dzeusie! Jużem się strasznie nacierpiał.

DZEUS: Mam uwolnić ciebie — mówisz! A tobie trzeba było cięższe kajdany nałożyć i cały Kaukaz położyć na głowie, a szesnaście sępów żeby ci nie tylko wątrobę szarpało, ale żeby ci jeszcze i oczy wydziobały za to, żeś nam takie zwierzątka wymodelował — ludzi — i ogień ukradłeś, i kobiety wymajstrowałeś. A po co mówić o tym, jakeś mnie oszukał, kiedyś przy podziale mięsiwa dla mnie odłożył kości obwinęte sadłem, a lepszą część zachowałeś dla siebie?

PROM.: A czym już wystarczającej kary nie odcierpiał, tak długi czas na Kaukazie przykuty i tego orła — oby zdechł najgorzej ze wszystkich ptaków! — własną karmię wątrobą?

DZEUS: To nie jest nawet drobna cząstka tego, coś ty powinien wycierpieć.

PROM.: A ja ci mówię, Dzeusie, że nie puścisz mnie bez okupu. Ja ci przepowiem coś, co się bardzo przyda,

DZEUS: Nabierasz mnie, Prometheusie; bawisz się w sofistę.

PROM.: I co mi z tego przyjdzie? Ty przecież nie zapomnisz na drugi raz, gdzie jest Kaukaz, i nie zabraknie ci kajdan, jeżeli znowu coś zacznę majstrować i złapią mnie.

DZEUS: Powiedz naprzód, jaki okup chcesz dać za swoje sprawki, który by się nam przydał na coś?

PROM.: A jeżeli ja ci powiem, po co ty idziesz teraz, to dasz mi wiarę, kiedy ci coś innego też przepowiem?

DZEUS: Czemużby nie?

PROM.: Do Tetydy idziesz — mieć z nią stosunek.

DZEUS: Toś zgadł. A co dalej? Bo zdaje się, że powiesz jakąś prawdę.

PROM.: Zgoła się, Dzeusie, nie wdawaj z córką Nereusa. Bo jeżeli ona zajdzie w ciążę od ciebie — to, co na świat przyjdzie, urządzi cię tak samo, jakeś ty zrobił.



DZEUS; To znaczy, że zrzucą mnie z tronu?

PROM.: Oby się tak nie stało, Dzeusie! Tym tylko grozi stosunek z nią.

DZEUS: A, to bierz lichy Tetydę! A ciebie niech za to Hefajstos uwolni.

## 2. EROSA I DZEUSA

EROS: Jeżeli nawet jakiś grzech popełnił, Dzeusie, to przebac mi. Chłopczyk jestem przecież i jeszcze głupi.

DZEUS: Tyś chłopczyk, Erosie? Ty, o wiele starszy od Ijapeta! Dlatego że ci broda nie urosła ani siwe włosy, to chcesz uchodzić za dziecko? A jesteś stary i wielka szelma przy tym.

EROS: No cóżem ci za krzywdę zrobił tak wielką, ja, starszek, jak mówisz, za co mnie też w kajdany zakuć zamierzasz?

DZEUS: Zobacz, gałganie, czy to nie mała krzywda; takiego błazna robisz sobie ze mnie, że już nie ma nic, czego byś ty ze mnie nie zrobił: satyra, byka, złoto, łabędzia, orła. A we mnie nie rozkochałeś żadnej i nawet nie słyszałem, żebym się przez ciebie zrobił miły jakiejś kobiecie, tylko muszę się do nich czarodziejskimi sztukami dobierać i ukrywać siebie samego. A one byka albo łabędzia kochają, a mnie gdyby zobaczyła która, to ginie ze strachu.

EROS: Naturalnie, Dzeusie — przecież one śmiertelne — więc nie znoszą twojego widoku.

DZEUS: Czemuż więc Apollona Branchos i Hyakinthos kochają?

EROS: Ale Dafne i przed nim uciekła, choć ma ładne włosy i brody nie nosi. Jeżeli chcesz, żeby cię kochały, to nie potrząsaj ajgidą i nie noś pioruna ze sobą, ale zrób się przyjemny, ile możliwości, zrób sobie rozdziałek i loki sobie rozczesz na dwie strony, włosy zwiąż diademem, ubierz się w płaszczyk różowy, włóż pozłacane trzewiki, stąpaj rytmicznie pod głos fletu i bębenków, a zobaczysz, że będzie ich za tobą goniło więcej niż Menad za Dionysosem.

DZEUS: Idźże precz! Nigdy bym się nie zgodził wzbudzać miłości, gdybym się taki zrobił.

EROS: Wobec tego, Dzeusie, nie myśl w ogóle o kochaniu. Przecież to łatwiej.

DZEUS: Nie! Kochać się, owszem — ale mieć z tym mniej kłopotów. Pod tym właśnie warunkiem puszczam cię wolno.

### 3. DZEUSA I HERMESA

DZEUS: Ty córkę Inacha, tę ładną, znasz, Hermesie?

HERMES: Tak. Ty masz na myśli Ijonę.

DZEUS: To już nie dziewczyna, tylko jałówka.

HERMES: To dziwowisko! A jakimże sposobem tak się odmieniła?

DZEUS: Hera ją przemieniła — przez zazdrość. Ale inną jeszcze, nową okropność wymyśliła dla biedaczki. Postawiła nad nią jakiegoś pasterza wielookiego; on się nazywa Argos; pasie tę jałówkę i nie śpi.

HERMES: Więc co mamy zrobić?

DZEUS: Leć na dół do Nemei — tam gdzieś Argos pasie krowy — jego zabij, a Ijonę przez morze do Egiptu zaprowadź i zrób z niej Izydę. Odtąd niech będzie boginią tamtych tam, niech wylewy Nilu sprowadzą, wiatry niech zsyła i niech ratuje podróżnych na wodzie.

### 4. DZEUSA I GANYMEDESA

DZEUS: No, Ganymedesie — bo już jesteśmy, gdzie było trzeba. Pocałujże mnie już, abys zobaczył, że już nie mam dzioba zakrzywionego ani szponów ostrych, ani skrzydeł; tak jak ci się przedstawiałem, kiedy wyglądał na ptaka.

GANYMEDES: Człowiecze! Czyż nie byłeś przed chwilą orłem, nie zleciałeś z góry i nie porwałeś mnie ze środka trzody? Wiać jakże ci te pióra wylazły i ty znowu inaczej wyglądasz?

DZEUS: Ależ ty ani człowieka nie widzisz, chłopczyku, ani orła. Ja jestem wszystkich bogów król; przemieniłem się tylko, jak mi było trzeba.

GANYMEDES: Co ty mówisz? To ty jesteś Pan; tamten?

A jakże to, nie masz pozytywki ani rogów i nie masz sierści na nogach?

DZEUS: To tylko jego jednego uważasz za boga?

GANYMEDES: Tak jest. I my mu dajemy na ofiarę capa z jądrami, prowadzimy go tam do jaskini, gdzie on stoi. A ty mi

wyglądasz na jakiegoś zbója, co ludzi porywa.

DZEUS: A powiedzże mi, tyś nie słyszał imienia Dzeusa ani jego ołtarza nie widziałeś na Gargaron? Tego, co deszcz zsyła i grzmi, i błyskawice robi?

GANYMEDES: To ty, zacna duszo, mówisz, że jesteś ten, coś to nam niedawno taki wielki grad spuścił i mówią, że mieszkasz wysoko i robisz hałasy? Tobie ojciec zabił na ofiarę barana. A cóżem ja ci zrobił złego, żeś mnie porwał, królu bogów? A tam owce może wilki porozszarpują — nikt już nie pilnuje, to się rzuca.

DZEUS: Jeszcze ci też owce w głowie, kiedyś się stał nieśmiertelny i będziesz tutaj przebywał z nami?

GANYMEDES: Co ty mówisz? To już mnie nie sprowadzisz na dół, na Idę, dzisiaj?

DZEUS: Nigdy w świecie. Bo daremnie byłbym się z boga zmieniał w orła.

GANYMEDES: Ale ojciec będzie mnie szukał i będzie się gniewał, jak nie znajdzie, i potem w skórę dostanę, żem porzucił trzodę.

DZEUS: A gdzież on ciebie zobaczy?

GANYMEDES: Nigdy? Bo mnie już tęskno za nim. Jeżeli mnie każesz odprowadzić do domu, to przyrzekam ci, że ci jeszcze jednego barana od ojca złożę na ofiarę, jako wykup za mnie, My mamy takiego trzylatka, dużego; on zawsze prowadzi na paszę.

DZEUS: Ach, jakież to prostaczek ten chłopczyzna! jaki naturalny i właśnie to: dziecko jeszcze. Ależ, Ganymedesie, tamto wszystko zostaw i zapomnij o tym, o tej trzodzie i o tej Idzie. I ty — należysz przecież już do grona niebian — ty stąd zrobisz wiele dobrego dla ojca i dla ojczyzny, a zamiast sera i mleka, będziesz jadł ambrozię i będziesz pił nektar. I będziesz go nam nalewał. A co najważniejsze, nie będziesz już człowiekiem, tylko jednym z nieśmiertelnych, i twoją gwiazdę zaświecę, bardzo piękną i w ogóle będziesz szczęśliwy.

GANYMEDES: A jeżeli się bawić zechcę, to kto się będzie ze mną bawił? Bo na Idzie było nas dużo rówieśników.

DZEUS: Masz i tutaj tego oto Erosa — on się będzie z tobą bawił i kostek do gry jest tu bardzo dużo. Bądź tylko spokojny i rozjaśnij twarz, i nie tęsknij za tym, co na dole.

GANYMEDES: Ale na co bym ja się mógł wam przydać?

Pewnie trzeba będzie kozy paść i tutaj?

DZEUS: Nie; będziesz podczaszym, będziesz zawiadywał nektarem i będziesz usługiwał przy stole.

GANYMEDES: To nie trudna rzecz. Ja wiem, jak trzeba nalewać mleko i podawać skopiec.

DZEUS: No popatrz; ten znowu mleko wspomina i myśli, że będzie ludziom posługiwał. Przecież tutaj jest niebo i my pijamy, jak powiedziałem, nektar.

GANYMEDES: To lepsze, Dzeusie, od mleka?

DZEUS: Za chwilę będziesz wiedział. Jak skosztujesz, to już nigdy nie będziesz pragnął mleka.

GANYMEDES: A spać gdzie będę w nocy? Czy z moim rówieśnikiem Erosem?

DZEUS: Nie. Przecież na to cię porwałem, żebyśmy razem sypiali.

GANYMEDES: A sam byś spać nie mógł, tylko przyjemniej ci ze mną?

DZEUS: Tak jest; z takim jak ty, Ganymedesie — taki jesteś piękny.

GANYMEDES: A na co ci się do snu przyda piękność?

DZEUS: Ona ma jakiś czar rozkoszny i sprowadza cichszy sen.

GANYMEDES: A jakże! Przecież ojciec gniewał się na mnie, kiedy z nim spałem i rano opowiadał, że mu nie dawał spać, bom się kręciłem i kopałem, i coś tam krzyczałem przez sen. Więc często mnie do matki odsyłał na spanie. Naprawdę, jeżeliś mnie, jak mówisz, na to porwał na górę, to wypadnie ci odesłać mnie z powrotem na ziemię albo będziesz miał kłopot, bo nie zaśniesz. Ja ci będę dokuczał, jak się zacznę wciąż kręcić.

DZEUS: Właśnie tym zrobisz mi największą przyjemność, jeżeli nie będę przy tobie spał, tylko cię wciąż całował i ścisnął.

GANYMEDES: Może być, że sam się przekonasz. Bo ja będę spał, choćbyś mnie całował.

DZEUS: Będziemy wtedy wiedzieli, co robić. A teraz odprowadź go, Hermesie, niech się napije nieśmiertelności i będzie u nas podczaszym. A naucz go naprzód, jak ma podawać puchar.

## 5. HERY I DZEUSA

HERA: Odkądeś tego chłopca, Dzeusie, tego Frygijczyka z Idy porwał i tutaj go sprowadził, mniej się mną interesujesz.

DZEUS: Już i o niego, Hero, jesteś zazdrosna, kiedy on jest taki naturalny i przemiły. A ja myślałem, że ty się gniewasz tylko na kobiety, które by się ze mną spotykały.

HERA: A to także nie jest w porządku i nie odpowiada twojej godności, że będąc panem wszystkich bogów, zostawiasz mnie, prawowitą małżonkę, a schodzisz na dół, na ziemię, żeby się tam wdawać z kobietami w postaci złota albo satyra, albo byka. Ale one ci tam przynajmniej na ziemi zostają, a to chłopczyk z Idy porwałeś i przyleciałeś z nim tu na górę — bóg z ciebie pierwszej klasy - i on teraz mieszka z nami, siedzi mi tutaj na głowie, a mówi się, że to podczaszy. Tak ci już zabrakło podczaszych! Podawała nam przecież Hebe i Hefajstos — i cóż to: sił im zabrakło?

I ty kielicha inaczej od niego wziąć nie potrafisz, tylko naprzed go musisz pocałować — kiedy wszyscy na to patrzą. Pocałunek miłszy ci niż nektar. Toteż często żadasz napoju, chociaż ci się pić nie chce. A nieraz tylko skosztujesz i oddajesz mu kielich — on pije, a co zostawi, to ty wypijasz i to od tej strony, z której pił chłopiec i gdzie wargi przytknął, abyś mógł równocześnie i pić, i całować. A przedwczoraj ty, król i ojciec wszystkiego, odłożyłeś ajgidę i piorun i siadłeś sobie grać z nim w kostki — z tą swoją długą brodą.

Ja na to wszystko patrzę — niech ci się nie zdaje, że tego nikt nie widzi!

DZEUS: Cóż takiego straszego, moja Hero, pocałować przy kielichu takiego ładnego chłopczyka i cieszyć się jednym i drugim: i pocałunkiem, i nektarem. Kiedy mu powiem, żeby ciebie choć raz pocałował, to już się nie będziesz na mnie gniewała, że pocałunek uważam za coś lepszego od nektaru.

HERA: Tylko pederasta może tak mówić! A ja musiałabym zwariować, żebym wargi przytknęła do tego pieścioszka frygijskiego, do takiego niewieściucha!

DZEUS: Proszę cię, najszlachetniejsza, nie wyrażaj mi się tak obelżywie o moim ukochanym! Bo ten niewieściuch i przybędą,

i piśczoszek miłszy mi jest i bardziej pożądaný niż — ja nie chcę mówić, żeby cię nie rozdrażniać jeszcze bardziej.

HERA: A może byś się jeszcze z nim ożenił, proszę bardzo, jeżeli o mnie chodzi! A zapamiętaj sobie, jak ty mnie traktujesz przez tego podczaszego!

DZEUS: Nic, tylko Hefajstos powinien być, twój syn, nektar nam podawać, utykając, kiedy wraca prosto z kuźni i jeszcze pełno iskier ma na sobie; dopiero co obcęgi odłożył i z tych jego palców my mamy przyjmować kielich; przytulać go i całować podczas tego, a nawet ty sama, rodzona matka, nie miałabyś go ochoty pocałować, taką ma twarz sadzami zasmarowaną. To jest przyjemniejsze! Czy nie? I o wiele bardziej tamten podczaszy jest na miejscu przy stole bogów, a Ganymedesa trzeba z powrotem odesłać na Idę. Dlatego że jest czyściutki i ma różane paluszki, i umiejętnie podaje napój. A co cię obraża najwięcej, to to że jego pocałunki słodsze są od nektaru.

HERA: Teraz, Dzeusie, Hefajstos już jest i kulawy, i jego palce nie są godne twojego kielicha, i cały sadzą umazany, i wstręt cię bierze patrzeć na niego, odkąd Idą wykarmiła tego przyjemniaczka z ładnymi włosami. A dawniej tego nie widziałeś i te iskry, i ta kuźnia jakoś ci nie przeszkadzały pić z jego rąk.

DZEUS: Drażnisz się, Hero, sama — nic innego. A u mnie tylko miłość wzmagasz przez swoje sceny zazdrości. Ale jeżeli cię to gniewa przyjmować kielich z rąk ładnego chłopca, to niech ci twój syn podaje, a ty, Ganymedesie, podawaj kielich tylko mnie i za każdym razem pocałuj mnie dwa razy: i kiedy będziesz podawał pełny — i znowu potem, kiedy go będziesz ode mnie odbierał.

Co to jest? Ty płaczesz? Nie bój się! Gorzko zapłacze każdy, kto by cię chciał dotknąć.

## 6. HERY I DZEUSA

HERA: Ten Iksion, Dzeusie, co ty o nim myślisz?

DZEUS: To porządny człowiek, Hero, i zawsze można się do niego napić. Inaczej by nie bywał u nas, gdyby nie zasługiwał na to, żeby go przyjmować przy kielichu.

HERA: Jednakże on na to wcale nie zasługuje. To jest prze-

cięż bezbożny zuchwalec. Więc nie powinien u nas bywać w ogóle.

DZEUS: A na jakież on sobie zuchwalstwo pozwolił? Trzeba — tak uważam — żebym ja też coś o tym wiedział.

HERA: No cóż innego — chociaż wstydzę się o tym mówić. Na coś takiego się ośmielił.

DZEUS: No, właśnie dlatego raczej powinnaś to powiedzieć — tym bardziej, im gorsze objawiał zamiary. Ale chyba jeszcze nie próbował niczego? Ja sobie wyobrażam, co to za rodzaj szelmostwa, jeżeli ty wahasz się o nim mówić.

HERA: To o mnie samą chodzi; nie o kogoś innego, Dzeusie! I to już od długiego czasu. Ja zrazu nie wiedziałam, o co idzie; on się tylko wciąż we mnie wpatrywał. Wzdychał i popłakiwał i kiedym, bywało, wypła i oddała kielich Ganymedesowi, on prosił, żeby mu dać pić z tego samego, brał kielich i całował, i do oczu go sobie przykładął, i znowu na mnie patrzył. Wtedy już zrozumiałam, że tu chodzi o miłość. I długi czas wstydziłam się mówić tobie o tym; myślałam, że temu człowiekowi przejdzie to obłąkanie; Ale kiedy sobie pozwolił nawet i mówić do mnie o tej sprawie — zostawiłam go jeszcze we łzach — na kolanach przysuwał się do mnie, zatkałam sobie uszy, aby nawet nie słyszeć jego bluźnierczych zaklęć, i poszłam sobie, aby wszystko tobie opowiedzieć. A ty zastanów się sam, jak postąpisz z tym człowiekiem.

DZEUS: A to szelma! Na mnie nastaje i na mój związek z Herą. Tak się upił nektarem. Ale to moja wina. Kocham ludzi więcej niż tego warcia i dopuściłem ich do naszego towarzystwa przy kielichu. Im trzeba przebaczyć, jeżeli piją to samo, co my, i oglądają piękności niebiańskie, jakich nigdy nie widzieli na ziemi, i potem się im zachciewa kosztować ich, kiedy ich Eros ogarnie. Eros to jest potęga przemożna i on nie tylko nad ludźmi panuje, ale nad nami samymi też nieraz.

HERA: Tobą nawet i bardzo rządzi — despotycznie — i nosi cię, i wodzi cię za nos, a ty idziesz za nim, dokądkolwiek cię zaprowadzi, i zamieniasz się łatwo, w co ci tylko każe. W ogóle, ty przecież jesteś własnością i zabawką Erosa. I teraz Iksionowi, wiem, że udzielisz przebaczenia, boś sam kiedyś miał stosunek z jego żoną — ona ci urodziła Pejritheosa.

DZEUS: Że też ty jeszcze pamiętasz o takich rzeczach, jeżeli ja tam kiedyś schodziłem na ziemię, żeby się rozerwać. Ale wiesz,

co zamyślam zrobić z Iksionem? Ukarac go — w żadnym razie, ani nie wyrzucić go z towarzystwa. To byłoby niesmaczne. Skoro on kocha i, jak mówisz, płacze, i cierpi nieznośnie.

HERA: Jak to, Dzeusie? Boję się, żebyś ty też jakiegoś bluznierstwa nie powiedział.

DZEUS: Nic podobnego. Ja tylko model z chmury zrobię podobny do ciebie. Jak się kolacja skończy, a on nie będzie spał — oczywiście, bo mu miłość spać nie da — ja zaniosę i położę ten model koło niego. W ten sposób on się przestanie męczyć, będzie mu się zdawało, że osiągnął przedmiot swojej żądy.

HERA: Idźże precz. Aby roku nie doczekał, kiedy mu się zachciewa takich rzeczy nad stan!

DZEUS: Jednakże przenieś to po sobie, Hero. Bo i cóż ci się złego może stać przez ten model; jeżeli Iksion będzie obcował z chmurą?

HERA: Ależ chmura będzie wyglądała jak ja i on mnie zhańbi przez podobieństwo.

DZEUS: Mówisz ni to, ni owo; przecież chmura nie może nigdy być Herą ani ty chmurą. Jeden tylko Iksion będzie oszukany.

HERA: Ależ wszyscy ludzie są ordynarni i bez taktu; on z pewnością pójdzie na dół i będzie się chwalił; będzie wszystkim opowiadał, że miał stosunek z Herą, że dzieli łóżko z Dzeusem — i gotów jeszcze powiedzieć, że ja się w nim Kocham, a oni będą wierzyli nie wiedząc, że z chmurą miał do czynienia.

DZEUS: Tak? Jeżeliby coś takiego powiedział, to się go strąci do Hadesu, przywiąże się nędznika do koła i będzie się w nim kręcił na wieki. Nieustająca męka będzie pokutą nie za miłość; bo to samo przecież, to nie jest nic strasznego — tylko za przechwałki.

## 7. HEFAJSTA I APOLLONA

HEFAJSTOS: Apollonie, tyś widział dziecko Maji — tego noworodka? Jakie to ładne i jak się uśmiecha do wszystkich, i widać, że z niego jakieś wielkie dobro wyrośnie.

APOLLON: To dziecko, Hefajstosie? Rzeczywiście, będzie z niego wielkie dobro. Ono starsze od Ijapeta, jeżeli chodzi



o szelmostwa.

HEFAJSTOS: A cóż by ono mogło złego zrobić — toż dopiero się urodziło?

APOLLON: Zapytaj o to Posejdon. Jemu ukradło trójząb. Albo Aresa. Jemu też po cichu wyciągnęło miecz z pochwy. Ja już nie chcę mówić o sobie — ja też zostałem bez broni; ściągnęło mi łuk i strzały.

HEFAJSTOS: To maleńkie takie? To, co ledwie stoi, to w pieluszkach?

APOLLON: Zobaczysz, Hefajstosie, niech się tylko zbliży do ciebie.

HEFAJSTOS: A oto i już przyszło.

APOLLON: Cóż więc? Wszystkie masz narzędzia i żadne nie zginęło z nich?

HEFAJSTOS: Wszystkie, Apollonie.

APOLLON: W każdym razie rozejrzyj się uważnie.

HEFAJSTOS: Na Dzeusa, nie widzę obcęgów!

APOLLON: A może je zobaczysz w pieluszkach dzieciątka.

HEFAJSTOS; Takie ma długie palce, jakby się w żywocie matki wyuczyło sztuki złodziejskiej?

APOLLON: A nie słyszałeś, jak ono gada — jakie pyskate i prędkie. On już nawet chce nam usługiwać. Wczoraj wyzwiał Erosa na zapasy i położył go zaraz — sam nie wiem, jak mu nogi poderwał. Potem, kiedy go zaczęła chwalić Afrodyta, ukradł jej przepaskę, jak go przytuliła w nagrodę za zwycięstwo. Dzeus się jeszcze śmiał, kiedy i jemu ukradł berło. Gdyby piorun nie był za ciężki i nie miał tyle ognia w sobie, byłby ukradł i piorun.

HEFAJSTOS: To jakiś straszny chłopiec, jak mówisz.

APOLLON: Nie tylko to, ale już i muzykalny.

HEFAJSTOS: Czym to możesz poprzeć?

APOLLON: Żółwia gdzieś zdechłego znalazł i zrobił sobie instrument z jego skorupy. Wprawił w nią ramiona i spoił, potem wbił poprzeczkę, podłożył podstawkę, napiął siedem strun i zaczął grać bardzo gładko, Hefajstosie, i harmonijnie. Tak że i mnie było zazdrość — ja się od dawna uczę grać na kitarze.

A Maja mówiła, że nawet w nocy nie zostaje w niebie; nie ma co robić, więc aż do Hadesu na dół chodzi, żeby i tam kraść, rzecz oczywista. Ma skrzydełka u nóg i zrobili mu' jakiś kijek o przedziwnej sile; on nim dusze wodzi i ściąga nieboszczyków.

HEFAJSTOS: To ja mu to dałem; niech się bawi.

APOLLON: Toteż ci oddał pięknym za nadobne — te obcegi...

HEFAJSTOS: Dobrześ przypomniał. Pójdę je odebrać — może gdzieś, jak mówisz, znajdą się w pieluszkach.

## 8. HEFAJSTA I DZEUSA

HEFAJSTOS: Co mam zrobić, Dzeusie? Przychodzę jak kazałeś, i mam ze sobą siekiere bardzo ostrą. Choćby kamień, trzeba było jednym uderzeniem rozciąć.

DZEUS: Doskonale, Hefajstosie. No, to wal i rozłup mi głowę na dwoje,

HEFAJSTOS: Ty próbujesz, czym nie zwariował? To każ mi coś innego zrobić, może byś czegoś chciał dla siebie.

DZEUS: Właśnie tego, żebyś mi rozszcepił czaszkę. A jak nie posłuchasz, to nie po raz pierwszy dzisiaj popróbujesz mego gniewu. Trzeba walić z całej duszy i nie zwlekać, i nie zastanawiać się. Ja ginę z bóleści — one mi mózg przewracają.

HEFAJSTOS: Uważaj, Dzeusie, żebyś czego złego nie zrobił. Siekiera jest ostrą; to nie będzie bez krwi i nie po bożemu ten poród.

DZEUS: Wal tylko, Hefajstosie! Bądź spokojny. Już ja wiem, co potrzeba.

HEFAJSTOS: Chcieć — nie chcę, ale łupnę, bo co robić, skoro ty każesz?! A to co?! Dziewczyna w zbroi! Wielkieś ty, Dzeusie, licho miał w głowie. To naturalne, żeś się drażnił, kiedyś taką dużą dziewczynę pod czaszką wylegał i to w zbroi. Doprawdy, żeś ty chyba obóz miał na karku — nie głowę, a myśmy lego nie widzieli. A ona skacze i taniec wojenny zawodzi, i tarczą potrzasa, i włócznią wywija, i bóg w niej siedzi, a przede wszystkim piękna jest bardzo i dojrzała tak prędko. Oczy ma jasne, ale i te upiększa hełm. Tak że, Dzeusie, w nagrodę za robotę akuszerską, zaręcz ją już ze mną.

DZEUS: Żądasz rzeczy niemożliwych, Hefajstosie. Ona będzie chciała zostać zawsze panną. Jeżeli o mnie chodzi, ja się nie sprzeciwiam wcale.

HEFAJSTOS: O to mi szło. Reszta to już moja rzecz. Już ja ją porwę.

DZEUS: Jeżeli ci łatwo, to tak zrób. Ale ja wiem, że pragniesz niemożliwości.

## 9. POSEJDONA I HERMESA

POSEJDON: Hermesie, czy można się zaraz widzieć z Dzeusem?

HERMES: W żaden sposób, Posejdonie!

POSEJDON: Jednak donieś mu, że przyszedłem.

HERMES: Nie nudź, mówią. Przyszedłeś nie w porę; nie możesz się z nim zobaczyć w tej chwili.

POSEJDON: On tam pewnie jest z Herą, czy nie?

HERMES: Nie — to coś całkiem innego.

POSEJDON: Rozumiem! Ganymedes jest u niego.

HERMES: Ani to. Tylko źle się czuje sam.

POSEJDON: Skądże to, Hermesie? Przecież to straszne, co mówisz.

HERMES: Wstydzę się powiedzieć — to jest taka rzecz...

POSEJDON: Ależ nie trzeba wobec mnie — przecież ja jestem wuj.

HERMES: On w tej chwili urodził, Posejdonie.

POSEJDON: Idźże precz! On urodził? Od kogóż ma dziecko? Cóż to, myśmy nie wiedzieli, że on jest obojnak? Ale nawet po figurze nie było widać jakiejś ciąży.

HERMES: Dobrze mówisz; bo też i nie w brzuchu był zarodek.

POSEJDON:.. Ja wiem — z głowy urodził drugi raz. Tak jak Atenę. Jego głowa dobrze rodzi.

HERMES: Nie. On w udzie donosił dziecko Semeli.

POSEJDON: Doskonale! Udał się! Był gdzie zarodki nosi — po całym ciele. A ta Semele to kto?

HERMES: Tebanka. Jedna z córek Kadmosa. Miał z nią stosunek i zaszła w ciążę.

POSEJDON: Więc to on urodził, Hermesie, zamiast niej?

HERMES: O tak, chociaż ci się to bardzo nieprawdopodobne wydaje. Bo Semele podeszła Hera — wiesz, jaka jest zazdrosna — i namawia ją, żeby zażądała od Dzeusa, aby do niej przyszedł z grzmotami i z błyskawicami. On posłuchał i przyszedł z piorunem. Więc zapaliła się strzecha i Semele zginęła od ognia. On mnie kazał rozciąć żywot kobiecie i wydobyć dla niego niedorozwinięty jeszcze zarodek siedmiomiesięczny. Kiedym to zrobił,

on sobie rozcina udo i wkłada to do środka, aby tam doszło.

Teraz minął już trzeci miesiąc, więc urodził i źle się czuje, bo miał bóle.

POSEJDON: A teraz gdzie jest dziecko?

HERMES: Zaniołem je do Nysy i oddałem Nimfom, aby je wychowały. Ono się nazywa Dionysos.

POSEJDON: Więc tego Dionysosa mój brat jest i matką, i ojcem?

HERMES: Zdaje się. Ja odchodzę. Muszę mu przynieść wody na ranę i inne rzeczy też trzeba zrobić, jak to zwyczajnie po porodzie.

#### 10. HERMESA I HELIOSA

HERMES: Heliosie, nie wyjeżdżaj dzisiaj — mówi Dzeus — ani jutro, ani na trzeci dzień. Zostań w domu, a tymczasem niech będzie jakaś taka jedna długa noc. Więc niech tam Godziny znowu wyprzęgną konie, a ty zgaś ogień i odpocznij sobie przez dłuższy czas.

HELIOS: To coś nowego, Hermesie; niesamowite polecenie przynosisz. Chyba nie wyglądało na to, żebym gdzieś skreślił po drodze i przejechał granicę i potem on się gniewa na mnie, i postanowił zrobić noc trzy razy dłuższą od dnia?

HERMES: Nic podobnego i to tak nie ma być na zawsze. On jakoś dzisiaj chce mieć noc dłuższą niż zwykle.

HELIOS: A gdzież on jest? I skąd cię przysłano z tym zleceniem do mnie?

HERMES: Z Beocji, Heliosie, od żony Amfitriona. On z nią, jest; kocha się w niej.

HELIOS: To nie wystarczy jedna noc?

HERMES: Nigdy w świecie. Z tego obcowania ma się urodzić jakiś wielki bóg, zwycięski w wielu bojach. Takiego w ciągu jednej nocy wykończyć nie podobna.

HELIOS: A no, niech tam kończy szczęśliwie! Ale takich rzeczy, Hermesie, nie bywało za czasów Kronosa — jesteśmy tu tylko sami dwaj — tamten nigdy Rei samej w łóżku nie zostawiał i nie opuszczał nieba, żeby sypiać w Tebach, tylko dzień był dniem, a noc miała swoje godziny odmierzone — nie było żadnych niezwykłości, żadnych odmian i on się nigdy nie wdawał z żadną kobietą śmiertelną. A teraz przez jakąś tam nędzną kobietę trzeba wszystko odwracać do góry nogami i konie się muszą narowić, bo daremnie stoją — i droga się musi psuć, jak

się po niej przez trzy dni z rzędu nie jeździ — a biedni ludzie muszą nędznie żyć po ciemku. Tyle im przyjdzie z tych miłostek Dzeusa; będą siedzieli i czekali, aż on tam skończy tego zapasnika, o którym mówisz, pod osłoną grubej ciemności.

HERMES: Cicho bądź, Heliosie, abyś czego nie oberwał za te słowa. A ja idę do Seleny i do Hypnosa — donieść im też, co Dzeus polecił: ona żeby jechała powoli, a Sen żeby ludzi nie opuszczał — nie będą wiedzieli, że się noc źrebiła taka długa.

## 11. AFRODYTY I SELENY

AFR.: Co to takiego, Seleno, opowiadają o tobie? Mówią, że jak się znajdziesz za górami Karii, to zatrzymujesz zaprzęg i spoglądasz na Endymiona — on sypia pod gołym niebem, bo to myśliwy — i nieraz schodzisz do niego ze środka drogi?

SEL.: Zapytaj, Afrodyto, swojego synka — on temu winien.

AFR.: Ooch! On jest szelma. Przecież co on ze mną samą, z własną matką, wyprawia! Niedawno mnie na Idę sprowadził dla Anchizesa z Ilionu, to znowu za Liban, do tego chłopaka assyryjskiego, a równocześnie rozkochał w nim Persefonę, więc po połowie pozbawił mnie ukochanego. Ja mu nieraz groziłam, że jak nie przestanie wyrabiać takich rzeczy, to mu połamię łuk i kołczan i obetnę mu skrzydła. I nierazem go już wytłukła pantoflem po tyłku. A on, sama nie wiem jak, zrazu się nastraszy i zaczyna się prosić, a za chwilę zapomina o wszystkim.

Ale powiedz mi, Endymion jest piękny? Bo jeżeli tak, to byłaby jakaś pociecha w tym grzechu.

SEL.: Mnie on się, Afrodyto, wydaje nawet bardzo piękny. Najwięcej, kiedy sobie na skale podścieli chlamidę i śpi; z lewej ręki już mu się strzały wysypują, a prawa około głowy do góry zgięta tak mu ładnie twarz okala, on snem zmorzony oddycha, a oddech ma boski. Wtedy ja po cichutku schodzę na dół, a stąpam na końcach palców, żeby się nie obudził i nie przestraszył — ty rozumiesz. Więc co ci tam będę opowiadała, co potem? Dość, że ginę z miłości.

## 12. AFRODYTY I EROSA

AFR.: Moje dziecko, Erosie, zobacz, co ty wyrabiasz. Ja nie mówię o tym, co na ziemi — do czego ty ludzi nakłaniasz, żeby robili sobie samym i jedni z drugimi — ale i w niebie, jakiego ty odmieńca na pokaz robisz z Dzeusa, przemieniasz go, w co ci się kiedy podoba, Selenę ściągasz z nieba, a Heliosa nieraz zmuszasz, żeby przesiadywał u Klymeny, a zapominał o powożeniu końmi. Na jakie to zuchwalstwa pozwalasz sobie wobec mnie, matki, i to z dobrą miną! Ty zuchwalcze ostatni — przecież nawet Rea — ta już staruszka i matka tylu bogów — a tyś ją nakłonił, żeby się w chłopcu zakochała i tęskniła za tym chłopakiem z Frygii i teraz ona przez ciebie oszalała. Zaprzęgła sobie do wozu dwa lwy i dobrała sobie jeszcze Korybantów — bo to też wariaty — jeździ po całej Idzie tam i sam. Ona wyje za Attisem, a Korybanci — jeden sobie rękę kaleczy mieczem, drugi włosy rozpuścił i pędzi oszalały po górach, tamten trąbi na rogu, inny mu wtóruje na tamburynie, któryś bębni na cymbałach i w ogóle jest hałas i obłąkanie — to wszystko, co się dzieje na Idzie. Więc ja się boję wszystkiego, boję się ja, która cię, takie lichy, urodziła, żeby kiedyś Rea w przystępie szału albo tym bardziej jeszcze, jak przyjdzie do siebie — nie kazała Korybantom, żeby cię pochwycili i rozszarpali albo porzucili lwom. Tego się boję; widzę, co ci grozi.

EROS: Uspokój się, mamó; ja się już znam z tymi lwami i nieraz im włożę na grzbiet, chwytam się grzywy i powożę nimi, a one się do mnie łaszają, biorą moją rękę do pyska, oblizują i oddają mi ją. i sama Rea — gdzieżby tam znalazła wolną chwilę dla mnie — ona cała Attisowi oddana. A właściwie, co ja jestem winien, że pokazuję to, co piękne, jakie ono jest? Wy się sami nie garniecie do tego, co piękne. Więc mnie nie bierzcie tego za złe. Czy może chcesz, mamó, nigdy już nie kochać; ani ty Aresa, ani on ciebie?

AFR.: Jakiż ty szelma jesteś i władasz nad wszystkimi! Ale kiedyś wspomnisz moje słowa.

### 13. DZEUSA, ASKLEPIOSA i HERAKLESA

DZEUS: Dajcie pokój, Asklepiosie i Heraklesie, kłóćcie się jeden z drugim jak ludzie. To nie wypada, tak się nie robi na uczcie bogów.

HERAKLES: Więc ty chcesz, Dzeusie, żeby ten pigularz leżał wyżej ode mnie?

ASKLEPIOS: Na Dzeusa! Bo też jestem lepszy od ciebie.

HERAKLES: Pod jakim względem, ty, piorunem rażony? Czy dlatego, że cię Dzeus piorunem trafił za twoje sprawy niegodziwe i teraześ z litości dostał na nowo nieśmiertelność?

ASKLEPIOS: A ty zapominasz, Heraklesie, żeś się spalił na górze Ojta, a mnie teraz wymyślasz od ognia?

HERAKLES: Nieprawdaż — więc może równy i jednaki typ życia mojego i twojego — ja jestem syn Dzeusa i tyłem się natrudziłem, kiedyś życie oczyszczałem; dzikie zwierzęta zwalczałem i między ludźmi największych drabów pokarałem. A ty jesteś utnikorzonek i szarlatan, ludziom chorym możesz się przydać, żeby im plastry przykładać, ale jakimś męstwem wcaleś się nie popisał.

ASKLEPIOS; Dobrze mówisz, bom ci twoje oparzeliny opatrzyłem, kiedyś niedawno przyszedł tu na górę na pół spalony; jedno i drugie zniszczyło tobie ciało: i ta koszula, i ten ogień potem. A ja, jeżeli już nic innego, to nie służywałem tak jak ty, ani wełny nie czesałem w Lidii, nie ubierałem się na różowo i nie biła mnie Omfale pozłacanym pantoflem, a także nie zwariowałem i nie pomordowałem dzieci i żony.

HERAKLES: Jeżeli nie przestaniesz mi wymyślać, to zaraz się przekonasz, że nie na wiele ci się przyda nieśmiertelność, jak cię wezmę i zrzucę na łeb z nieba — że cię sam Pajjon nie wyleczy, jak sobie łeb roztrzaskasz.

DZEUS: Dajcie tam pokój, mówię — nie róbcie nam tu piekła na zebraniu albo was jednego z drugim wyrzucę z jadalni. Zresztą, Heraklesie, to ma dobry sens, żeby Asklepios leżał wyżej od ciebie; przecież umarł prędzej.

## 14. HERMESA I APOLLONA

HERMES: Czemuś taki ponury, Apollonie?

APOLLON: Bo nie mam, Hermesie, szczęścia w miłości.

HERMES: To rzeczywiście smutna rzecz. A ciebie co takiego spotkało? Czy ta sprawa z Dafną gnębi cię jeszcze?

APOLLON: Nic podobnego. Mnie bardzo ciężko po śmierci ukochanego syna Ojbalosa z Lakonii.

HERMES: Więc umarł Hyakinthos? powiedzże mi!

APOLLON: I jak jeszcze.

HERMES: Od czegoż Apollonie? Czy był ktoś taki potworny, żeby zabić takiego ładnego chłopca?

APOLLON: To moja własna robota.

HERMES: Oszalałeś, Apollonie, prawda?

APOLLON: Nie; tylko stało się nieszczęście, niechący.

HERMES: Jakże to? Chcę usłyszeć, jak to było.

APOLLON: On się uczył rzucać dyskiem i ja się z nim bawiłem, a ten Zephyros — aby szezł najgorzej ze wszystkich wiatrów — kochał się w nim od dawna i chłopak nie dbał o niego w ogóle, a ten nie mógł znieść takiego lekceważenia. Więc ja rzucałem dysk, jak zwykleśmy to robili, w górę. A ten wionął w dół z Tajgetu, poniósł dysk i rzucił go chłopcu na głowę. Od uderzenia — krwi buchnęło mnóstwo i chłopak zaraz umarł. Ja się w tej chwili na Zephyrosie pomściłem, strzeliłem za nim z łuku i on uciekał — goniłem go do samej góry, a chłopcu usypałem mogiłę w Amyklach, tam gdzie go dysk trafił. Z jego krwi kazałem ziemi wydać kwiat bardzo uroczy. On kwitnie najpiękniej ze wszystkich kwiatów i jeszcze są na nim litery — z nich ułożony tren na jego śmierć. Czy myślisz, że to nie ma sensu, że ja się tak gryzę?

HERMES: Tak jest, Apollonie. Wiedziałeś przecież, żeś sobie wziął kochanka śmiertelnego. Więc nie gniewaj się, że umarł.

## 15. HERMESA I APOLLONA

HERMES: Żeby taki kulawy i to kowal z zawodu, Apollonie,



miał najładniejsze żony: Afrodytę i Charis.

APOLLON: To jest jakieś szczęście, Hermesie. Ja się tylko temu dziwię, że one z nim wytrzymują. Przede wszystkim, jak widzą, że pot z niego cieknie, nad piecem pochylony, twarz sadzą umazana. I to nic — takiego właśnie ściskają i całują, i śpią z nim.

HERMES: To i mnie gniewa i zazdrość Hefajstosowi. A ty, Apollonie, chesz swoje piękne włosy i graj na kitarze, i wiele myśl o swojej piękności; podobnie jak ja o swojej zgrabnej budowie i o lirze — a potem, jak przyjdzie spocząć, to będziemy spali sami.

APOLLON: Ja w ogóle w miłości nie mam łaski u Afrodyty. Najwięcej kochałem Dafne i Hyakinthosa. A Dafne mnie tak nie znosiła, że wolała drzewem zostać, niż być ze mną, a Hyakinthosa przez ten dysk straciłem i teraz mam wianuszki zamiast nich obojga.

HERMES: Ja tam już raz kiedyś z Afrodytą — ale nie trzeba się chwalić.

APOLLON: Ja wiem. Ona ci miała urodzić Hermafrodyta. A tylko jedno mi powiedz, jeżeli coś o tym wiesz, jak to jest, że Afrodyta nie jest zazdrosna o Charis albo Charis o tamtą?

HERMES: To dlatego, Apollonie, że tamta jest z nim na Lemnos, a Afrodyta w niebie. Zresztą, ona się przeważnie interesuje Aresem i kocha się w nim, tak że mało jej zależy na tym kowalu.

APOLLON: I ty myślisz, że Hefajstos wie o tym?

HERMES: Wie. Ale cóż może począć — jak widzi, że to dorodny, młody chłop i żołnierz? Więc cicho siedzi. Tylko się odgraża, że jakieś sidła na nich zmajstruje i wielką siecią nakryje ich oboje na kanapie.

APOLLON: Ja nie wiem; ale cieszyłbym się, gdyby tak mnie razem z nią nakryto.

## 16. HERY I LATONY

HERA: Ładne też dzieci urodziłaś, Latono, Dzeusowi.

LATONA: My, Hero, nie wszystkie potrafimy rodić takie jak Hefajstos.

HERA: No — on jest wprawdzie kulawy, a jednak jest pożyteczny, majster pierwszorzędny, urządził nam i ozdobił niebo

i z Afrodytą się ożenił, i ona się nim interesuje poważnie. A z twoich dzieci — jedna to jest męski typ ponad wszelką miarę i w górach siedzi — w końcu wyniosła się do Skytów i wszyscy wiedzą, co jada, kiedy zabija obcych i naśladuje Skytów — przecież to sami ludożercy. Apollon znowu udaje, że wszystko umie: i z łuku strzelać, i na kitarze grać, i lekarzem być, i przepowiadać przyszłość. Urządził sobie fabryki przepowiedni; jedną w Delfach, drugą w Klaros i w Didymach, nabiera ludzi, którzy go pytają o zdanie, daje odpowiedzi wykrętne i dwuznaczne na wszelki wypadek, jaki pytanie dopuszcza, żeby się zabezpieczyć od pomyłki. I robi na tym pieniądze, bo jest dużo głupców, którzy się pozwalają bałamucić czarami. Ale inteligentniejsi znają się na jego cudach i oszustwach. Przecież on sam — ten wieszczek — nie wiedział, że swojego ukochanego zabije dyskiem, i nie przepowiedział sobie, że Dafne przed nim ucieknie, chociaż taki jest ładny i takie ma piękne włosy. Tak że ja wcale nie widzę, dlaczego mówiono, że ci się dzieci udały lepiej niż Niobie,

LATONA: Rzeczywiście, te moje dzieci — ta co to morduje obcych i ten wieszczek oszust — ja wiem, jak ty ich znosić nie możesz, kiedy je widzisz między bogami. Przede wszystkim, kiedy ją chwala za piękność, a on gra przy kolacji na kitarze i wszyscy go podziwiają.

HERA: Śmiech mnie zbiera, Latono! Ten muzyk podziwiany, którego Marsyas byłby zwyciężył i byłby go obdarł ze skóry, gdyby Muzy były chciały sądzić sprawiedliwie. Tymczasem ten biedak przegrał niesłusznie, przegłosowano go i zginął. A ta twoja urocza córeczka taka jest piękna, że jak się dowiedziała, iż ją Aktajon zobaczył, to psami go zaszczuła, bo się bała, żeby chłopak nie wygadał, jaka jest szpetna. Ja już nie mówię o tym, że rodzajem wcale nie pomaga, bo jest przecież panną.

LATONA: Ty wiele myślisz o sobie, Hero. Dlatego, że z Dzeusem jesteś i dzielisz z nim tron. Dlatego pozwalasz sobie — bez obawy. Ale ja niezadługo znowu zobaczę twoje łzy, kiedy on ciebie zostawi, a zejdzie na ziemię i zrobi się bykiem albo łabędziem.

## 17. APOLLONA I HERMESA

APOLLON: Czemu ty się śmiejesz, Hermesie?

HERMES: Bo bardzo śmieszne rzeczy widziałem, Apollonie.

APOLLON: To powiedz, co takiego, żebym się też mógł śmiać, jak usłyszę.

HERMES: Afrodyta była z Aresem i schwycił ją Hefajstos, związał ich oboje — jedno z drugim.

APOLLON: Jakże to? Mów, to gotowa być jakaś sympatyczna historia.

HERMES: Ja mam wrażenie, że on już od dawna o tym wiedział i polował na nich. I naokoło kanapy niewidzialne sidła założył, to zmajstrował i odszedł do kuźni. Potem Ares wchodzi i zdawało mu się, że go nikt nie widział. Ale spostrzega go Helios i mówi o tym Hefajstowi. Więc kiedy weszli na kanapę i gorąco byli sobą zajęci, znaleźli się we wnętrzu sieci i oplatały ich sidła; wtedy staje nad nimi Hefajstos i ona — właśnie była nie ubrana — nie miała się jak okryć, a wstydziła się. Ares zrazu próbował uciekać i spodziewał się, że rozerwie więzy, a potem, jak zobaczył, że wyjścia nie ma, zaczął prosić o litość.

APOLLON: No i cóż? Puścił ich Hefajstos?

HERMES: Ani mowy! Sprasza bogów i pokazuje im akt cudzołóstwa. A ci, goli oboje, spuszczają oczy, związani — i czerwienią się. Ten widok wydał mi się bardzo przyjemny; nie tylko to, co się tam u nich robiło.

APOLLON: A ten kowal nie wstydzi się sam pokazywać hańby swego małżeństwa?

HERMES: Na Dzeusa! On się jeszcze śmieje i stoi tam nad nimi. Ja, żeby tak prawdę powiedzieć, zazdrościłem Aresowi, że nie tylko wziął najładniejszą z bogiń, ale go jeszcze z nią związali.

APOLLON: Doprawdy? Ty byś się zgodził nawet i na więzy w tych warunkach?

HERMES: A ty nie, Apollonie? Zobacz tylko, pójdź tam. Ja cię bardzo pochwalę, jeżeli to zobaczysz, a nie będziesz sobie życzył dla siebie czegoś podobnego.

## 18. HERY I DZEUSA

HERA: Ja bym się wstydziła, Dzeusie, gdybym miała takiego

syna; taki niewieściuch z niego i zepsuty, bo pije; włosy ma przewiązane opaską, przeważnie z szalonymi kobietami obcuje, a jeszcze mięk szy od nich samych, pod głos bębenków i fletu, i cymbałów tańczy i w ogóle: do każdego innego raczej podobny niż do ciebie, do ojca.

DZEUS: O tak — ten z kobiecą przepaską na włosach, ten pieśc zoch mięk szy od kobiet — on, Hero, nie tylko Lidię podbił i mieszkańców gór Tmolos i Traków pokonał, ale do Indyj też się wyprawił i przy pomocy tego kobiecego wojska wziął słonie i opanował ziemię — i króla, który się ośmielił stawić mu opór na krótko, do niewoli zabrał, i tego wszystkiego dokonał tańcząc i prowadząc chóry, i posługując się tyrsami z bluszczu. Pijany — jak powiadasz — i rozpasany, a jeżeli się ktoś ośmielił obrażać go i poniewierać jego święcenia, takiego karał; albo go winnymi latoroślami wiązał, albo go rodzona matka z jego zrządzenia rozszarpywała jak jelonka. Widzisz, jakie to dowody męstwa i widzisz, że nie przynoszą ujmy ojcu?

A jeżeli oni się tam lubią bawić i baraszkować, to nie ma im czego zazdrościć. Tym bardziej, jeżeli się ktoś zastanowi i pomyśli, jaki by to był bóg po trzeźwemu, jeżeli takich rzeczy dokonywa po pijanemu.

HERA: Ja mam wrażenie, że ty pochwalisz także jego wynalazek: winne grona i wino, chociaż widzisz, co pijani robią, jak błędzą i na co sobie pozwalają, i w ogóle szaleją od tego napoju. Ikariosa przecież — on jemu najpierw dał swą latorośl — towarzysze kielicha sami zabili, zakłuli go widłami.

DZEUS: Mówisz ni to, ni owo. Przecież to nie wino robi ani Dionysos, tylko nadużycie napoju, kiedy ktoś leje w siebie nie zmieszane wino ponad przyzwoitość. A kto pija w miarę, ten bywa weselszy i przyjemniejszy. Tego, co spotkało Ikariosa, on sam nie byłby zrobił nikomu z tych, którzy z nim pili. Tylko u ciebie, Hero, zdaje się, zazdrość jeszcze nie wygasła i jeszcze pamiętasz o Semeli; dlatego oczerniasz Dionysosa za rzeczy bardzo piękne.

## 19. AFRODYTY I EROSA

AFRODYTA: Co też to jest, Erosie, że innych bogów zmoğłś wszystkich: Dzeusa, Posejdona, Apollona, Reę, mnie — rodzoną

matkę, a tylko od jednej Ateny trzymasz się z daleka i jeżeli o nią chodzi, to nie pali się twoja pochodnia i nie ma strzał w kołczanie, i ty nie masz łuku, i nie trafiasz?

EROS: Ja się jej boję, proszę mamy. Ona jest straszna i te jasne oczy ma, i okropnie męska. Ile razy łuk napnę i podejść do niej, ona trzęsie kitą i płoszy mnie, zaczynam się trząść i z rąk mi wypada łuk i strzały.

AFRODYTA: A czyż Ares nie był straszniejszy? A jednak rozbroiłeś go i zwyciężyłeś.

EROS: Ale on chętnie do mnie idzie i woła mnie, a ta Atena zawsze patrzy spode łba i nieraz bywało, kiedym nadleciał i zbliżyłem się do niej z pochodnią, wtedy ona: „Jeżeli przystąpisz do mnie — powiada — to, jak mi ojciec miły, piką cię przebiję albo za nogę złapię i do Tartaru wrzucę, albo cię sama rozedrę i zabiję”. Nieraz mi tak groziła. I patrzy ostro, i na piersiach ma twarz jakąś straszną z wężami zamiast włosów — ja się tego boję najwięcej. Straszy mnie tym i uciekam, jak to zobaczę.

AFRODYTA: Więc Ateny się boisz, jak słyszę, i Gorgony, a Dzeusowego pioruna nie. A w którąś Muzę dlaczego trafić nie możesz i one są poza twoimi strzałami? Czy one też potrzęsają kitami i pokazują Gorgony?

EROS: Wstydzę się ich, proszę mamy. One są takie poważne i zawsze nad czymś myślą i śpiewem zajęte. Ja często przy nich przystaję — tak mnie czaruje pieśń.

AFRODYTA: Daj im też pokój. Bo są poważne. Ale Artemidy dlaczego nie zranisz?

EROS: W ogóle jej nawet złapać nie można; wciąż ucieka po górach. A potem, ona już ma jakiegoś własnego Erosa i ten stanowi jej zamięłowanie.

AFRODYTA: Do czego, moje dziecko?

EROS: Do polowania, do jeleni i jelonków; ona je goni, łapie i strzela, i całą duszą jest temu oddana, ale jej brata, chociaż on jest łucznik i z daleka trafia...

AFRODYTA: Wiem, dziecko; jego nieraz trafiałeś.

## 20. BOGINIE PRZED SĄDEM

Dzeus, Hermes, Hera, Atena, Afrodyta, Parys albo Aleksander.

DZEUS: Hermesie, weź to jabłko, idź do Frygii, do syna

Priama, do tego pasterza — on pasie na Gargaron, na górze Idą i powiedz mu tak: „Tobie, Parysie, przykazuje Dzeus, ponieważ sam jesteś piękny i rozumiesz się na miłości, abyś był sędzią bogiń, która z nich jest najpiękniejsza. Która z nich wygra na tym konkursie, niech weźmie to jabłko”.

Warn już też pora pójść do sędziego. Ja nie chcę być między wami sędzią, bo kocham was jednakowo i gdyby to było możliwe, najchętniej bym widział, żebyście wygrały wszystkie. Zresztą, dając nagrodę za piękność jednej, musiałbym się narazić większości. Dlatego ja sam nie nadaję się na sędziego, a ten młody Frygijczyk, do którego idziecie, to jest syn króla i kuzyn tego tu Ganymedesa — poza tym prostaczek i góral. Nikt nie może powiedzieć, żeby nie był godny takiego widoku.

AFRODYTA: Ja, Dzeusie, gdybyś nawet samego Momosa ustanowił sędzią nad nami, spokojna pójdę na pokaz. Bo cóż by mógł na mnie zganić? Ale trzeba, żeby one też były zadowolone z tego człowieka.

HERA: My się również, Afrodyto; nie boimy — nawet, gdyby Ares, ten twój, przewodniczył sądowi. Przyjmujemy i tego, jaki on tam jest, tego Parysa.

DZEUS: Czy ty, córeczko, jesteś też tego zdania? Co powiesz? Odwracasz się i rumienisz? To naturalne — wy, panny, wstydzicie się takich rzeczy. Ale jednak kiwasz głową. No, to idźcie, ale w każdym razie nie gniewajcie się na sędziego, te które nie wygrają, i nie zróbcie temu chłopcu czego złego. Nie mogą wszystkie być jednakowo piękne.

HERMES: No, to chodźmy zaraz do Frygii. Ja pójdę naprzód, a wy za mną, a nie za powoli, i bądźcie spokojne. Ja znam Parysa — to przystojny młody człowiek i w miłości obyty i najlepiej się nadaje do sądzenia takich rzeczy. On z pewnością źle tej sprawy nie rozsądzi,

AFRODYTA: To bardzo dobrze i to wychodzi na moją korzyść — to, co mówisz, że nasz sędzia jest sprawiedliwy. A czy on jest kawaler, czy też ma jakąś żonę?

HERMES: Nie całkiem kawaler, Afrodyto.

AFRODYTA: Jak to myślisz?

HERMES: Zdaje się, że tam z nim mieszka jakaś kobieta z Idy — niezła, ale półdzika i taka prosto z gór; zdaje się, że on nią nie bardzo zajęty. Ale czemu się o to pytasz?

AFRODYTA: Tak sobie, zapytałam się.

ATENA: Sprzeniewierzasz się swojej misji, ty tani; wciąż z nią na osobności rozmawiasz.

HERMES: To nic strasznego, Ateno. I to nie przeciwko wam. Ona mnie tylko zapytała, czy Parys to kawaler.

ATENA: A co ją to tak obchodzi?

HERMES: Ja nie wiem; ona mówi, że tylko tak sobie, na myśl jej to przyszło, a nie pytała się z jakimś zamiarem.

ATENA: Więc co? Kawaler?

HERMES: Zdaje się, że nie.

ATENA: Więc jak? Ma jakieś zamiłowania wojskowe i ambicje, czy też w ogóle nic, tylko pastuch?

HERMES: Jak jest naprawdę, tego nie mogę powiedzieć, ale trzeba przypuszczać, że jako młody człowiek marzy i o tym i chciałby przede wszystkim być w jakiejś bitwie.

AFRODYTA: Widzisz — ja się wcale nie gniewam i nie robię ci wyrzutów, że z nią na osobności rozmawiasz. Byłaby to zrzędnosc, a to nie jest w stylu Afrodyty.

HERMES: Ona też mniej więcej o to samo mnie zapytała. Więc nie gniewaj się i nie myśl, że ci się krzywda dzieje, jeżeli jej też odpowiedziałem po prostu. Ale my tu mówimy, a tymczasem jesteśmy już daleko, zostawiliśmy gwiazdy za sobą i jesteśmy prawie że nad Frygią. Ja już Idę też widzę i całe Gargaron dokładnie i, jeżeli się nie mylę, to waszego sędziego, Parysa, również.

HERA: Gdzie on jest, bo ja go nie widzę.

HERMES: Tutaj, Hero, w lewo patrz, nie na szczycie góry, tylko na stoku, tam gdzie ta jaskinia, tam gdzie i trzodę widzisz.

HERA: Ale ja nie widzę trzody.

HERMES: Jak mówisz? Nie widzisz tych krówek — tam — jak ten mój palec, wychodzą spośród skał i tam ktoś zbiega z urwiska, ma w ręku kij z zakrzywionym końcem i zagania, żeby mu się trzoda nie rozbiegała przed nim.

HERA: Widzę teraz, jeżeli to tylko on.

HERMES: Ależ on. Ale skorośmy już blisko, to, proszę, stańcie na ziemi i chodźmy piechotą, abyśmy go nie przestraszyli, jak tak nagle z góry zlecimy.

HERA: Dobrze mówisz. Zróbmy tak. A skoro już jesteśmy na dole, to wypada, Afrodyto, żebyś ty szła naprzód, będziesz nam pokazywała drogę. Ty, zdaje się, znasz tę okolicę; mówią, żeś tu nieraz przychodziła, do Anchizesa.

AFRODYTA: Ja się, Hero, nie bardzo obrażam o te docinki.

HERMES: Już ja was poprowadzę. Ja bywałem nieraz na Idzie, kiedy się Dzeus kochał w tym chłopaku z Frygii. Przycho-  
dziłem często; on mnie tu posyłał, żebym uważał na chłopca. A jak już wszedł w orła, przyleciałem z nim razem i pomogłem mu podnieść cacusia; jeżeli dobrze pamiętam, on go porwał z tej skały tutaj. On właśnie grał przy swojej trzodzie na pozytywce, a Dzeus poza nim spadł na skrzydłach z góry, bardzo lekko objął go szponami, dziobem uchwycił za tiarę na głowie i podniósł chłopca w powietrze; ten nie wiedział, co się dzieje, zwrócił szyję ku niemu i patrzył przestraszony. Więc ja podniosłem pozytywkę, bo ją był zgubił w tym strachu — ale oto i sędzia, ten tu, blisko. Więc przemówmy do niego. Daj boże zdrowie, pasterzu!

PARYS: Daj boże i wam, młody człowieku,. A coś ty za jeden, że tu przychodzisz do nas? I co to za kobiety prowadzisz? Niedobrze, żeby chodziły po górach, kiedy takie ładne.

HERMES: To nie są kobiety. Widzisz Herę, Parysie, i Atenę, i Afrodytę. A mnie, Hermesa, posłał Dzeus — ale czemu ty drżysz i bledniesz? Nie bój się. Nie ma nic złego. On każe ci być sędzią ich piękności. „Skoro, powiada, sam jesteś piękny i rozumiesz się na miłości, to ja sąd zdaję na ciebie”. A jaka nagroda na tym konkursie, będziesz wiedział, jak przeczytasz, co na tym jabłku.

PARYS: Daj no, zobaczę, co tu pisze. „Piękna — powiada — niech weźmie”. No jakżeżbym ja — Panie Hermesie — człowiek mógł zostać sędzią takiego widowiska niewiarogodnego — ono zbyt wielkie, jak na pasterza. Sądzić takie rzeczy powinien raczej jakiś delikacik z miasta. Ja tam prędko i fachowo potrafię rozsądzić kozę od kozy i jałówkę od innej jałówki i powiedzieć, która ładniejsza. A one tu wszystkie jednakowo ładne i nie wiem, jakby kto potrafił przenieść oczy z jednej na drugą i oderwać je od której bądź. Oko się nie chce odrywać, ale gdzie utkwi raz, tam trwa i chwali to, co ma przed sobą. A jak na drugą przejdzie, to i tej piękność widzi i trwa, i zniewala je ta, co bliżej. W ogóle oblewa mnie ich piękność naokoło i całego mnie porywa, i gniewam się, że nie potrafię tak jak Argos patrzeć całym ciałem. Zdaje mi się, że najlepiej bym rozsądził, gdybym im wszystkim przyznał jabłko.

A znowu inna rzecz: ta jest w sam raz siostrą Dzeusa i żoną, a te dwie to córki. Więc jakże to nie ma być trudne rozstrzy-



gnięcie — także i z tego względu?

HERMES: Ja nie wiem. Tyle tylko, że wykręcić się z tego nie można. Tak Dzeus rozkazał.

PARYS: Wobec tego, Hermesie, poproś je, żeby się na mnie nie gniewały; te dwie, które odpadną, niech to uważają tylko za błąd mojego oka.

HERMES: One mówią, że lak zrobią. Ale czas ci już przystąpić do oceny.

PARYS: Spróbujemy. Bo co począć? Tylko naprzód chciałbym jedno wiedzieć: czy wystarczy rozpatrywać je tak, jak są, czy też będą się musiały rozebrać, aby ocena była dokładna?

HERMES: To już będzie twoja rzecz, jako sędziego. Wydaj polecenie, jak chcesz.

PARYS: Jak chcę? Nago je widzieć chcę.

HERMES: Rozbierzcie się, proszę was. A ty rozpatruj. Ja się odwróciłem.

HERA: Bardzo dobrze, Parysie. Ja się pierwsza rozbiore, abys się przekonał, że nie tylko mam białe ramiona i jestem dumna ze swoich wolicz oczu, ale jestem cała i wszędzie jednakowo piękna.

PARYS: Rozbierz się i ty, Afrodyto.

ATENA: Parysie, nie daj jej się rozbierać prędzej, zanim nie zdejmie przepaski — ona jest czarownica — aby cię nie czarowała tą przepaską; a wypadalo też, żeby nie przychodziła taka wystrojona i nie taka obsypana pudrem i kolorami, doprawdy, jak jakaś dziewczyna z ulicy, tylko nagą żeby pokazała piękność,

PARYS: To słuszne, co mówią o tej przepasce — zdejm ją.

AFRODYTA: A czemu ty też, Ateno, nie zdejmiesz hełmu i nie pokażesz gołej głowy, tylko potrząsasz kitą i sędziego straszysz? Boisz się, żeby nie było widać twoich jasnych oczu bez tej grozy górą?

ATENA: Proszę cię, ten hełm już zdjęty.

AFRODYTA: I proszę cię — przepaska też,

HERA: No, to rozbierajmy się.

PARYS: O Dzeusie cudowny! Co za widowisko, jakież piękno, jaka rozkosz! Jakaż to dziewczyna, a jaki majestat królewski i powaga bije od tej, a ta patrzy tak jakoś uroczo i aksamitnie i uśmiecha się ponętnie. Ale już mam i dość tego szczęścia. Więc, jeżeli łaska, to chciałbym jeszcze obejrzeć każdą z oso-

bną, bo w tej chwili jestem w rozterce i nie wiem, na co mam patrzeć - oczy mi latają na wszystkie strony.

AFRODYTA: Zróbmy tak.

PARYS: Więc wy dwie odejdźcie, a ty, Hero, zostań.

HERA: Zostanę, a jak mi się dokładnie przypatrzysz, to już i nad czymś innym czas ci się zastanowić: czy ci się podobają dary w nagrodę za głos dla mnie. Jeżeli mnie, Parysie, uznasz za piękną, będziesz panem całej Azji.

PARYS: Dary nie mogą u mnie rozstrzygać. Odejdź. Zrobi się, co się będzie uważało. A ty przyjdź, Ateno!

ATENA: Stoję przy tobie i jeżeli mnie, Parysie, uznasz za piękną, nigdy nie przegrasz w bitwie, tylko zawsze będziesz wygrywał. Wojownikiem cię zrobię i zwycięzcą.

PARYS: Na nic mi się, Ateno, nie zda wojna i bitwa. Pokój przecież, jak widzisz, zalega dzisiaj Frygię i Lidie; nie ma u nas wojny pod panowaniem ojca. Ale bądź spokojna. Nie przegrasz, chociaż dary nie wpływają na mój sąd. Ubierz się już i wdziej hełm. Dość się napatrzyłem. Czas, żeby przysłała Afrodyta.

AFRODYTA: Ja tu blisko ciebie; przypatruj się wszystkiemu dokładnie, a nie przeskakuj; możesz się zatrzymać nad każdą częścią. A jeżeli chcesz, piękny chłopcze, to i tego posłuchaj, co ci powiem. Ja już od dawna widzę, że jesteś młody i taki piękny, że nie wiem, czy Frygia żywi drugiego takiego, więc gratuluję ci piękności, ale biorę ci za złe to, że nie porzucasz tych urwisk i tych skał i nie żyjesz w mieście, tylko marnujesz swoją piękność w tym pustkowiu. Bo co ci tam po górach? I co po twojej piękności tym krowom? Już by ci się też czas było i ożenić, ale nie z jakąś dziewczyną z lasu i ze wsi, jak te kobiety tutaj, na Idzie, ale z kimś z Hellady, z Argos, czy z Koryntu albo z jakąś Spartanką, jak na przykład Helena — młoda jest i piękna i wcale nie gorsza odemnie, a przede wszystkim: umie kochać. Ta, gdyby ciebie tylko zobaczyła, ja wiem doskonale, że porzuci wszystko, odda ci się bez zastrzeżeń, pójdzie za tobą i z tobą zamieszka. Zresztą i ty coś o niej słyszałeś.

PARYS: Nic w ogóle, Afrodyto. Ale teraz bym chętnie posłuchał, gdybyś mi o niej wszystko opowiedziała.

AFRODYTA: Ona jest córką Ledy, tej pięknej, na którą Dzeus spłynął na skrzydłach łabędzich.

PARYS: A jak wygląda?

AFRODYTA: Biała oczywiście, skoro jest córką łabędzia,

i delikatną ma karnację, bo się w jaju wylęła; przeważnie nago chodzi i gimnastykuje się. A tak się o nią starają wszyscy, że już się i wojna o nią rozegrała. Bo Thezeus ją porwał, zanim jeszcze dojrzała. No tak, ale skoro doszła swoich lat, to zjechali się wszyscy najznakomitsi spośród Achajów, żeby się starać o jej rękę. Pierwszeństwo przypadło Menelaosowi z rodu Pelopidów. Jeżeliś chciał, to ja ci urządzę to małżeństwo.

PARYS: Jak mówisz? Małżeństwo z mężatką?

AFRODYTA: Ach ty — młody jesteś i nieobyty, a ja wiem, jak się takie rzeczy robi.

PARYS: Jak? Ja bym też chciał wiedzieć.

AFRODYTA: Ty się puścisz w podróż. Niby to zwiedzać Helladę. Jak przybędziesz do Sparty, zobaczy cię Helena. Od tej chwili to już moja robota, żeby się w tobie zakochała i poszła za tobą.

PARYS: Właśnie to wydaje mi się niewiarygodne, żeby ona porzuciła męża i chciała wyjechać razem z cudzoziemcem, z człowiekiem obcym.

AFRODYTA: Bądź o to spokojny. Ja mam dwóch synków ładnych: jeden Eros, a drugi Urok. Przydam ci ich obu, żeby cię prowadzili w drodze. Eros padnie na nią i rozkocha kobietę w tobie, a Urok obleci ciebie i tak, jak to on jest, zrobi cię uroczym i pożądanym. Ja będę sama przy tym, a poproszę i Charyty, żeby za nami poszły. I w ten sposób wszyscy razem ją nakłoniemy skutecznie.

PARYS: Jak to pójdzie, to nic nie wiadomo jeszcze, Afrodyto. Tyle tylko, że ja już kocham Helenę i to dziwne, mam wrażenie, że już ją widzę i już jadę do Hellady, przybywam do Sparty i wracam do domu z kobietą — i złości mnie to, że już w tej chwili tego wszystkiego nie robię.

AFRODYTA: Nie zakochuj się, Parysie, prędzej, zanim mnie, swatki i družki, nie skwitujesz swoim wyrokiem. Wypadałoby, żeby i ja z konkursową nagrodą w rękę była z wami i żebyśmy razem obchodzili święto: wy waszego wesela, a ja swojego zwycięstwa. Bo wszystko możesz sobie kupić za to jabłko: miłość, piękność, małżeństwo.

PARYS: Ja się boję, żebyś o mnie nie przestała dbać po wyroku.

AFRODYTA: Jeżeli chcesz, to ci przysięgnę.

PARYS: Za nic — tylko przyrzeknij jeszcze raz.

AFRODYTA: Więc przyrzekam ci, że ci dam za żonę Helenę, że ona pójdzie za tobą i przybędzie do was, do Ilionu. Ja sama będę przy tym i będę współdziałała we wszystkim.

PARYS: I Erosa przyprowadzisz, i Urok, i Charyty?

AFRODYTA: Bądź spokojny. I Tęsknotę, i Hymenajosa w dodatku wezmę ze sobą.

PARYS: Więc pod tymi warunkami daję ci jabłko. Pod tymi warunkami bierz!

## 21. ARESA I HERMESA

ARES: Słyszałeś, Hermesie, czym groził nam Dzeus, jakie to zarozumiałe i niewiarygodne? „Jeżeli zechcę — powiada — to ja z nieba łańcuch spuszczę, a wy się na nim uwiesicie i będziecie próbowali gwałtem mnie w dół ściągnąć i daremnie się będziecie trudzili. Nie ściągniecie mnie w dół. A gdybym ja zechciał poderwać go w górę, to nie tylko was, ale razem z wami ziemię i morze podciągnę i zawieszę w powietrzu”. I inne takie rzeczy, któreś i ty słyszał. A ja nie zaprzeczam, że on jest lepszy i mocniejszy od każdego z nas z osobna, ale żeby nas tylu przemagał i żebyśmy go nie zmoгли, gdybyśmy w dodatku jeszcze ziemię i morze wzięli do pomocy, ja w to nigdy nie uwierzę.

HERMES: Bój się boga, Aresie! Niebezpiecznie mówić takie rzeczy; abyśmy czego nie oberwali za takie gadanie.

ARES: A cóż ty myślisz, że ja bym to przed każdym mówił, a nie tylko przed tobą jednym — ja wiem, że umiesz trzymać język za zębami. A co mi się najzabawniejsze wydawało, kiedym lej groźby słuchał, tego bym nie potrafił, zamilczeć przed tobą. Przecież ja pamiętani niedawno, jak się Posejdon, Hera i Alena zbuntowali i chcieli go schwytanego związać, jak on się mienił ze strachu, a było ich tylko troje, i gdyby się nad nim nie była zlitowała Tetis i nie zawołała mu na pomoc Briareosa, który ma sto rąk, to byliby go związali razem z piorunem i grzmotem. Kiedym sobie to zestawiał, to chciało mi się śmiać z jego przechwałek.

HERMES: Cicho bądź, mówię. Nie jest bezpiecznie ani tobie mówić, ani mnie słuchać takich rzeczy.

## 22. PANA I HERMESA

PAN: Jak się masz, ojczy Hermesie.

HERMES: Jak się masz. Ale jakim sposobem: ja twoim ojcem?

PAN: Czy ty nie jesteś czasem Hermes z Kylleny?

HERMES: No tak. Ale jak ty jesteś moim synem?

PAN: Syn naturalny, wybrany twój syn.

HERMES: Na Dzeusa — może jakiegoś kozła, który miał stosunek z kozą. Bo mój jakim sposobem? Z rogami, z takim nosem, z długą brodą, nogi poroższczipiane jak u kozła, ogon na tyłku?

PAN: Jakkolwiekbyś mnie wyśmiewał, ojczy, własnemu synowi łatki przypinasz, a właściwie sobie, że takie dzieci na świat wysyłasz; ja nie jestem winien.

HERMES: A któż miał być twoją matką? Możem gdzieś jakąś kozę zgwałcił — sam nie wiem, kiedy?

PAN: Kozy nie zgwałciłeś, ale przypomnij sobie, czyś kiedyś w Arkadii nie zgwałcił dziewczyny wolnej. Czemu obgryzasz palec i szukasz, i tak ci trudno znaleźć. Ja mówię o Penelopie, córce Ikariosa.

HERMES: A jej się co stało, że urodziła cię podobnym do kozła, a nie do mnie?

PAN: Ja ci powiem, co ona sama mówiła. Kiedy mnie wyprawiła do Arkadii, powiedziała mi: Moje dziecko, matką twoją jestem ja, Penelopa, Spartanka, a wiedz, że ojcem twoim jest bóg Hermes, syn Maji i Dzeusa. Jeżeli masz rogi i nogi koźle, niech cię to nie martwi. Bo kiedy bywał ze mną twój ojciec, upodobał się do kozła, aby się ukryć, i dlatego wyszedłeś podobny do kozła.

HERMES: Na Dzeusa, pamiętam, że coś takiego robił. Więc ja taki pewny swojej piękności i to jeszcze bez zarostu sam, będę się nazywał twoim ojcem i będą się wszyscy ze mnie śmiali, że mi się tak dzieci udają?

PAN: O, ja ci wstydu nie zrobię, ojczy. Ja przecież jestem muzykalny i gram na pozytywce bardzo gładko, i Dionysos nie może się ruszyć beze mnie — ma we mnie przyjaciela i kompana w pochodzie, prowadzę mu chór, a gdybyś moje trzody zobaczył,

które mam koło Tegei i na Partenionie, bardzo się będziesz cieszył. I ja panuję nad całą Arkadią. Niedawno też Ateńczykom pomagałem na wojnie i takie zwycięstwo odniosłem pod Maratonem, że mi w nagrodę dano jaskinię u stóp Akropolu. Jak będziesz w Atenach, dowiesz się, jakie tam sławne jest imię Pana.

HERMES: A powiedz mi, Panie, bo tak cię nazywają podobno, już się ożenił?

PAN: Nic podobnego, ojczu. Ja kochliwy jestem i nie czułbym się dobrze, obcując z jedną.

HERMES: Więc ty kozy zaczepiasz, oczywiście.

PAN: Ty sobie żartujesz. A ja z nimfą Echo i z Sosną obcuję, i z wszystkimi Majnadami Dionysosa, one mnie traktują bardzo poważnie.

HERMES: Wiesz, moje dziecko, jaką mógłbyś mi zrobić przyjemność, gdybym się do ciebie zwrócił z moją pierwszą prośbą?

PAN: Rozkazuj, proszę cię, ojczu, a ja zobaczę.

HERMES: I przychodź do mnie, i odnoś się do mnie przyjaźnie, ale uważaj, żebyś mnie nie nazywał ojczem, kiedy ktoś słyszy.

### 23. APOLLONA I DIONYSOSA

APOLLON: Co tu mówić, Dionysosie. Przecież to są bracia, synowie jednej matki, ten Eros, Hermafrodyt i Priap, a zupełnie do siebie niepodobni z kształtów i z zajęć. Jeden bardzo piękny i z łuku strzela, i siłę niemałą posiada, i nad wszystkimi panuje, drugi kobiecy i półmęski, i dwuznacznie wygląda: nie rozpoznasz, czy to chłopiec, czy dziewczyna. A Priap — męski ponad przyzwyczajenie.

DIONYSOS: Nie dziw się, Apollonie. Temu nie winna Afrodyta, tylko ojcowie byli różni. A przecież nieraz z dzieci jednego ojca i jednej matki jedno bywa męskie, a drugie kobiece — tak jak wy dwoje.

APOLLON: Tak. Ale my oboje jesteśmy podobni do siebie i zajmujemy się tym samym. Przecież oboje strzelamy z łuku.

DIONYSOS: Aż po ten łuk — to samo, Apollonie, ale tamto niepodobne, że Artemida morduje obcych pomiędzy Skytami, a ty dajesz wyrocznie i leczysz chorych.

APOLLON: Czy ty myślisz, że mojej siostrze tam dobrze pomiędzy Skytami? Ona jest gotowa, gdyby jakiś Hellen przybył kiedy do Krymu, wyjechać z nim razem. Już jej obrzydły te mordy tam.

DIONYSOS: Dobrze by zrobiła. A ten Priap — opowiem ci coś zabawnego — niedawno byłem w Lampsaku i chodziłem sobie po mieście, więc on mnie zaprosił i przyjmował u siebie. Kiedyśmy spali, a kropnęliśmy sobie dobrze przy kolacji, gdzieś około samej północy ten wstaje — a udał się chłopiec — ale wstydzą się mówić.

APOLLON: Zabierał się do ciebie, Dionysosie?

DIONYSOS: No, tak jest.

APOLLON: A ty co na to?

DIONYSOS: No cóż innego? Śmiałem się.

APOLLON: To dobrze, że bez przykrości i bez grubiaństwa. Trzeba mu przebaczyć, jeżeli cię zaczepiał — ty jesteś taki piękny.

DIONYSOS: Z tego powodu on gotów się zacząć i do ciebie umizgać, Apollonie. Ty jesteś piękny i masz ładne włosy. Priap gotów cię i po trzeźwemu zaczepić.

APOLLON: Nie zaczepi, Dionysosie. Oprócz włosów mam i łuk.

## 24. HERMESA I MAJI

HERMES: Czy jest w niebie, proszę mamy, jakiś bóg nieszczęśliwszy ode mnie?

MAJA: Nie mów, Hermesie, takich rzeczy.

HERMES: Co nie mam mówić, kiedy tyle mam kłopotów; sam jeden haruję i każą mi się rozdzierać na tyle służb? Rano, jak tylko wstanę, trzeba posprzątać po kolacji, zaścielić łóżko, porostawiać wszystko jak trzeba, asystować Dzeusowi, roznosić od niego polecenia do nieba i do piekła, gonić z tym czym prędzej, a jak wracam na górę, jeszcze cały zakurzony, muszę podawać ambrozię. A zanim przyszedł ten nowy podczaszy, to ja i nektar nalewałem. Najgorsze to, że nawet i w nocy ja jeden tylko nie śpię — spośród wszystkich. Muszę jeszcze i wtedy Plutonowi przyprowadzać dusze, wodzić nieboszczyków i asystować przy sądzie. Nie dość dla mnie tej roboty za dnia: być w zakładach

gimnastycznych i być heroldem na zgromadzeniach, i mówców wyuczać, ale jeszcze się i sprawami umarłych zajmować po swojej części.

Przecież synowie Ledy zmieniają się co dnia — to jeden, to drugi jest raz w niebie, raz w Hadesie, a ja muszę co dnia robić i to, i tamto. Synowie Alkmeny i Semeli, jakichś tam mizernych kobiet, używają sobie bez troski, a ja syn Maji, córki Atlasa, muszę im usługiwać. Dopiero co wróciłem z Sydonu, od córki Kadmosa — posłał mnie do niej, żebym zobaczył, co dziewczynka robi — i jeszcze nie odetchnąłem, zaraz mnie posyła znowu do Argos, żebym zajrzał do Danai, a potem, stamtąd, do Beocji; powiada: zajdź po drodze i zobacz Antiope. Ja w ogóle już sił nie mam więcej. Gdyby to było możliwe, to byłbym zadowolony, żeby mnie gdzieś sprzedał, jak na ziemi sprzedają złych służących.

MAJA: Zostaw takie myśli, moje dziecko. Trzeba we wszystkim usłużyć ojcu. Młody jesteś. I teraz, jak cię posłano, tak suń do Argos, a potem do Beocji, abyś po skórze nie oberwał, jak się spóźnisz. U zakochanych zółć łatwo się burzy.

## 25. DZEUSA I HELIOSA

DZEUS: Coś ty zrobił — ty, najgorszy z Tytanów? Popaliłeś na ziemi wszystko; chłopakowi głupiemu powierzyłeś wóz; on jedno spalił, bo zjechał za nisko do ziemi, a drugie zmarnował przez mróz, bo za daleko ogień odciągnął — w ogóle: wszystko przewracał i mieszał i gdybym ja nie był zauważył, co się dzieje, i nie stracił go piorunem, toby z ludzi i resztki nie zostało. Takiegoś nam ładnego woźnicę na wozie wyprawił.

HELIOS: Zgrzeszyłem, Dzeusie, ale nie gniewaj się, zem ustąpił synowi. On tak o to. błagał. Skądże się mogłem spodziewać, że będzie takie nieszczęście?

DZEUS: A tyś nie wiedział, jakiej ta robota wymaga skądności i że jak się na włos zboczy z drogi, to wszystko lichy wzięcie? I. nie znałeś temperamentu koni, że trzeba im koniecznie uzdę ściągnąć? Jak im cugli popuścić, to ponoszą zaraz; tak jak i jego porwały — raz w lewo, za chwilę znowu na prawo, a nieraz i wstecz, do góry i w dół — w ogóle: jak same chciały. A on sobie



nie umiał dać rady z nimi.

HELIOS: Ja to wszystko wiedziałem i dlatego sprzeciwiałem się długi czas i nie powierzałem mu lejców. Ale jak zaczął płakać i zaklinać, a jego matka, Klymena, z nim, wsadziłem go na wóz i pouczyłem, jak ma jechać, na ile popuszczać lejców, pod górę, a potem się znowu wstecz pochylać i jak mocno w rękę trzymać lejce, i nie zdawać się na temperament koni. I powiedziałem, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi, jeżeliby nie jechał prostą drogą. A on — jeszcze mały chłopiec był — jak wsiadł na taki ogień i zobaczył tę niezmierną przepaść pod sobą, przestraszył się, naturalnie. A konie jak poczuły, że to nie ja na wozie, nic sobie nie robiły z chłopaka, zeszły z drogi i zrobiły to nieszczęście. On lejce puścił, z pewnością bał się, że zleci, i trzymał się poręczy. Ale on już ma swoją karę, a dla mnie, Dzeusie, zgryzoty dosyć.

DZEUS: Dosyć — mówisz ty, któryś sobie pozwolił na coś podobnego? Teraz udzielam ci przebaczenia, a na przyszłość, jak coś podobnego zrobisz albo jakiegoś takiego zastępcę wyprawisz, to zaraz się przekonasz, o ile jest gorętszy piorun od twojego ognia. Więc jego niech siostry pochowają nad Eridanem, tam gdzie padł, gdy wyleciał z wozu, niech nad nim płaczą łzami z burztynu i niech się ze zmartwienia staną czarnymi topolami. A ty zbij wóz na nowo — przecież dyszel się złamał, i jedno koło strzaskane — wyprowadź konie i jedź. A pamiętaj sobie o tym wszystkim.

## 26. APOLLONA I HERMESA

APOLLON: Czy ty byś mi mógł powiedzieć, Hermesie, który to jest Kastor, z tych dwóch, a który Polydeukes? Bo ja ich nie rozróżniam:

HERMES: Ten, co tu wczoraj był z nami, to Kastor, a ten tu — Polydeukes.

APOLLON: Jak ty ich rozpoznajesz? Podobni są do siebie.

HERMES: Po tym, Apollonie, że ten tu ma na twarzy blizny. Poranili go w walce na kułaki. Najbardziej pokaleczył go Bebryks, syn Amykosa, kiedy Polydeukes płynął z Jazonem. A ten drugi nie ma żadnych takich znaków, ma czystą twarz, bez śladów.

APOLLON; Bardzo ci dziękuję, żeś mnie nauczył tych znaków rozpoznawczych. Bo zresztą wszystko u nich jednakie: i pół jajka, i gwiazda na niebie, i pika w rękę, i koń biały pod jednym i drugim; tak że ja często do Polydeukesa mówiłem Kastor, a tamtego nazywałem Polydeukesem. Ale powiedz mi i to, czemu oni obaj razem nie są z nami, tylko tak, po połówce, raz jeden z nich, a raz drugi jest raz bóg, a raz trup.

HERMES: To przez miłość braterską oni tak robią. Bo, jak trzeba było, żeby z synów Ledy jeden umarł, a drugi był nieśmiertelny, oni się w ten sposób podzielili nieśmiertelnością.

APOLLON: To nieinteligentny podział, Hermesie. Bo w ten sposób nawet nigdy jeden drugiego nie zobaczy, a tego, myślę, pragnęli najwięcej. Bo jakże? Jeden jest między bogami, a drugi tam, u zmarłych. A poza tym ja, na przykład, daję wyrocznie, Asklepios leczy, ty uczysz gimnastyki, jesteś najlepszym trenerem, Artemis pomaga przy porodach i każdy z nas ma jakąś umiejętność pożyteczną dla bogów albo dla ludzi, a ci co będą u nas robili? Będą zażywali wczasów i baki zbijali — chłopcy w tym wieku?

HERMES: Nic podobnego. Mają nakazane służyć Posejdonowi, konno jeździć po morzu i jak gdzieś zobaczą marynarzy miotanych burzą, mają nadjeżdżać na okręt i ratować pływających.

APOLLON: To bardzo dobra, Hermesie, i pożyteczna specjalność.